

AGATHA CHRISTIE

**TRAGEDIA W TRZECH
AKTACH**

TLUMACZYŁA ANNA MENCWEL
TYTUŁ ORYGINAŁU: THREE-ACT TRAGEDY

*Moim Przyjaciołom,
Geoffreyowi i Violet Shipstonom*

Reżyseria
SIR CHARLES CARTWRIGHT

Asystenci reżysera
PAN SATTERTHWAITE
PANNA HERMIONE LYTTON GORE

Kostiumy AMBROSINE LTD

Światło
HERKULES POIROT

AKT PIERWSZY
PODEJRZENIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY „KRUCZE GNIAZDO”

Pan Satterthwaite siedział na tarasie „Kruczego Gniazda”, a jego gospodarz, sir Charles Cartwright, wspinał się ku niemu ścieżką od morza.

„Krucze Gniazdo” było nowoczesnym bungalowem w dobrym stylu. Bez oszalewania, przybudówek i nadbudówek, czyli tego wszystkiego, w czym lubują się trzeciorzędni architekci. Prosty, solidny biały dom zwodził oko swymi rozmiarami: w rzeczywistości był o wiele większy, niż się z pozoru wydawało. Nazwę zawdzięczał położeniu. Leżał wysoko nad portem Loomouth, a z jednego końca ogrodzonego masywną balustradą tarasu można było wykonać skok wprost do morza. Szosą było stąd do miasta mile. Szosa wiodła w głąb łądu, po czym pięła się zygzakiem pod górę, wysoko nad wodą. Urwistą rybacką ścieżką, tą, którą podchodził teraz sir Charles Cartwright, szło się tu siedem minut.

Był on dobrze zbudowanym, opalonym mężczyzną w sile wieku. Miał na sobie stare popielate flanelowe spodnie i biały sweter. Szedł sprężystym krokiem, kołysząc się lekko w biodrach, a dłonie zaciskał w pięści. Dziewięć osób na dziesięć powiedziałoby: „Oficer marynarki W stanie spoczynku. Nie można się pomylić”. Dziesiąta osoba wszakże, bardziej spostrzegawcza, miałaby wątpliwości. Uderzyłoby ją coś bliżej nieokreślonego, jakaś nie—prawdziwość w tej postaci. Nieoczekiwanie mógłby pojawić się obraz: pokład statku, ale statku nierzeczywistego, obciętego bocznymi kurtynami z grubej, bogatej tkaniny; na pokładzie człowiek, Charles Cartwright, w strumieniach światła, ale nie słonecznego światła; krok lekki, dłonie zaciśnięte i ten głos, miły subtelny głos angielskiego żeglarza i dżentelmena, o wzmocnionej donośności.

— Nie, sir — mówił Charles Cartwright — obawiam się, że nie mogę udzielić panu odpowiedzi na to pytanie. Szeleszcząc opadły ciężkie kurtyny, zabrzmiała ostatnia synkopowana nuta, zapaliły się światła, a dziewczyny z pretensjonalnymi kokardami wołały: „Czekoladki? Lemoniada?”. Pierwszy akt *Wezwania morza* z Charlesem Cartwrightem w roli komendanta Vanstone’a dobiegł końca.

Spoglądając na dół ze swego punktu obserwacyjnego pan Satterthwaite uśmiechnął się.

Satterthwaite, mały, suchy człowieczek, był mecenasem sztuki, zatwardziałym, lecz sympatycznym snobem, którego nigdy nie pomijano w ważniejszych spotkaniach towarzyskich czy akcjach społecznych (zwrot „oraz pan Satterthwaite” niezmiennie zamykał listę gości). Był on przy tym obdarzony niezwykle inteligencją i wyostrzonym zmysłem obserwacyjnym.

Potrząsał teraz głową i mruczał pod nosem: — Nigdy bym się nie spodziewał. Nie, doprawdy, nigdy.

Rozległy się kroki. Satterthwaite odwrócił się. Potężny szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki wziął krzesło i usiadł. Miła, łagodna twarz tego człowieka mówiła sama za siebie: lekarz, Harley Street. Sir Bartholomew Strange był wziętym specjalistą chorób nerwowych, miał za sobą liczne sukcesy zawodowe, niedawno zaś otrzymał tytuł szlachecki z listy Birthday Honours*.

Przysunawszy sobie krzesło do pana Satterthwaite’a odezwał się:

— Czego by pan się nigdy nie spodziewał? Proszę zdradzić.

Satterthwaite wskazał z uśmiechem na postać szybko posuwającą się po ścieżce.

— Nie spodziewałbym się, że sir Charles tak długo tu wytrzyma... na tym wygnaniu.

— Ani ja, do krośset! — zaśmiał się tamten odrzucając do tyłu głowę. — Znam Charlesa od dziecka. Byliśmy razem w Oxfordzie. Zawsze ten sam — lepszy aktor w życiu niż na

* Tytuły nadawane w dniu urodzin królewskich.

scenie. Wiecznie gra. Nie może się powstrzymać, to jego druga natura. On nie wychodzi z pokoju, on „robi wyjście”, a jeszcze musi mieć do tego dobrą rolę. Uwielbia zmieniać rolę, to jego żywioł. Dwa lata temu rozstał się ze sceną, mówił, że potrzebuje cichego, sielskiego życia, z dala od świata, że chce się oddać swym dawnym żeglarskim zamiłowaniom. Przyjeżdża więc tutaj, buduje dom. W jego pojęciu prosty, wiejski dom. Z trzema łazienkami i Bóg wie czym. Podobnie jak pan, Satterthwaite, nie wierzyłem, że to długo potrwa. Charles jest tylko człowiekiem, musi mieć publiczność. Kilku emerytowanych kapitanów, grupka podstarzałych kobiet, pastor — to niewystarczające pole do popisu. Szczerze mówiąc sądziłem, że „prosty człowiek namiętnie kochający morze” wytrzyma najwyżej sześć miesięcy. A potem znuży się rolę. Że następnym jego wcieleniem będzie światowiec w Monte Carlo albo właściciel ziemski w Highlands. Nasz drogi Charles ma zmienną naturę.

Doktor przerwał na chwile długie przemówienie. Z czułością i rozbawieniem spoglądał na mężczyznę, który, nie wiedząc, iż jest przedmiotem rozmowy, posuwał się ścieżką, aby za chwile znaleźć się na tarasie.

— Cóż — podjął sir Bartholomew — wygląda na to, żeśmy się pomylili. Urok prostego życia działa nadal.

— Człowieka, który wiecznie gra, można łatwo błędnie ocenić — zauważył Satterthwaite. — Jego szczerych odruchów nie traktuje się poważnie.

Doktor skinął głową.

— Tak — powiedział z namysłem. — To prawda. Charles Cartwright wbiegł po schodkach na taras i radośnie powitał przyjaciół.

— „Mirabelle” przeszła samą siebie — zawołał. — Szkoda, że się pan nie wybrał, Satterthwaite.

Tamten tylko potrząsnął głową. Tyle razy chorował przepływając się przez Kanał, że stracił wszelkie iluzje co do wytrzymałości swego żołądka na pokładzie. Tego ranka obserwował „Mirabelle” z okna sypialni. Widząc ostrą bryzę, pan Satterthwaite gorąco dziękował Bogu, że znajduje się na suchym lądzie.

Sir Charles podszedł do okna bawialni i zawołał na służbę, by podano drinki.

— A dlaczego ty się nie wybrałeś, Tollie? — zwrócił się do przyjaciela. — Połowę swego czasu spędzasz na Harley Street, przekonując pacjentów, jak zbawienne jest życie na morzu, a sam co?

— Jest jeden wielki plus zawodu lekarza — rzekł na to sir Bartholomew. — Że nie trzeba koniecznie słuchać własnych rad.

Sir Charles zaśmiał się. Nieświadomie wciąż grał rolę obcesowego żywotnego wilka morskiego. Prezentował się świetnie, a lekka siwizna na skroniach dodawała mu jeszcze pewnej dystynkcji. Był tym, na kogo wyglądał: po pierwsze dżentelmenem, a po drugie aktorem.

— Sam pływałeś? — spytał doktor.

— Nie — sir Charles odwrócił się do szycownej pokojówki, która przyniosła tace z drinkami, i wziął szklaneczkę. — Miałem pomocnika. Tę małą Egg.

W jego głosie było coś takiego, może lekki akcent zakłopotania, że pan Satterthwaite spojrzał na niego badawczo.

— Panna Lytton Gore? Zna się trochę na żeglarstwie, prawda?

Sir Charles uśmiechnął się ze smutkiem.

— Czułem się jak szczur lądowy. Ale dzięki niej robię postępy.

Satterthwaite dokonał błyskawicznych skojarzeń. „Egg Lytton Gore... ona go tu trzyma... wiek... niebezpieczny wiek... i młoda dziewczyna... samo życie”. Sir Charles mówił dalej:

— Morze... nic się z nim nie równa... słońce, wiatr i morze... i prosta żeglarska pieśń, która ci towarzyszy w drodze do domu.

Rozejrzał się z upodobaniem po białych ścianach swego domu z trzema łazienkami, zimną i gorącą wodą w każdej sypialni, najnowszym systemem ogrzewczym i elektrycznym i całym zastępem służby: dwiema pokojówkami, kucharką i pomocą kuchenną. Sir Charles miał chyba dość przesadne pojęcie o prostocie życia.

Na progu stała wysoka, wyjątkowo brzydka kobieta. Podeszła do rozmawiających panów.

— Dzień dobry, panno Milray.

— Dzień dobry, sir Charles. Dzień dobry. — Lekko skinęła głową w stronę gości. — Przyszłam pokazać panu menu na kolację. Czy chciałby pan coś zmienić?

Sir Charles wziął menu i przeczytał półgłosem:

— Ano popatrzmy: melon kantalup, barszcz, świeżo złowiona makrela, głuszec, suflet *surprise*, *canapé Diane*... Doskonale, nie mam zastrzeżeń, panno Milray. Wszyscy przyjeżdżają pociągiem o 4.30.

— Dałam już dyspozycje Holgate'owi. Jeszcze jedno, sir Charles. Przepraszam pana, ale chyba lepiej, żebym jadła dziś z państwem przy stole.

Sir Charles był wyraźnie zaskoczony, odparł jednak uprzejmie:

— Oczywiście, panno Milray, będzie mi bardzo miło, tylko... eee...

Panna Milray wyjaśniła ze spokojem:

— Byłoby trzynaście osób, ludzie bywają przesądni, sir Charles.

Ton panny Milray wskazywał, że jeśli o nią idzie, sadzałaby codziennie trzynaście osób przy stole bez żadnych skrupułów.

— Chyba wszystkiego dopilnowałam — podjęła. — Kazałam Holgate'owi zabrać samochodem lady Mary i państwa Babbingtonów. Czy tak pan sobie życzył?

— Świetnie. Właśnie chciałem o to panią poprosić. Panna Milray oddaliła się z uśmiechem wyższości na swym surowym obliczu.

— Niesamowita kobieta — rzekł sir Charles z szacunkiem. — Czekam tylko, kiedy przyjdzie umyć mi zęby.

— Sama doskonałość — zauważył Strange.

— Pracuje u mnie od sześciu lat. Najpierw w Londynie jako sekretarka, a teraz tutaj jako idealna gospodyni. Dom chodzi jak w zegarku. I, wyobraźcie sobie, zamierza odejść.

— Dlaczego?

— Mówi — sir Charles podrapał się po nosie z powątpiewaniem — że ma chorą matkę. Nie wierzę w to.

Takie stwory jak ona w ogóle nie mają matek. Są generowane samoczynnie przez maszyny. Nie, to musi chodzić o coś innego.

— Niewykluczone — odezwał się Strange. — Krążą plotki...

— Plotki? — przerwał mu Cartwright szeroko otwierając oczy. — Na jaki temat?

— Chyba nie muszę ci tłumaczyć, Charles, czego dotyczą plotki.

— Chcesz powiedzieć, że plotkuje się o niej i o mnie? Przy jej wyglądzie? I wieku?

— Nie ma chyba jeszcze pięćdziesiątki.

— Pewno nie — zastanowił się aktor. — Ale serio, Tollie, zwróciłeś uwagę na jej twarz? Oczy, nos, usta, wszystko niby na miejscu, a jednak trudno to nazwać twarzą, kobiecą twarzą. Nawet najbardziej żądna sensacji jędza w okolicy nie mogłaby takiej fizjonomii kojarzyć z seksem.

— Nie doceniasz wyobraźni angielskiej starej panny! Sir Charles potrząsnął głową.

— Nie, to niemożliwe. W panie Milray jest jakaś odpychająca przyzwoitość, nawet angielska stara panna musi to zauważyć. Ta kobieta to chodząca cnota i przyzwoitość. Nie mówiąc o tym, że jest piekielnie użyteczna. Na sekretarki zawsze wybierani osoby diabelnie cnotliwe.

— I bardzo słusznie.

Cartwright zamyślił się głęboko. Strange zagadnął z innej beczki:

— Kto dziś będzie u ciebie?

— Angie, to raz.

— Angela Sutcliffe? Doskonale.

Pan Satterthwaite pochylił się z zainteresowaniem do przodu, ciekaw składu towarzystwa. Angela Sutcliffe była znaną aktorką, niemłoda już, ale wciąż cieszącą się dużym wzięciem, słynącą z inteligencji i wdzięku. Mówiło się o niej niekiedy jako o następczyni Ellen Terry.

— Dalej, Dacresowie.

Satterthwaite przytaknął w duchu z aprobatą.

Pani Dacres, czyli Ambrosine Ltd — dobrze prosperujący salon mody dla pań. Znany z programów teatralnych: „Stroje panny Blank w pierwszym akcie wykonała firma Ambrosine Ltd, Brook Street”. Kapitan Dacres, mówiąc jego własnym żargonem wyścigowym, był czarnym koniem. Większość czasu spędzał na wyścigach, sam przed laty startował w Grand National. Miał podobno kłopoty — jakie, nie wiadomo — krążyły tylko na ten temat pogłoski. Nie wszczęto przeciw niemu dochodzenia, nic nie wyszło na jaw, ale na wzmiankę o Freddie’em Dacresie ludzie unosili brwi.

— I Anthony Astor, wie pan, pisze sztuki...

— Tak, tak — skinął głową Satterthwaite. — Jest autorką *Ulicy jednokierunkowej*. Dwa razy to widziałem. Głośna rzecz.

Wyraźnie chciał się pochwalić, że wie, iż Anthony Astor to kobieta.

— Właśnie. Nie pamiętam jej prawdziwego nazwiska, chyba Wills. Raz tylko ją spotkałem. Zaprosiłem ją, żeby zrobić przyjemność Angeli. No i to wszyscy, jeśli idzie o przyjęcie.

— A miejscowi? — spytał doktor.

— Prawda! No wiec Babbington, to nasz pastor, pocziwina, nie przesadnie kaznodziejski, i jego żona, naprawdę urocza, dokszałca mnie w ogrodnictwie. Poza tym lady Mary z córką Egg. To już chyba koniec. A, jeszcze młody człowiek nazwiskiem Manders, dziennikarz czy coś takiego. Przystojny chłopak. To wszyscy goście.

Pan Satterthwaite był człowiekiem metodycznym. Zabrał się do liczenia.

— Panna Sutcliffe to raz, Dacresowie trzy, Anthony Astor cztery, lady Mary z córką sześć, pastor z żoną osiem, młody człowiek dziewięć, nasza trójka dwanaście. Ktoś źle obliczył. Albo pan, albo panna Milray.

— Na pewno nie panna Milray — zapewnił sir Charles. — Ona nigdy się nie myli. Zaraz, zaraz... tak, oczywiście, ma pan racje. Zapomniałem o jednej osobie. Zupełnie wyleciała mi z głowy. — I zachichotał. — Oj, nie byłby on tym zachwycony. Nie znam bardziej próżnego typu.

Pan Satterthwaite zamrugał powiekami. W jego przekonaniu aktorzy bili rekordy próżności. Nie wyłączając sir Charlesa. Bawiło go, że kocioł garnkowi przygania.

— Kto jest tym typem? — spytał.

— Dziwny facet — odparł sir Charles. — Zresztą dość znany. Może pan o nim słyszał? Herkules Poirot. Belg.

— A, ten detektyw. Spotkałem go kiedyś. Interesujący człowiek.

— Tak, to jest postać — przyznał sir Charles.

— Nie miałem okazji go poznać — odezwał się Strange — ale wiele o nim słyszałem. Chyba już jest na emeryturze. Przypuszczam, że krąży o nim wiele legend. Mam jednak nadzieje, że los zaoszczędzi nam zbrodni podczas tego weekendu.

— O co ci chodzi, Tollie? Że mamy pod dachem detektywa? Stawiasz wszystko na głowie.

— Och, mam swoją teorię.

— Jaką teorię, doktorze? — zainteresował się Satterthwaite.

— Uważam, że wydarzenia przychodzą do ludzi, nie ludzie do wydarzeń. Dlaczego jedni mają bogate życie, a inni nudne? Czy z powodu uwarunkowań? Wykluczone. Jeden człowiek może przemierzać świat wzdłuż i wszerz, a wszystko go omija. Tydzień przed jego przybyciem na miejsce masakra, a dzień po wyjeździe następuje trzęsienie ziemi, a statek, na który o mały włos nie wsiadł, rozbija się w katastrofie. Ktoś inny mieszka w Belham i codziennie dojeżdża do City, a w jego życiu jest pełno przygód. Zamieszany jest w afery z gangami szantażystów, pięknymi kobietami i zmotoryzowanymi przestępcami. Są ludzie, których obecność na pokładzie natychmiast powoduje katastrofę statku, nawet jeśli jest to tylko wycieczka po dekoracyjnym jeziorze. Tacy jak twój Herkules Poirot nie muszą szukać zbrodni, ona sama do nich przybędzie.

— W takim razie — skwitował Salterthwaite — lepiej, żeby panna Milray usiadła z nami do stołu. Unikniemy pechowej trzynastki.

— Niech ci będzie, Tollie — zgodził się sir Charles. — Możesz mieć swoją zbrodnię, skoro się do niej palisz. Pod jednym wszakże warunkiem. Że ofiarą nie będę ja.

I śmiejąc się wszyscy trzej weszli do domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

WYPADEK PRZED KOLACJĄ

Pana Satterthwaite'a głównie zajmowali ludzie. Trzeba powiedzieć, że bardziej interesowały go kobiety niż mężczyźni. Jak na mężczyznę z krwi i kości zbyt dużo wiedział o kobietach. W jego charakterze było coś niewieściego, coś, co pozwalało mu bliżej wejrzeć w kobiecą duszę. Przez całe jego życie damy chętnie mu się zwierzały, lecz nie traktowały go poważnie. Czasami napełniało go to goryczą. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze był tylko widzem, nigdy nie wyszedł na scenę, nie był bohaterem dramatu. Co prawda, rola obserwatora w gruncie rzeczy bardzo mu odpowiadała.

Tego wieczoru, gdy siedział w obszernym pokoju, zręcznie urządzonego przez nowoczesną firmę na wzór luksusowej kabiny okrętowej, zajął się odcieniem farbowanych włosów Cynthii Dacres. Zupełnie nowy kolor, zapewne prosto z Paryża — ciekawy, przyjemny efekt zielonkawego brązu. Jak naprawdę wyglądała pani Dacres, nie sposób powiedzieć. Była wysoką kobietą o figurze doskonale podporządkowanej dyktatom chwili. Na szyi i ramionach — lekka opalenizna, jaką daje wiejskie letnie słońce. Bóg raczy wiedzieć, sztuczna czy naturalna. Zielonkawobrazowe włosy ułożone w wymyślną fryzurę, najnowszy krzyk mody, z pewnością ręką najlepszego fryzjera w Londynie. Wyskubane brwi, przyciemnione rzęsy, idealny makijaż, lekki łuk nadany prostej linii warg — wszystko to stanowiło dodatek do wspaniałej wieczorowej sukni o głębokim, niezwykłym niebieskim odcieniu. Krój sukni był prosty tylko na pierwszy rzut oka, materiał zupełnie niespotykany — matowy, emanujący ukrytym światłem.

„Pomysłowa niewiasta — stwierdził w duchu Satterthwaite z aprobatą. — Ciekawe, jaka jest naprawdę”. Tym razem miał na myśli nie ciało, lecz duszę. Cedziła słowa, jak to było chwilowo w modzie. — To było niemożliwe. Cóż, rzeczy są albo możliwe, albo niemożliwe. A to było niemożliwe. Po prostu, niesamowite.

Modne ostatnio słowo — wszystko było niesamowite. Sir Charles, energicznie wstrząsając cocktailami, gawędził z Angelą Sutcliffe, wysoką siwiejącą kobietą z figlarnymi ustami i przepięknymi oczami.

Dacres rozmawiał ze Strange'em.

— Każdy wie, co jest nie w porządku ze starym Ladisbourne'em. Cała stajnia to wie.

Mówił wysokim głosem, skracał słowa — mały rudy lisi mężczyzna z krótkim wąsikiem i chytrymi oczkami.

Obok Satterthwaite'a siedziała panna Wills, której sztuka *Ulica jednokierunkowa* została uznana za jedno z najbardziej błyskotliwych i śmiałych przedstawień scen londyńskich ostatnich lat. Panna Wills, wysoka i chuda, miała cofniętą brodę, fatalnie ułożone blond włosy, wysoki, nie dystyngowany głos. Nosiła pince-nez. Ubrana była w zbyt zwiewną zieloną szyfonową suknie.

— Byłam w południowej Francji — mówiła. — Ale prawdę mówiąc, wcale mi się tam nie podobało. Ludzie nieprzyjaźni. Ale cóż, potrzebne mi to do pracy, muszę poznać różne środowiska.

Satterthwaite pomyślał: „Biedaczka. Sukces odciął ją od duchowej ojczyzny — pensjonatu w Bournemouth. Tam by się czuła dobrze”. I zadumał się nad różnicą pomiędzy utworem literackim a jego autorem. Próbował odszukać u panny Wills jakąś iskierkę tego światowego tonu, który cechował sztuki Anthony'ego Astora. Zauważył nagle, że bladoniebieskie oczy za pince-nez są niezwykle inteligentne. Szacowały go dokładnie, co lekko zbijało z tropu. Zupełnie jakby panna Wills starannie przyswajała sobie każdy szczegół jego osoby.

Sir Charles rozlewał cocktaile.

— Pozwoli pani, że podam cocktail — powiedział zrywając się Satterthwaite.

Panna Wills zachichotała.

— Ach, nie mam nic przeciwko temu — powiedziała.

Otworzyły się drzwi. Pokojówka Temple zaanonsowała kolejnych gości: lady Mary Lytton Gore, państwa Babbingtonów i pannę Lytton Gore.

Satterthwaite przyniósł cocktail pannie Wills, po czym wycofał się dyskretnie w stronę lady Mary Lytton Gore. Jak już powiedziano, miał słabość do tytułów. Niezależnie od swego snobizmu lubił damy, a lady Mary była damą, to fakt niezaprzeczalny.

Gdy owdowiała, znalazła się w trudnej sytuacji materialnej. Sama, z trzyletnią córeczką, przyjechała do Loomouth, gdzie wynajęła mały domek. Mieszkała tu z jedną oddaną służącą. Szczupła, wysoka kobieta, miała pięćdziesiąt pięć lat, ale robiła wrażenie starszej. Wyglądała na osobę łagodną i nieśmiałą. Córkę uwielbiała, choć budziła ona w niej niepokój.

Hermione Lytton Gore, zwana z jakiegoś bliżej nieznanego powodu Egg*, nie była podobna do matki. Należała do typu kobiet energicznych. Pan Satterthwaite doszedł do wniosku, że nie jest piękna, choć niewątpliwie atrakcyjna. Jej wdzięk, myślał, wypływał przede wszystkim z olbrzymiej witalności. W tym towarzystwie była żywotna za dwoje. Ciemnowłosa, średniego wzrostu. W wijących się na szyi loczkach, w prostym spojrzeniu szarych oczu, w linii policzków, w zaraźliwym śmiechu — było coś, co kojarzyło się z bujną młodością i energią życiową.

Rozmawiała z Oliverem Mandersem, nowo przybyłym gościem.

— Nie rozumiem, dlaczego tak cię nudzi żeglowanie. Kiedyś za tym przepadałeś.

— Egg, kochanie, człowiek przecież dorasta.

Cedził słowa, unosząc wysoko brwi.

„Przystojny chłopak — pomyślał Satterthwaite — można mu dać ze dwadzieścia pięć lat. Może tylko trochę za gładki? Nie, to coś innego. Coś obcego? Coś nieangielskiego, tak...”

Olivera Mandersa obserwowała jeszcze jedna osoba. Mały człowieczek z jajowatą głową i bardzo cudzoziemskim wąsem. Satterthwaite przywołał wspomnienie Herkulesa Poirota. Sympatyczny Belg budził podejrzenie, że rozmyślnie podkreśla swą obcość. Jego małe błyszczące oczka zdawały się mówić: „Wyglądam na bufona? Odgrywam komedię? *Bien*, niech będzie i tak”.

Teraz jednak w oczach Herkulesa Poirota nie igrał żaden błysk. Patrzyły z powagą i odrobiną smutku.

Jego wielebność pastor Loomouth, Stephen Babbington, podszedł do lady Mary i pana Satterthwaite’a. Przeszło sześćdziesięcioletni mężczyzna o łagodnych zgaszonych oczach, rozbrajająco nieśmiały. Zwrócił się do Satterthwaite:

— Wielkie to dla nas szczęście, że mamy tu sir Charlesa. Dobry człowiek, bardzo szlachetny. Cudowny sąsiad. Na pewno lady Mary zgodzi się ze mną.

Lady Mary uśmiechnęła się.

— Bardzo go lubię. Sukces nie przewrócił mu w głowie. W dużym stopniu — uśmiechnęła się znowu — to jeszcze chłopiec.

Podeszła pokojówka z cocktailami na tacy, a pan Satterthwaite pomyślał o niewyczerpanym instynkcie macierzyńskim kobiet. Jego wiktoriańska natura pochwałała te cechy.

— Możesz wypić jeden cocktail, mamó — odezwała się Egg, która podbiegła ze szklanką w ręku. — Tylko jeden.

— Dziękuję ci, kochanie — odparła potulnie lady Mary.

— Myślę — powiedział Babbington — że i mnie żona pozwoli.

I roześmiał się cienkim księżym chichotem.

* ang. jajko.

Satterthwaite spojrział na panią Babbington, która wdała się w gorącą dyskusję z sir Charlesem na temat nawozów.

„Ma ładne oczy” — pomyślał.

Pani Babbington, wysoka zaniedbana kobieta, wyglądała na osobę pełną energii, pozbawioną małostkowości. Zaczyna, jak określił ją Charles Cartwright.

— Proszę mi powiedzieć — lady Mary pochyliła się do przodu — kim jest ta młoda osoba, ubrana na zielono, z którą pan rozmawiał, kiedy przyszliśmy?

— Pisarka. Anthony Astor.

— Co takiego? Taka anemiczna! Och! — I szybko poprawiła się. — Co za okropne rzeczy wygaduje. Ale to zaskakujące. Nie wygląda... to znaczy wygląda... wypisz wymaluj nieudolna przełożona pielęgniarek.

Na tak trafny opis panny Wills Satterthwaite zaśmiał się serdecznie. Babbington rozglądał się po pokoju z życzliwym wyrazem swych krótkowzrocznych oczu. Pociągnął łyk ze szklanki, zakrztusił się lekko. Nie ma wprawy w picie cocktailów, pomyślał ubawiony Satterthwaite, kojarzą mu się na pewno z nowoczesnością, ale mu nie smakują. Babbington, zdeterminowany, wypił jeszcze jeden łyk, skrzywił się i powiedział:

— Czy to ta dama? Och, Boże... Podniósł rękę do gardła. Rozległ się głos Egg.

— Oliver, jesteś nierzetelnym Shylockiem... „Jasne — pomyślał Satterthwaite — to taka sprawa.

— Nie cudzoziemiec, Żyd. Co za przystojna para. Oboje tacy młodzi i piękni... i kłócą się — to zawsze zdrowy objaw...”

Z rozmyślań wyrwał go jakiś hałas z boku. Babbington chwiały się na nogach. Twarz miał konwulsyjnie wykrzywioną.

Lady Mary wstała i wyciągnęła troskliwie rękę. Uwagę wszystkich ściągnął jasny głos Egg.

— Popatrz — mówiła — pan Babbington zachorował. Strange rzucił się naprzód, podtrzymał zataczającego się pastora i lekko unosząc przeniósł na sofę w rogu pokoju. Reszta towarzystwa stłoczyła się wokół, wszyscy chcieli pomóc, byli jednak bezradni.

W dwie minuty później sir Bartholomew wyprostował się, pokręcił głową. Nie było sensu ukrywać prawdy, powiedział bez ogródek:

— Niestety. Nie żyje...

ROZDZIAŁ TRZECI

SIR CHARLES SIĘ ZASTANAWIA

— Niech pan tu pozwoli na chwilę, Satterthwaite.

Sir Charles wysunął głowę przez drzwi.

Od wypadku minęło półtorej godziny. Po początkowym zamieszaniu zaległa cisza. Lady Mary wyprowadziła łkającą panią Babbington i poszła z nią na plebanie. Panna Milray z całą energią zajęła się telefonowaniem. Przyjechał miejscowy lekarz. Podano uproszczoną kolację i goście bez słowa rozeszli się do swoich pokojów. Pan Satterthwaite też miał zamiar udać się do siebie, gdy sir Charles zawołał go przez drzwi pokoju okrętowego, w którym nastąpił wypadek.

Satterthwaite wchodząc musiał opanować lekki dreszcz. Starszy człowiek nie lubi widoku śmierci. Może niedługo i na niego przyjdzie kolej...? Ale po co o tym myśleć?

„Mogę się trzymać jeszcze i dwadzieścia lat” — stwierdził dziarsko sam przed sobą.

W pokoju okrętowym był jeszcze Bartholomew Strange. Na widok Satterthwaite'a pokiwał głową z aprobatą.

— Odpowiedni człowiek — rzekł. — Satterthwaite może nam coś wnieść. Zna życie.

Satterthwaite lekko zdziwiony siadł w fotelu obok doktora. Sir Charles chodził tam i z powrotem po pokoju, zapomniawszy o zaciskaniu dłoni i nie wyglądał już tak bardzo jak wilk morski.

— Charlesowi nie podoba się to wszystko — stwierdził sir Bartholomew. — Mam na myśli śmierć biednego Babbingtona.

Źle to określił, pomyślał Satterthwaite. Nikomu nie mogło podobać się to, co się stało. Strange'owi musiało chodzić o coś zupełnie innego, tylko użył nieodpowiednich słów.

— To bardzo przygnębiająca sprawa — odezwał się Satterthwaite badając ostrożnie grunt. — Doprawdy bardzo — powtórzył i znowu przeszedł go dreszcz na wspomnienie wypadku.

— Hm, tak, to przykre — odparł lekarz, a w jego głosie pojawił się na chwilę zawodowy ton.

Cartwright przerwał wędrówkę.

— Powiedz, Tollie, widziałeś, żeby ktoś w ten sposób umierał?

— Nie — pokręcił głową z namysłem sir Bartholomew. — Nie widziałem.

A po chwili dodał:

— Ale nie byłem świadkiem zbyt wielu zgonów. Lekarz chorób nerwowych nie uśmierca swoich pacjentów. Trzyma ich przy życiu i na nich zarabia. MacDougal poznał śmierć o wiele lepiej ode mnie, mogę cię zapewnić.

Wezwany przez pannę Milray MacDougal był miejscowym lekarzem.

— MacDougal nie asystował przy samej śmierci. Kiedy przyszedł, Babbington już nie żył. Oparł się na tym, co mu powiedzieliśmy, co ty mu powiedziałaś. Stwierdził, że to był jakiś atak, że Babbington był już stary i zdrowie mu nic dopisywało. To mnie nie przekonuje.

— Nie tylko ciebie, pewno i jego — mruknął sir

Bartholomew. — Lekarz musi coś powiedzieć. Atak jest dobrym słowem, nic nie znaczy, a przemawia do laika.

Zresztą Babbington był rzeczywiście stary i ostatnio miał kłopoty ze zdrowiem. Jego żona to potwierdziła. Mógł mieć jakiś słaby punkt, którego nikt nie podejrzewał.

— Uważasz, że to był typowy atak czy paroksyzm, czy jak to tam określicie?

— Typowy dla czego?

— Dla jakiejś choroby.

— Gdybyś studiował medycynę — odparł Strange — wiedziałbyś, że typowe przypadki prawie się nie zdarzają.

— Co właściwie pan sugeruje, sir Charles? — spytał Satterthwaite.

Cartwright nic na to nie odrzekł. Zrobił tylko nieokreślony ruch ręką. Strange zachichotał pod nosem.

— Charles sam siebie nie zna — powiedział. — Jego umysł sam zmierza ku najbardziej dramatycznym rozwiązaniom.

Sir Charles obruszył się z gestem wymówki. Widać było, że coś go nurtuje, że rozważa jakąś myśl. Potrząsnął lekko głową w zadumie.

Satterthwaite męczył się przez chwilę: sir Charles kogoś mu przypominał. Wreszcie skojarzył: Aristide Duval, szef Secret Service, rozplątujący zawikłaną zagadkę podziemnej siatki. Tak, teraz był tego pewien, sir Charles bezwiednie utykał. Aristide'a Duvala powszechnie nazywano Kulasem.

Sir Bartholomew zdrowym rozsądkiem studził bezlitośnie niesprecyzowane podejrzenia Cartwrighta.

— Co właściwie podejrzewasz, Charles? Samobójstwo? Morderstwo? Kto mógłby chcieć zabić nieszkodliwego starego pastora? Nieprawdopodobne. Samobójstwo? Taka ewentualność jest do rozważenia. Może znalazłby się jakiś powód, dla którego Babbington postanowił skończyć ze sobą...

— Na przykład?

— Niezbadane są tajniki duszy ludzkiej — zamyślił się Strange. — Jedno przychodzi mi tylko do głowy: przypuśćmy, że Babbington dowiedział się, że cierpi na nieuleczalną chorobę, na przykład na raka. Miałby wtedy jakiś motyw. Nie chciał, by żona była świadkiem jego długich cierpień. To tylko moja sugestia, rzecz jasna. Nie mamy żadnych podstaw, by sądzić, że Babbington chciał ze sobą skończyć.

— Właściwie nie miałem na myśli samobójstwa — wtrącił Cartwright.

Bartholomew Strange znowu cicho zachichotał.

— Właśnie. Tobie nie chodzi o prawdopodobieństwo. Ale o sensację. Najlepiej: nieznaną, niewykrywalną trucizną w cocktailu.

Sir Charles skrzywił się wymownie.

— Myślisz, że o to mi chodzi? Do licha, Tollie, nie zapominaj, że to ja przygotowywałem cocktaile.

— Nagły atak maniaka-zabójcy? U nas co prawda objawy są spóźnione, ale do rana wszyscy będziemy na tamtym świecie.

— Do diabła, kpisz sobie, a tu... — przerwał sir Charles z irytacją.

— Wcale nie żartuję — powiedział lekarz.

Mówił teraz zmienionym głosem. Poważnym i nie pozbawionym emocji.

— Nie żartuję sobie ze śmierci biednego Babbingtona. Ośmieszam tylko twoje sugestie, Charles. Wiesz, nie chciałbym, żebyś niechcący wyrządził komuś krzywdę.

— Krzywdę? — zdumiał się sir Charles.

— Pan rozumie, do czego zmierzam, Satterthwaite?

— Chyba mogę się domyślić — odparł zapytany.

— Nie zdajesz sobie sprawy, Charles — podjął sir Bartholomew — ile szkody mogą wyrządzić puste podejrzenia. Takie rzeczy się rozchodzą. Boję się, że twoje niesprecyzowane sugestie, zupełnie zresztą bezpodstawne, postawią panią Babbington w mocno kłopotliwym i przykrym położeniu. Byłem już świadkiem takich historii. Nagła śmierć, złe języki, plotki przekazywane z ust do ust, plotki, które narastają i których nikt nie jest już w stanie powstrzymać. Do licha, Charles, nie rozumiesz, jakie to okrutne i niepotrzebne? Puszczasz wodze swej bogatej wyobraźni, która pędzi galopem wyimaginowanym torem.

Na twarzy aktora pojawił się wyraz niezdecydowania.

— Nie pomyślałem o tym — przyznał.

— Dobry z ciebie chłop, Charles, ale ponosi cię fantazja. Sam powiedz, naprawdę sądzisz, że ktokolwiek, ktokolwiek na świecie, mógłby chcieć zabić tego dobrotliwego staruszka?

— Chyba nie — przyznał Cartwright. — Nie, to zupełnie bez sensu, zgadzam się z tobą. Przykro mi, Tollie. Ale wierz mi, to nie był popis z mojej strony, naprawdę miałem odczucie, że coś tu nie gra.

Satterthwaite chrząknął.

— Czy mogę się wtrącić? Babbington zachorował zaraz po wejściu do pokoju i bezpośrednio po wypiciu cocktailu. Zauważyłem przypadkiem, że pociągając ze szklanki krzywił się. Pomyślałem sobie, że jest po prostu nie przyzwyczajony do smaku cocktailu. Przypuśćmy jednak, że hipoteza sir Bartholomewa jest słuszna, że Babbington z jakiegoś powodu chciał popełnić samobójstwo. W moim przekonaniu jest taka możliwość, natomiast koncepcja zbrodni wydaje się po prostu śmieszna. Tak, jest możliwe, choć mało prawdopodobne, że Babbington po kryjomu wrzucił coś do swojej szklanki. Chyba niczego tu jeszcze nie ruszono. Szklanki stoją na swoich miejscach. Ta jest Babbingtona. Wiem o tym, bo siedziałem tutaj i z nim rozmawiałem. Proponuje, żeby sir Bartholomew dał ją do analizy, taką rzecz można zrobić po cichu, bez hałasu.

Strange wstał i wziął szklanę.

— Dobrze — powiedział. — To się da zrobić i stawiam dziesięć funtów, Charles, że nie ma tu nic poza najuczciwszym dżinem i wermutem.

— Stoi! — sir Charles przyjął zakład. I dodał uśmiechając się ze skruchą:

— Czy wiesz, Tollie, że jesteś częściowo odpowiedzialny za wyskoki mojej wyobraźni?

— Ja?

— Tak, przez to, co mówiłeś dziś rano o zbrodni. Że Herkules Poirot jest jak ptak zwiastujący burzę, gdzie się pojawi, tam ściąga zbrodnie. Przyjeżdża do nas i zaraz mamy nagłą podejrzaną śmierć. Nic dziwnego, że od razu przyszło mi do głowy morderstwo.

— Ciekaw jestem... — zaczął pan Satterthwaite.

— Tak — wpadł mu w słowo Cartwright. — Też o tym myślałem. Jak uważasz, Tollie? Czy możemy zapytać go o zdanie? Czy to nie kłóci się z etyką zawodową?

— Słuszne pytanie — stwierdził pod nosem Satterthwaite.

— Znam się na etyce lekarzy, ale żebyś mnie zabił, nic ci nie powiem o etyce detektywów.

— Nie można wymagać od zawodowego śpiewaka, żeby śpiewał na zawołanie — mruknął Satterthwaite. — A czy można poprosić zawodowego detektywa, żeby coś wyszedł? Bardzo słuszne pytanie.

— Chodzi nam tylko o opinie — powiedział sir Charles. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i ukazała się głowa Herkulesa Poirota, który zajrzał nieśmiało do pokoju.

— Niechże pan wejdzie — zawołał Cartwright podrywając się z miejsca. — Właśnie rozmawialiśmy o panu.

— Nie chciałbym przeszkadzać.

— Ależ wcale pan nie przeszkadza. Niech pan wejdzie i się napije.

— Nie, nie, dziękuję. Rzadko pijam whisky. Szklaneczkę soku, tak.

Sok nie był jednak napojem godnym uwagi w pojęciu sir Charlesa. Posadził gościa na krześle i od razu przeszedł do rzeczy.

— Powiem bez owijania w bawełnę. Rozmawialiśmy właśnie o panu, *monsieur* Poirot i... i... o tym, co się dziś wydarzyło. Czy pana zdaniem coś tu budzi podejrzenia?

Poirot uniósł brwi.

— Podejrzenia? Jak mam to rozumieć?

— Mój przyjaciel wbił sobie do głowy — wtrącił Bartholomew Strange — że Babbington został zamordowany.

— A pan tak nie uważa?

— Chcielibyśmy wiedzieć, co pan uważa.

Poirot odparł z namysłem:

— Tak, zachorował raptownie, doprawdy bardzo raptownie.

— Otóż to.

Pan Satterthwaite przedstawił teorie samobójstwa i swoją sugestie, żeby oddać szklankę do analizy.

Poirot przytaknął.

— To nikomu nie zaszkodzi. Ale jako znawca natury ludzkiej mogę panom wyznać, że nie istnieje najmniejsze prawdopodobieństwo, iżby ktoś chciał się pozbyć tego uroczego, łagodnego dżentelmena. Jeszcze mniej przemawia do mnie teoria samobójstwa. W każdym razie, szklanka powie nam tak lub nie.

— A jak pan myśli, co powie? Poirot wzruszył ramionami.

— Ja? Mogę tylko zgadywać. Prosi pan, żebym odgadł, jaki będzie wynik analizy?

— Tak. Jaki?

— Dobrze, już zgaduje: eksperci znajdą tylko i wyłącznie resztki wybornego dry Martini. — I skłonił się w stronę sir Charlesa. — Otrucie kogoś cocktailem, jednym z wielu krążących po pokoju na tacy, to doprawdy sposób niezwykle, niezwykle trudny. A gdyby ten sympatyczny pastor chciał popełnić samobójstwo, nie sądzę, by uczynił to na przyjęciu. Oznaczałoby to bowiem całkowity brak względów dla bliźnich, a pan Babbington zrobił na mnie wrażenie osoby pełnej względów. — Przerwał na chwilę i zakończył: — Życzyli sobie panowie poznać moje zdanie, oto ono.

Zapadło milczenie. Sir Charles westchnął głęboko. Otworzył okno i wyjrzał na dwór.

— Przestało wiać — stwierdził.

Znowu był żeglarzem, rozstał się z detektywem Secret Service.

Bystry obserwator Satterthwaite pomyślał sobie jednak, że sir Charles załuje trochę roli, której w końcu nie przyjdzie mu zagrać.

ROZDZIAŁ CZWARTY WSPÓŁCZESNA ELAINE

— Dobrze, ale co pan uważa? Co pan naprawdę uważa?

Satterthwaite rozejrzył się na boki. Nie było ucieczki. Na rybackim moło spotkał Egg Lytton Gore, która przyparła go do ściany. Bezwzględne są te dzisiejsze dziewczęta i przerażająco żywotne!

— Widzę, że sir Charles zaraził panią swymi pomysłami.

— Skąd. Sama na to wpadłam. Od razu. To się stało zbyt nagle.

— Cóż, starszy pan szwankował na zdrowiu... Egg ucięła rozpoczętą przemowę.

— To wszystko trele morele — powiedziała. — Cierpiał na korzonki nerwowe i reumatyzm. Z takiego powodu człowiek nie dostaje ataku. Nigdy nie miał żadnych ataków. Konstrukcja skrzypi, ale to jeszcze nic znaczy, że się wali. Mógł spokojnie dożyć dziewięćdziesiątki. A co pan sądzi o werdykcie?

— Cóż, całkiem... eee... normalny.

— A orzeczenie doktora MacDougala? Szalenie specjalistyczne, dokładny opis organów. Nic uderzyło pana, że tą lawiną słów chciał się wykręcić od zajęcia stanowiska? Mówiąc krótko, powiedział: nie ma oznak, że śmierć nastąpiła z innych przyczyn niż naturalne. Nie stwierdził, że była skutkiem przyczyn naturalnych.

— Dzieli pani włos na czworo, moje dziecko.

— To doktor dzielił włos, coś podejrzewał, ale nie miał się na czym oprzeć, więc obwarował się terminami medycznymi. A co myśli sir Bartholomew?

Satterthwaite przytoczył niektóre opinie Strange'a.

— Zbagatelizował całą sprawę? — Egg zastanawiała się przez chwilę. — Jasne, to człowiek ostrożny. Wyobrażam sobie, że ważna figura z Harley Street nie może sobie pozwolić na ryzyko.

— W szklance nie było nic poza dżinem i wermutem — przypomniał Satterthwaite.

— Tak, to niby wszystko załatwia. A jednak, coś wydarzyło się po werdykcie...

— Sir Bartholomew to pani powiedział? Satterthwaite poczuł przyjemną ciekawość.

— Nie mnie, Oliverowi. Oliver Manders był u sir Charlesa na przyjęciu, nie wiem, czy pan go sobie przypomina.

— Świetnie go pamiętam. To pani bliski przyjaciel?

— Kiedyś tak. Teraz zawsze się kłócimy. Pracuje u swego wuja w Londynie i stał się trochę, hm, odpychający. Wciąż mówi, że rzuci to wszystko i zostanie dziennikarzem, ma zresztą zupełnie niezłe pióro. Ale to chyba tylko takie gadanie. Chce być bogaty i tyle. Nie uważa pan, że ludzie są wstrętni, jeśli idzie o pieniądze?

Satterthwaite zdał sobie w pełni sprawę, jak bardzo ona jest młoda — mała aroganka dziewczynka.

— Ludzie są wstrętni, jeśli idzie o bardzo wiele spraw, moje dziecko.

— Tak, przeważnie ludzie to świnie — zgodziła się ochoczo Egg. — Dlatego tak się martwię panem Babbingtonem. To był bardzo dobry człowiek. Przygotowywał mnie do confirmacji. To wielka bzdura, ale on był cudowny. Widzi pan, ja naprawdę wierzę w chrześcijaństwo. Chociaż inaczej niż moja matka, nie uznaję modlitewników, porannych nabożeństw, wierze rozumnie, w zjawisko historyczne. Kościół jest zaskorupały w tradycji Pawiowej — prawdę powiedziawszy Kościół jest okropny, ale chrześcijaństwo jest w porządku. Dlatego nie jestem zwolenniczką komunizmu jak Oliver. Właściwie to wierzymy w te same rzeczy, na przykład we wspólną własność, różnimy się jednak bardzo, wole w to nie wnikać. Babbingtonowie to prawdziwi chrześcijanie. Nie wścibiali nigdy nosa w cudze sprawy, nie potępiali. Dobrzy, życzliwi ludzie, no i ten Robin...

— Robin?

— Ich syn... Został zabity w Indiach... Podkochiwałam się w nim...

Egg zmrużyła oczy i zatopiła wzrok w morzu... Po chwili wróciła do terażniejszości i pana Satterthwaite'a.

— Sam pan widzi, bardzo to przeżywam. Przypuśćmy, że to nie była śmierć naturalna...

— Ależ, dziecko!

— Cholernie dziwna sprawa! Musi pan przyznać, cholernie dziwna.

— Przecież powiedziała pani, że Babbingtonowie nie mieli ani jednego wroga.

— Dlatego to wszystko jest takie niesamowite. Nie przychodzi mi do głowy żaden sensowny motyw...

— Cóż za fantazje! W cocktailu niczego nie było.

— Może dostał jakiś zastrzyk.

— Z trucizną z indiańskich strzał? — zasugerował pan Satterthwaite z lekkim szyderstwem.

Egg zaśmiała się.

— Właśnie. Stare, sprawdzone, skuteczne metody. Och, wszyscy jesteście bardzo pewni siebie. Może kiedyś przekonacie się, że to my mieliśmy racje.

— My?

— Sir Charles i ja — zarumieniła się.

Pan Satterthwaite przypomniał sobie cytat — jego pokolenie wychowywało się na Cytatach na każdą okazję, książce, która zawsze stała w domowej biblioteczce. „Przeszło dwukrotnie od niej starszy, A na policzku ślad cięcia starej szabli, Twarz poorana, spalona słońcem, ona uniosła oczy I kochała go, tą miłością, która była jej zgubą”^{*}. Zawstydzził się trochę, że myśli cytatami. A Tennyson nie był dzisiaj modny. Zresztą, sir Charles był co prawda opalony, lecz nie miał blizn, a Egg Lytton Gore, choć na pewno zdolna do wielkiej namiętności, nie wyglądała na osobę, która miałaby spływać barką po rzekach i ginąć w imię miłości. Niczym nie przypominała Elaine „panny z Astolat” Tennysona.

„Poza młodością” — dodał w duchu Satterthwaite. Jak świat światem dziewczynom podobali się panowie w sile wieku z interesującą przeszłością. Egg zapewne nie stanowiła wyjątku.

— Dlaczego on się nigdy nie ożenił? — spytała raptem.

— Cóż... — zaczął pan Satterthwaite i urwał. Gdyby miał być szczery, powiedziałby „przez rozagę”, doszedł jednak do wniosku, że taka odpowiedź byłaby nie do przyjęcia dla Egg.

Sir Charles Cartwright miał wiele romansów, z aktorkami i nie tylko, ale zawsze udawało mu się jakoś ustrzec przed małżeństwem. Egg wyraźnie czekała na coś romantycznego.

— A ta kobieta, która zmarła na suchoty? Aktorka, nazwisko na M. Czy nie był w niej bardzo zakochany?

Satterthwaite pamiętał te damę. Ludzie łączyli jej nazwisko z osobą sir Charlesa, był to jednak luźny związek i pan Satterthwaite ani przez chwile nie wierzył, że Cartwright nie ożenił się, by pozostać wiernym pamięci tamtej kobiety. Dał to możliwie taktownie do zrozumienia.

— Na pewno miał wiele przygód miłosnych — powiedziała Egg.

— Eee... hm... zapewne — mruknął Satterthwaite czując się bardzo wiktoriański.

— Lubię mężczyzn z przeszłością — stwierdziła. — Przynajmniej wiadomo, że nie są pedałami.

Wiktorianizm starszego pana otrzymał kolejny cios. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Egg nie zauważyła jego zmieszania i mówiła dalej z zadumą w głosie:

* Alfred Tennyson, The Idylls of the King. Lancelot and Elaine.

— Wie pan, sir Charles jest bardziej inteligentny, niż pan myśli. Oczywiście, gra, pozuje. Ale pod tym wszystkim kryje się rozum. Jest lepszym żeglarzem, niż sam o sobie opowiada. Słuchając go pomyśleć można, że udaje, ale to nieprawda. Podobnie jest w tej sprawie. Czyni wrażenie, że działa dla efektu, że chce odegrać rolę wielkiego detektywa. A ja panu mówię, że wywiązałyby się dobrze z tej roli.

— Zapewne, zapewne — zgodził się pan Satterthwaite.

Ton głosu mówił wyraźnie o jego uczuciach. Egg rozszyfrowała je i wyraziła słowami:

— A pan uważa, że *Śmierć pastora* nie jest powieścią kryminalną. Że to tylko *Przykry wypadek na przyjęciu*.

Czysto towarzyska katastrofa. Jakie jest zdanie *monsieur* Poirota? On powinien wiedzieć.

— *Monsieur* Poirot zalecił nam poczekać na wynik analizy. Był zresztą przekonany, że wszystko będzie w zupełnym porządku.

— No cóż — rzekła na to Egg. — Starzeje się. Wpadł z czołówki.

Satterthwaite drgnął. Egg, nieświadoma własnej brutalności, mówiła dalej:

— Niech pan wpadnie do mamy na herbatkę. Lubi pana. Tak powiedziała.

Satterthwaite, mile połaskotany, przyjął zaproszenie.

W domu Egg zaproponowała, że zadzwoni do sir Charlesa i wytłumaczy, gdzie jest jego gość.

Gość tymczasem został poproszony do małego saloniku z wypłowiałymi obiciami i wypolerowanymi starymi meblami. Pokój wiktoriański, pokój prawdziwej damy, pomyślał pan Satterthwaite z ukontentowaniem.

Rozmowa z lady Mary nie była błyskotliwa, ale za to bardzo miła. Mówili o sir Charlesie. Czy pan Satterthwaite dobrze go zna? Tak, choć nie są bliskimi przyjaciółmi. Satterthwaite miał udział finansowy w jednej ze sztuk aktora kilka lat temu. Od tej pory się znają.

— To człowiek z wielkim wdziękiem — stwierdziła z uśmiechem lady Mary. — Jestem pod jego urokiem na równi z Egg. Chyba zauważył pan, że Egg uprawia kult bohatera?

Satterthwaite zadał sobie pytanie, czy lady Mary jako matka jest zadowolona z tego kultu. Nic jednak nie wskazywało na to, że ma jakiegokolwiek obiekcje.

— Egg prawie w ogóle nie bywa — powiedziała z westchnieniem. — Jesteśmy biedne. Kiedyś mój kuzyn zabrał ją do Londynu, wprowadził do kilku domów, ale od tamtej pory niemal się stąd nie ruszała, nie licząc jakiejś okazjonalnej wizyty. W moim przekonaniu młodzi powinni poznawać nowych ludzi i nowe miejsca, zwłaszcza ludzi. W przeciwnym razie... cóż... czyjaś bliskość może stwarzać pewne niebezpieczeństwo.

Satterthwaite pokiwał głową — myślał o sir Charlesie i żeglowaniu. Lady Mary chodziło jednak o coś innego, czemu dała wyraz chwilę później.

— Przyjazd sir Charlesa miał wielkie znaczenie dla Egg. Poszerzył jej horyzonty. Tutaj mieszka bardzo niewiele młodzieży, szczególnie chłopców. Zawsze się bałam, że Egg mogłaby wyjść za mąż z przypadku, tylko dlatego, że jest skazana na czyjaś obecność i nikogo innego nie widuje.

Satterthwaite intuicyjnie zadał pytanie:

— Myśli pani o Oliverze Mandersie?

Lady Mary zarumieniła się szczerze zaskoczona.

— Och, nie wiem, w jaki sposób pan się domyślił. Tak, o niego właśnie mi chodzi. Egg i on byli kiedyś ze sobą dość blisko. Wiem, że jestem staroświecka, ale nie podobają mi się pewne poglądy tego młodzieńca.

— Młodość musi się wyszumieć — stwierdził Satterthwaite.

Lady Mary potrząsnęła głową.

— Tak się bałam... oczywiście, wszystko jest w porządku, znam go dobrze, i jego wuja też, bardzo bogaty człowiek, niedawno wziął Olivera do swojej firmy. Nie o to chodzi, może to głupie z mojej strony, ale...

I znowu pokręciła głową. Nie potrafiła wyrazić swych uczuć.

Satterthwaite poczuł się dziwnie zadomowiony. Cichym głosem powiedział po prostu i szczerze:

— Nie chciałaby chyba pani, żeby Egg wyszła za mąż za człowieka dwukrotnie starszego od siebie?

Odpowiedź lady Mary była zaskakująca.

— Dlaczego nie? Tak byłoby może bezpieczniej. Wiadomo, na czym się stoi. Mężczyzna w tym wieku ma już za sobą wszelkie szaleństwa i grzechy młodości. Nic mu nie grozi...

Satterthwaite nie zdążył odpowiedzieć, bp weszła Egg.

— Długo cię nie było, kochanie — zauważyła matka.

— Rozmawiałam z sir Charlesem, mamó. Bohater jest zupełnie sam. — I zwracając się do Satterthwaite'a dodała z wyrzutem: — Nic mi pan nie mówił, że wszyscy goście się rozjechali.

— Tak, wczoraj, tylko sir Bartholomew Strange miał zostać do jutra. Wezwano go jednak pilnie do Londynu, dziś rano dostał telegram. Stan krytyczny jednego z pacjentów.

— Szkoda — zmartwiła się Egg. — Chciałam przyjrzeć się gościom. Może udałoby mi się znaleźć jakiś klucz.

— Jaki klucz, kochanie?

— Pan Satterthwaite wie, o co chodzi. Zresztą, nieważne. Mamy jeszcze Olivera. Wciągniemy go. Potrafi myśleć, jeśli zechce.

Kiedy Satterthwaite wrócił do „Kruczego Gniazda”, gospodarz siedział na tarasie i patrzył w morze.

— A jest pan, Satterthwaite. Był pan z wizytą u lady Mary?

— Tak. Chyba się pan nie obraził?

— Ależ skąd. Egg telefonowała do mnie... Dziwna dziewczyna z tej Egg...

— Ładna osóbką — stwierdził Satterthwaite.

— Tak, chyba tak.

Sir Charles wstał i przeszedł kilka kroków bez celu. — Mój Boże — odezwał się raptem z goryczą w głosie — jakże żałuję, że tu w ogóle przyjechałem!

ROZDZIAŁ PIĄTY UCIECZKA PRZED KOBIECĄ

„Porządnie go wzięło” — pomyślał Satterthwaite.

Poczuł nagle litość. Charles Cartwright, beztroski uwodziciel, w wieku pięćdziesięciu dwu lat stracił głowę dla kobiety. I, jak sam to sobie uświadamiał, sprawa skazana była na niepowodzenie. Młodość ciągnie do młodości.

„Dziewczeta nie obnoszą się z sercem na wierzchu — myślał. — Egg ostentacyjnie demonstruje swe uczucia dla sir Charlesa. Nie robiłaby tego, gdyby jej na nim naprawdę zależało. Młody Manders jest tym, o kogo jej chodzi”.

Spostrzeżenia Satterthwaite'a były na ogół przenikliwe.

Tym razem jednak nie wziął pod uwagę jednego, po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy. Połączenie wieku dojrzałego z młodością ma swoją wartość. Myśl, że Egg mogłaby woleć mężczyznę w średnim wieku od swego rówieśnika, nie mieściła mu się po prostu w głowie. Młodość była, w jego pojęciu, magicznym darem.

Umocnił się w swoim przekonaniu, kiedy Egg zadzwoniła po kolacji i zapytała, czy może przyprowadzić Olivera „na naradę”.

Przystojny chłopak, nie ma co mówić: te ciemne oczy pod ciężkimi powiekami, wdzięczne ruchy. Robił wrażenie, jakby łaskawie dał się tu sprowadzić, robiąc gest wobec Egg. Był jednak sceptycznie nastawiony do całej sprawy.

— Czy nie mógłby pan jej tego wyperswadować, sir Charles? — zwrócił się do gospodarza. — Wszystko przez to piekielnie zdrowe wiejskie życie, dlatego tak ją rozsadza energia. Jesteś przeraźliwie żywotna, Egg. A twoje upodobania są dziecinne — zbrodnia, sensacja, zawracanie głowy.

— Jest pan sceptykiem, Manders?

— Owszem, jestem. Ten poczciwy staruszek, łagodny jęk baranek, zmarł śmiercią naturalną. Doszukiwanie się innych przyczyn to czysta fantazja.

— Przypuszczam, że ma pan rację — powiedział sir Charles.

Satterthwaite spojrział na aktora. Jaka rolę odgrywał dziś wieczór? Starego wilka morskiego? Nie. Międzynarodowego detektywa? Też nie. Była to jakaś nowa, nieznana rola.

Satterthwaite doznał raptem szokującego olśnienia. Sir Charles grał drugie skrzypce. Drugie skrzypce przy Oliverze Mandersie. Siedział z głową schowaną w cieniu i obserwował młodych, Egg i Olivera. Kłócili się. Egg z pasją, Oliver ze znużeniem.

Sir Charles wyglądał starzej niż zwykle — zmęczony stary człowiek.

Egg kilkakrotnie zwracała się do niego, gorąco i z ufnością, nie znalazła jednak żadnego odzewu.

Egg z Oliverem wyszli o jedenastej. Sir Charles odprowadził ich na taras, chciał im pożyczyć latarkę, żeby mogli oświetlić kamienistą ścieżkę.

Latarka okazała się niepotrzebna. Była piękna księżycowa noc. Młodzi ruszyli w drogę. Ich głosy dobiegały coraz słabiej, w miarę jak schodzili w dół.

Księżyc, nie księżyc, Satterthwaite ani myślał się zaziębić. Wrócił do pokoju okrętowego. Sir Charles został jeszcze chwilę na tarasie. Kiedy wrócił, zatrzasnął okno, podszedł szybko do barku i nalał sobie whisky z wodą sodową.

— Satterthwaite — powiedział. — Wyjeżdżam stąd jutro. Na zawsze.

— Coś takiego! — wykrzyknął tamten zdumiony. Przez twarz aktora przemknął cień bolesnej przyjemności. Sprawił to efekt zaskoczenia.

— Jedyne wyjście — powiedział podkreślając każde słowo, jakby tytułował scenę w dramacie. — Sprzedam dom. Tylko ja jeden wiem, ile on dla mnie znaczy.

Mówił ociągając się, załamującym się głosem, z odpowiednią emfazą.

Egoista sir Charles musiał powetować sobie wieczór, w którym grał drugie skrzypce. Teraz przysłała kolej na wielką Scenę wyrzeczenia, którą często odgrywał na scenie. Wyrzeczenie się żony innego mężczyzny, Wyrzeczenie się ukochanej.

Silił się na bohaterską nonszalancję.

— Przecież... to jedyne wyjście... Młodzi niech idą do młodych... Ta para jest stworzona dla siebie... Ja się usunę...

— Dokąd? — spytał Satterthwaite. Aktor machnął ręką.

— Gdziekolwiek. Jakie to ma znaczenie? — I dodał nieco innym tonem: — Pewnie do Monte Carlo. — Po czym, jakby jego wrażliwa dusza pragnęła naprawić lekkie osłabienie efektu, dorzucił: — W sercu pustyni czy wśród tłumu, co za różnica? Człowiek w swej istocie jest wszędzie samotny... Ja nim zawsze byłem...

Zejdźcie ze sceny.

Skłonił głowę, opuścił pokój.

Satterthwaite wstał i również zaczął się zbierać. „Co jak co, ale pustynia to nie będzie” — zachichotał w duchu.

Nazajutrz rano sir Charles przeprosił Satterthwaite'a, tłumacząc, że musi jeszcze tego dnia wyjechać do Londynu.

— Niech pan nie skraca swojej wizyty, przyjacielu. Miał pan zostać do jutra, potem wybiera się pan do Habertonów do Tavistock. Pojedzie pan samochodem. Skoro podjąłem decyzje, nie mogę się zatrzymać. Nie, nie mogę się zatrzymać.

Sir Charles stanowczo i po męsku wyprostował ramiona, uściśnął serdecznie dłoń Satterthwaite'a i powierzył go opiece niezawodnej panny Milray.

Panna Milray jak zawsze potrafiła sprostać sytuacji. Nie była zdziwiona ani zbulwersowana decyzją swego chlebodawcy. Satterthwaite na próżno próbował wciągnąć ją w rozmowę na ten temat. Ani nagła śmierć, ani nagła zmiana planów nie były w stanie poruszyć panny Milray. To, co się działo, brała za rzecz, z którą trzeba sobie poradzić, i robiła to doskonale. Teraz zajęła się telefonowaniem do agentów od nieruchomości, wysyłaniem telegramów za granicę, pisaniem listów na maszynie. Satterthwaite nie mógł znieść widoku tak wielkiej sprawności i uciekł na molo. Przechadzał się tam bez celu, kiedy ktoś szarpnął go za ramię i odwrócił do tyłu. Miał przed sobą bladą jak papier znajomą dziewczęcą twarz.

— Co to wszystko znaczy? — spytała gwałtownie Egg.

— O czym pani mówi? — Satterthwaite udawał, że nie wie, o co chodzi.

— Wszyscy już klepią, że sir Charles wyjeżdża, że zamierza sprzedać „Krucze Gniazdo”.

— To prawda.

— Wyjeżdża?

— Już wyjechał.

— Och! — Egg puściła jego ramię. Wyglądała teraz jak małe zranione dziecko.

Satterthwaite nie wiedział, jak się znaleźć.

— Dokąd pojechał?

— Za granicę. Do południowej Francji.

— Och!

Satterthwaite w dalszym ciągu nie umiał dobrać słów. Na pewno był świadkiem czegoś więcej niż kultu bohatera.

Zrobiło mu się jej żal, zastanawiał się, jak ją pocieszyć. Ona jednak odezwała się pierwsza i zupełnie zbiła go z tropu.

— Przeklęte jędze! Która to?

Satterthwaite gapił się na nią z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami. Egg znowu złapała go za ramię i gwałtownie nim potrząsnęła.

— Niech pan powie — krzyczała. — Która to? Ta siwa czy ta druga?

— Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi, moje dziecko.

— Wie pan. Musi pan wiedzieć. To na pewno kobieta. Podobam mu się, wiem, że mu się podobam. Jedna z tych bab musiała wczoraj to zauważyć i postanowiła odciągnąć go ode mnie. Nienawidzę bab. Wstrętne małpy. Widział pan suknie tej z zielonymi włosami? O mało nie pękłam z zazdrości. Kobieta, która może się tak ubrać, jest górą, trudno zaprzeczyć. Jest stara i śmiertelnie brzydka, ale co to ma za znaczenie! Przy niej każda wygląda jak zaniedbana pani proboszczowa. Wiec czy to ona? Czy ta druga, siwa? Fajna babka, od razu widać. Z seksem. I on mówił do niej Angie. Przecież chyba nie ta, co przypomina zwiędłą sałatę? Wiec jak: wytwornisia czy Angie?

— Cóż za niesamowite pomysły, moje dziecko! On, to znaczy sir Charles, nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany żadną z tych pań.

— Nie wierzę. W każdym razie, one są nim zainteresowane.

— Nie, nie, nie, myli się pani. To wszystko fanaberie.

— Jędze! — krzyknęła Egg. — Wstrętne jędze!

— Nie powinna tak pani o nich mówić.

— Mogłabym je określić znacznie gorszym słowem.

— Przypuszczam, ale błagam, proszę tego nie robić. Zapewniam, że błędnie ocenia pani sytuację.

— Więc dlaczego wyjechał, i to w taki sposób? Satterthwaite chrząknął.

— Może myślał... eee... że tak będzie najlepiej. Egg przeszła go wzrokiem.

— Sugeruje pan, że to z mojego powodu?

— Chyba... coś w tym rodzaju... tak.

— A więc uciekł. Pewno za bardzo się odsloniłam... Mężczyźni nie cierpią, jak się za nimi lata... Mama ma jednak racje... Nie ma pan pojęcia, jak jest cudowna, kiedy o nich mówi. Zawsze bezosobowo. Taka wiktoriańska i grzeczna. „Mężczyzna nie lubi kobiet, które o niego zabiegają. Trzeba pozwolić mężczyźnie zabiegać o kobietę”. Podoba mi się słowo „zabiegać”. Przypomina mi „zbiegać”, dokładnie to, co zrobił sir Charles. Zbiegł. Zbiegł przede mną. Ze strachu. A najgorsze jest to, że nie mogę polecieć za nim. Gdybym to zrobiła, wsiadłby pewno na statek i uciekł w dzikie ostępy Afryki, czy — bo ja wiem gdzie.

— Niech mi pani powie, Hermione — rzekł Satterthwaite — czy mówi pani to wszystko poważnie?

Egg rzuciła mu niecierpliwe spojrzenie.

— Oczywiście.

— A co z Oliverem Manderssem?

Skwitowała Mandersa szybkim ruchem głowy. Myśli jej były gdzie indziej.

— Jak pan uważa, czy mogłabym do niego napisać? Nic takiego, co by go spłoszyło. Takie dziewczęce ple, ple... wie pan, żeby go uspokoić, żeby przestał się bać.

Zmarszczyła brwi.

— Ale byłam głupia! Mama by to znacznie lepiej rozegrała. Wiktoriańskie kobiety wiedziały, jakich użyć sztuczek. Te wszystkie ich rumieńce i tak dalej. Nie miałam racji. Wydawało mi się, że potrzebuje zachęty, odrobiny pomocy. Niech mi pan powie — odwróciła się gwałtownie do Satterthwaite'a — czy on widział, jak całowałam się z Oliverem wczoraj wieczorem?

— Nic mi nie mówił. Kiedy...? Gdzie...?

— W świetle księżyca. Jak schodziliśmy ścieżką. Myślałam, że patrzy na nas z tarasu. Że jak zobaczy mnie i Olivera, to... no, że się ruszy. Bo podobam mu się. Mogłabym przysiąc.

— A może to trochę nieładnie wobec Olivera? Egg potrząsnęła zdecydowanie głową.

— Nic a nic. Oliver uważa, że to dla dziewczyny zaszczyt się z nim całować. Oczywiście to był cios dla jego próżności, ale trudno o wszystkim myśleć. Chciałam rozruszać Charlesa. Ostatnio był jakiś inny, nieprzystępny.

— Moje dziecko, widzę, że nie zdaje pani sobie sprawy, dlaczego sir Charles wyjechał tak nagle. Myśli, że pani kocha się w Oliverze. Chciał sobie zaoszczędzić bólu.

Egg zakręciła się w kółko jak fryga. Schwyciła Satterthwaite'a za ramiona i spojrzała mu prosto w twarz.

— Czy to prawda? Rzeczywiście? Wariat! Głupiec! Och!

Puściła nagle starszego pana i szła obok niego podskakując.

— W takim razie wróci. Wróci na pewno. Jeśli nie...

— A co, jeśli nie? Egg zaśmiała się.

— Jakoś go ściągnę. Zobaczy pan.

Pomyślał, że, przy wszystkich różnicach językowych, Egg i „panna z Astolat” mają wiele wspólnego. Egg oczywiście ucieknie się do bardziej przyziemnych sposobów, a śmierć z miłości na pewno nie będzie jej udziałem.

AKT DRUGI
PEWNOŚĆ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

SIR CHARLES OTRZYMUJE LIST

Pan Satterthwaite, zakończywszy sezon towarzyski, przybył do Monte Carlo. Wrześniowy pobyt na Riwierze należał do jego ulubionych zwyczajów.

Siedział w ogrodzie rozkoszując się słońcem, zatopiony w lekturze „Daily Mail” sprzed dwóch dni.

Raptem przykuło jego uwagę nazwisko. Strange. Śmierć sir Bartholomewa Strange’a. Przeczytał całą notatkę.

„Z prawdziwą przykrością musimy powiadomić o śmierci sir Bartholomewa Strange’a, wybitnego specjalisty chorób nerwowych. Sir Bartholomew wydawał przyjęcie dla przyjaciół w swym domu w Yorkshire. Przed śmiercią, która nastąpiła nagle pod koniec kolacji, był w doskonałej formie i świetnym nastroju. Rozmawiał z przyjaciółmi popijając porto, kiedy dostał gwałtownego ataku. Nie zdążono mu nawet udzielić pomocy medycznej. Wraz ze śmiercią sir Bartholomewa ponieśliśmy wielką stratę. Był on...”

Tu następował opis kariery zawodowej i osiągnięć.

Satterthwaite wypuścił z rąk gazetę. Był głęboko wstrząśnięty. Przypomniał sobie doktora takiego, jakim go widział po raz ostatni — wielki, pogodny, w szczytowej formie. A teraz nie żyje. Uderzyły go pewne słowa w tekście, które nasuwały mu niemiłe skojarzenia z innym wydarzeniem: „popijając porto”, „gwałtowny atak”, „nie zdążono mu udzielić pomocy medycznej”...

Porto, nie cocktail, ale poza tym dziwne podobieństwo do tamtej śmierci w Kornwalii. Stała mu w oczach wykrzywiona konwulsyjnie twarz poczciwego starego pastora...

A może jednak...

Kiedy uniósł głowę, ujrzał sir Charlesa we własnej osobie, który szedł ku niemu przez trawnik.

— Satterthwaite, co za cudowna niespodzianka! Właśnie pan! Wie pan już o naszym biednym Tollie’em?

— Przed chwilą przeczytałem w gazecie.

Cartwright opadł na krzesło obok Satterthwaite’a.

Miał na sobie nieskazitelny strój jachtowy. Skończył z szarą flanelą i starymi swetrami. Przybrał postać wyrafinowanego właściciela jachtu z Riwieri.

— Niech pan posłucha. Tollie był zdrów jak ryba, nigdy nic mu nie dolegało. Czy jestem kompletnym głupcem, którego ponosi fantazja, czy też ta sprawa również panu przypomina...

— Sprawę z Loomouth? Tak, przypomina mi. Tylko czy się nie mylimy? Podobieństwo może być czysto powierzchowne. W końcu nagle zgony zdarzają się ciągle, i to z najróżniejszych przyczyn.

Sir Charles niecierpliwie pokręcił głową. Po chwili powiedział:

— Dostałem właśnie list... od Egg Lytton Gore. Satterthwaite uśmiechnął się niepostrzeżenie.

— Pierwszy raz do pana napisała? Tamten wyraźnie niczego nie podejrzewał.

— Nie. Pisała do mnie zaraz po moim wyjeździe. Można powiedzieć, że jej list mnie ścigał. Pisała co słyhać, i tak dalej. Nie odpisałem jej. Do licha, Satterthwaite, po prostu nie miałem odwagi. Ona nie ma o tym pojęcia, rzecz jasna, ale nie chciałem wystawić się na pośmiewisko.

Satterthwaite zasłonił ręką usta, by ukryć uśmiech.

— A ten list?

— Ten jest inny. To wołanie o pomoc...

— O pomoc? — Satterthwaite uniósł brwi.

- Ona tam była... w tym domu... kiedy to się stało.
- To znaczy była u sir Bartholomewa Strange'a przy jego śmierci?
- Tak.
- Pisz coś na ten temat?

Aktor wyjął z kieszeni list. Wahał się przez moment, po czym wyciągnął rękę.

- Niech pan czyta.

Satterthwaite, mocno zaintrygowany, rozwinął arkusz papieru.

„Drogi sir Charles,

Nie wiem, kiedy ten list do pana dotrze. Mam nadzieję, że wkrótce. Chyba dowiedział się pan z gazet, że sir Bartholomew Strange nie żyje. Umarł dokładnie w ten sam sposób co pan Babbington. To nie może być przypadek, nie i jeszcze raz nie. Gryzę się tym nieprzytomnie.

Mówię prosto z mostu, niech pan wraca i coś zrobi. Pan jeden coś podejrzewał, ale nikt wtedy nie słuchał, a teraz został zabity pana przyjaciel. Więc jeśli pan nie przyjedzie, prawda może nigdy nie wyjść na jaw, a pan potrafi ją odkryć, jestem tego pewna. Czuje to całą sobą.

I jest jeszcze coś. Bardzo się o kogoś martwię... Nie ma on z tym nic wspólnego, ale pewne rzeczy wyglądają dziwnie. Och, nie mogę tego wytłumaczyć w liście. Czy pan wróci? Pan jeden może rozwiązać zagadkę. Wiem o tym. Kończę, bo się bardzo spieszę.

Egg”.

— I co? — dopytywał się niecierpliwie sir Charles. — Trochę nieskładny list, pisany w pośpiechu. Ale co pan o nim sądzi?

Pan Satterthwaite składał papier powoli, żeby zyskać na czasie.

Zgadzał się, że list jest nieskładny, lecz nie uważał, że był pisany w pośpiechu. W jego przekonaniu był bardzo starannie przemyślany. Odwoływał się do próżności sir Charlesa, do jego rycerskości, duszy hazardzisty.

O ile Satterthwaite znał się na ludziach, był to strzał w dziesiątkę.

- Kim jest ów „ktoś”, pana zdaniem?

— Przypuszczam, że Manders.

— On tam był?

— Z tego wynika. Nie wiem dlaczego. Tollie go prawie nie znał, spotkał go tylko u mnie na przyjęciu. Z jakiego powodu go zaprosił, Bóg raczy wiedzieć.

— Często wydawał wielkie przyjęcia?

— Kilka razy do roku. Zawsze na wrześniowe derby St. Leger.

— Dużo czasu spędzał w Yorkshire?

— Miał tam wielkie sanatorium czy coś takiego. Kupił starą posiadłość „Melfort Abbey”, odrestaurował ją i założył lecznicę.

— Ach, tak.

— Ciekaw jestem, kto jeszcze był na przyjęciu — odezwał się Satterthwaite po chwili milczenia.

Sir Charles zauważył, że mogły to podać inne gazety. Wyruszyli więc na poszukiwania.

— O, proszę — zauważył sir Charles. I przeczytał na głos:

„Sir Bartholomew Strange wydaje swe coroczne przyjęcie na St. Leger. Wśród zaproszonych gości są lord i lady Eden, lady Mary Lytton Gore, sir Jocelyn i lady Campbell, kapitan Dacres z żoną oraz znana aktorka Angela Sutcliffe”.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

— Dacresowie i Angela Sutcliffe — zauważył sir Charles. — Ani słowa o Mandersie.

— Kupimy dzisiejszy „Continental Daily Mail” — powiedział Satterthwaite. — Może coś tam znajdziemy.

Sir Charles przerzucał strony gazety. Raptem zamarł.

— Mój Boże. Niech pan posłucha, Satterthwaite:

„Sir Bartholomew Strange.

W przeprowadzonym dzisiaj śledztwie w sprawie śmierci sir Bartholomewa Strange'a stwierdzono, że zgon nastąpił na skutek zatrucia nikotyną. Nie wiadomo, kto i w jaki sposób podał truciznę”.

Cartwright zmarszczył brwi.

— Nikotyna. To brzmi dość niegroźnie, od tego nie umiera się w ataku. Nie rozumiem.

— Co zamierza pan zrobić?

— Co zrobić? Idę kupić sypialny na „Błękitną Strzałę” dziś wieczór.

— Cóż — powiedział Satterthwaite. — Mógłbym pójść w pana ślady.

— Pan? — Cartwright obrócił się ku niemu zdumiony.

— To coś dla mnie — odparł tamten skromnie. — Mam pewne... hm... doświadczenie. Poza tym znam dość dobrze tamtejszego komendanta policji, pułkownika Johnsona. Może się nam przydać.

— To mi się podoba! — zawołał sir Charles. — Chodźmy do „Wagon Lits.

A Satterthwaite pomyślał:

„Udało się dziewczynie. Ściągnęła go. Mówiła, że to robi. Ciekaw jestem, w jakim stopniu jej list był szczery”.

Egg Lytton Gore na pewno umiała wyzyskać okoliczności.

Kiedy sir Charles udał się do Wagon Lits, pan Satterthwaite przechadzał się powoli po parku oddając się przyjemnym rozmyśleniom o Egg. Podziwiał jej pomysłowość i energię, choć musiał oddalić wiktoriańskie zastrzeżenia, jakie budziło w nim to, że przedstawicielka płci słabej przejmuje inicjatywę w sercowej sprawie.

Satterthwaite był człowiekiem spostrzegawczym. Pośród rozważań o kobietach w ogóle i o konkretnej osobie Egg nie omieszkał nagle zauważyć:

„Gdzie ja widziałem te charakterystyczną głowę?”

Właściciel owej głowy siedział na krześle i zamyślony patrzył przed siebie. Mały człowieczek o nieproporcjonalnie dużych wąsach.

Obok stała dziewczynka, Angielka, z niezadowoloną minką. Stała najpierw na jednej nóżce, potem na drugiej i od czasu do czasu kopała z rozmysłem w krawężnik kwietnika lobelii.

— Nie rób tego, kochanie — powiedziała matka dziewczynki zatopiona w lekturze żurnalu mód.

— Nie mam co robić — odpowiedziała dziewczynka. Mały człowieczek obrócił się w stronę dziecka i pan Satterthwaite go rozpoznał.

— *Monsieur Poirot!* — wykrzyknął. — Co za miła niespodzianka.

Poirot wstał, skłonił się.

— *Enchanté, monsieur.*

Uścisnęli sobie dłonie, Satterthwaite usiadł obok Belga.

— Wszyscy są w Monte Carlo. Pół godziny temu natknąłem się na sir Charlesa Cartwrighta, teraz spotykam pana.

— Sir Charles! On też tutaj?

— Uprawia jachting. Słyszał pan, że sprzedaje dom w Loomouth?

— Nie wiedziałem. To mnie dziwi.

— Mnie nie. Cartwright nie należy tak naprawdę do ludzi, którzy na dobre odcięliby się od świata.

— O, z tym się zgadzam. Zdziwiłem się z innej przyczyny. Wydawało mi się, że sir Charles ma konkretny powód, żeby zostać w Loomouth, bardzo czarujący powód. Czy nie mam racji? Ta mała *mademoiselle*, która tak zabawnie się nazywa, Egg, jak jajeczko?

Zamrugął lekko powiekami.

— A wiec zauważył pan?

— Oczywiście. Mam bardzo czułe serce dla zakochanych, pan zresztą chyba też. Poza tym, *la jeunesse*. Młodość zawsze wzrusza.

Westchnął.

— Myślę — powiedział Satterthwaite — że trafił pan w sedno, jeśli chodzi o wyjazd sir Charlesa z Loomouth. Po prostu uciekł.

— Od *mademoiselle* Egg? Przecież widać było jak na dłoni, że za nią szaleje. Dlaczego zatem uciekł?

— Och, nie rozumie pan naszych anglosaskich kompleksów.

Poirot jednak szedł za tokiem własnego rozumowania.

— Tak, tak — powiedział. — To nie jest złe posunięcie. Kiedy uciekasz przed kobietą, ona natychmiast pójdzie za tobą. Mężczyzna z takim doświadczeniem jak sir Charles musi o tym wiedzieć.

Satterthwaite był lekko ubawiony.

— No, niezupełnie tak było — powiedział. — A co pan tutaj porabia? Wakacje?

— Mam teraz wieczne wakacje. Powiodło mi się. Jestem bogaty. Na emeryturze. Podróżuje sobie po świecie.

— To cudowne — stwierdził Satterthwaite.

— *N'est-ce pas?*

— Mamo — zawołała mała Angielka. — Ja się nudzę!

— Ależ kochanie — skarciła dziecko matka. — Nie podoba ci się, że jesteś za granicą, w przepięknym słońcu?

— Podoba mi się, ale się nudzę.

— Pobiegaj, pobaw się w coś. Idź popatrzeć na morze.

— *Maman* — odezwało się nagle jakieś francuskie dziecko. — *Joue avec moi.*

Matka—Francuzka uniosła głowę znad książki.

— *Amuse toi avec ta balle*, Marcelle. Francuskie dziecko, nadaśane, posłusznie zaczęło podrzucać piłkę.

— *Je m'amuse* — powiedział Herkules Poirot z dziwnym wyrazem twarzy.

I jakby w odpowiedzi na coś, co wyczytał na obliczu Satterthwaite'a, dodał:

— Jest pan spostrzegawczy. Słusznie się panu wydaje...

Milczał przez chwilę.

— Widzi pan — mówił dalej — pochodzę z biednej rodziny. Było nas sporo. Musieliśmy sobie radzić. Wstąpiłem do policji. Ciężko pracowałem. I powoli się wybiłem. Wyrobiłem sobie nazwisko. Zdobyłem światową renomę. Wreszcie przyszła kolej na emeryturę. A potem wojna. Zostałem ranny. Przybyłem do Anglii. Biedny wykończony uciekinier. Pewna dama z dobrym sercem wzięła mnie pod swój dach. Umarła. Nie naturalną śmiercią. Została zabita. *Eh bien*, wziąłem się do roboty, zatrudniłem moje szare komórki. Znalazłem mordercę. Przekonałem się, że jeszcze nie jest ze mną tak źle. Byłem w lepszej formie niż kiedykolwiek przedtem. I tak zaczęła się moja druga kariera, kariera prywatnego detektywa w Anglii. Rozwiązałem wiele fascynujących, trudnych zagadek. Och, *monsieur*, naprawdę żyłem. Psychologia człowieka to coś wspaniałego. Stałem się bogaty. Pewnego dnia powiedziałem sobie: „Będę miał tyle pieniędzy, ile zechce. Spełnią się wszystkie moje marzenia”.

Położył rękę na kolanie Satterthwaite'a.

— Niech pan wystrzega się dnia, w którym spełnią się wszystkie marzenia, drogi przyjacielu. To dziecko też na pewno śniło o wyjeździe za granicę, o nowych wrażeniach, o tym, że wszystko się zmieni. Rozumie pan?

— Rozumiem — odparł Satterthwaite. — Pan wcale się dobrze nie bawi.

Monsieur Poirot pokiwał głową.

— Otóż to.

Były chwile, kiedy Satterthwaite wyglądał jak Puk. Na przykład teraz. Mięśnie na jego pomarszczonej maleńkiej twarzy skurczyły się złośliwie. Zawahał się. Czy powinien?...

Powoli otworzył gazetę, którą wciąż trzymał przy sobie.

— Czy pan to widział, *monsieur* Poirot?

I wskazał palcem na odpowiednie miejsce.

Belg wziął gazetę i zaczął czytać. Satterthwaite obserwował go. Na twarzy detektywa nie zauważył żadnej zmiany, tylko jego ciało zeszywniało niczym u teriera, który zwęszył trop.

Herkules Poirot przeczytał dwa razy notatkę, po czym złożył gazetę i zwrócił ją.

— Interesujące — powiedział.

— Tak. Wygląda na to, że sir Charles Cartwright mógł mieć rację, my mogliśmy się pomylić.

— Tak — powtórzył Poirot. — Wygląda na to, że my mogliśmy się pomylić. Przyznaje, drogi przyjacielu, nie mieściło mi się w głowie, że ten łagodny, dobrotliwy staruszek padł ofiarą zbrodni... Cóż, chyba nie miałem racji... Chociaż, widzi pan, ta druga śmierć może być czystym zbiegiem okoliczności. Bywają najprzedejwniejsze przypadki. Nie dałby pan wiary, z jakimi zetknął się w swojej karierze Herkules Poirot.

Urwał na chwile, po czym mówił dalej:

— Niewykluczone, że przecucie sir Charlesa okaże się słuszne. On jest artystą, człowiekiem wrażliwym, działa raczej na wycucie, niż na rozum... W życiu kończy się to często katastrofą, czasami jednak ma to swoje uzasadnienie. Ciekaw jestem, gdzie jest teraz sir Charles.

Satterthwaite uśmiechnął się.

— Mogę panu zdradzić. Poszedł do Wagon Lits. Dziś wieczór wracamy razem do Anglii.

— Aha! — rzekł znacząco Poirot. W jego błyszczącym, przenikliwym, filuternym spojrzeniu widniało pytanie: „A wiec nasz zapaleniec postanowił odegrać tę rolę, rolę detektywa-amatora? A może ma jakiś inny cel?”

Satterthwaite milczał, ale Poirot domyślił się odpowiedzi.

— Rozumiem — powiedział. — Ciągnie go do pięknych oczu *mademoiselle*. Nie tylko do zbrodni.

— Napisała do niego — wyjaśnił Satterthwaite — błagała, żeby wracał.

Poirot pokiwał głową.

— Jedno mnie zastanawia — rzekł. — Nie rozumiem...

— Nie rozumie pan dzisiejszej młodej Angielki? — przerwał Satterthwaite. — Nic w tym dziwnego. Mnie też się to nie zawsze udaje. Dziewczyna taka jak Egg Lytton Gore...

Teraz z kolei przerwał Poirot.

— *Pardon*. Nie o to mi chodziło. Bardzo dobrze rozumiem pannę Lytton Gore. Spotkałem już takie jak ona, wiele takich spotkałem. Pan określa ten typ jako dzisiejszy, ale moim zdaniem jest on... jakby to powiedzieć... stary jak świat.

Satterthwaite poczuł się trochę dotknięty. Uważał, że on, i tylko on, rozumie Egg. Niedorzeczny cudzoziemiec! Cóż on mógł wiedzieć o młodych Angielkach?

Poirot wciąż mówił. Był teraz refleksyjny, smętny.

— Znajomość natury ludzkiej! Cóż to za niebezpieczna rzecz.

— Bardzo przydatna — zaprotestował Satterthwaite.

— Być może. To zależy od punktu widzenia.

— No dobrze, — Pan Satterthwaite zawahał się i wstał. Był lekko rozczarowany. Założył przynętę, a ryba się nie złapała. Czuł, że jego znajomość natury ludzkiej zawiodła.

— Życzę panu udanych wakacji.

— Dziękuję.

— Niech mnie pan odwiedzi, kiedy będzie pan następnym razem w Londynie. — Podał wizytówkę. — Oto mój adres.

— To bardzo miło z pana strony. Z przyjemnością pana odwiedzę.

— A więc do widzenia.

— Do widzenia. *Bon voyage*.

Satterthwaite oddalił się. Poirot patrzył za nim przez chwilę, po czym na powrót zatopił wzrok w błękicie Morza Śródziemnego.

Siedział tak, patrząc przed siebie, co najmniej przez dziesięć minut.

Pojawiła się znowu mała Angielka.

— Obejrzałam już morze, mamó. Co mam teraz robić?

— Doskonale pytanie — wymamrotał pod nosem Herkules Poirot.

Wstał. Wolnym krokiem skierował się do Wagon Lits.

ROZDZIAŁ DRUGI GDZIE SIĘ PODZIAŁ KAMERDYNER?

Sir Charles i pan Satterthwaite siedzieli w gabinecie komendanta policji, pułkownika Johnsona, wysokiego mężczyzny o czerwonej twarzy, tubalnym głose i serdecznym sposobie bycia.

Na widok gości Johnson rozpromienił się: radośnie powitał Satterthwaite'a, a spotkanie ze słynnym Charlesem Cartwrightem wprawiło go w euforię.

— Moja stara ma bzika na punkcie teatru. Jest pana wielką wielbicieleką, jak to mówią Amerykanie? Fanem — właśnie, fanem. Sam lubię dobry teatr, oczywiście wartościowe rzeczy, to, czym dzisiaj czasami nas raczą na scenie, można określić tylko jednym słowem: paskudztwo.

Sir Charles, któremu pod tym względem nic nie można było zarzucić — nie grał nigdy w tak zwanych śmiałych sztukach — rzucił jakąś odpowiednią do sytuacji uwagę z właściwym sobie wdziękiem. Kiedy obaj panowie przystąpili do przedstawienia celu swej wizyty, pułkownik Johnson gotów był opowiedzieć im wszystko, co wiedział o sprawie.

— Pański przyjaciel? Fatalna historia. Był tu bardzo znaną postacią. Lecznica cieszy się świetną opinią, a sir Bartholomew był pod każdym względem wspaniałym człowiekiem, wybitnym specjalistą. Miły, szlachetny, powszechnie lubiany i szanowany. Każdy panu powie: ostatni człowiek, który mógłby paść ofiarą zbrodni. A jednak wszystko wskazuje na zbrodnię. Samobójstwo czy wypadek raczej nie wchodzi w grę.

— Wróciliśmy właśnie z panem Salterthwaite'em z zagranicy — odezwał się sir Charles. — Mamy tylko skrawki informacji, z gazet.

— Jasne, chcieliby panowie wiedzieć więcej. Dobrze, powiem, jak się sprawy mają. Podejrzenia skupiają się na kamerdynerze, musimy go odnaleźć. To był nowy człowiek, sir Bartholomew zatrudnił go na dwa tygodnie przed śmiercią. I, wyobraźcie sobie panowie, nazajutrz po zbrodni facet po prostu znika jak kamfora. Cokolwiek podejrzane, prawda? Słucham?

— Nie wiadomo, gdzie się ulotnił?

Pułkownik Johnson zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy.

— Pewno pan uważa, że to niedopatrzzenie z naszej strony. Zdaje sobie sprawę, że to tak wygląda. Ale przecież był pod naszą obserwacją, nie mniejszą niż inni. Gładko odpowiadał na pytania, podał nazwę agencji w Londynie, która załatwiła mu te prace, i nazwisko swego poprzedniego chlebodawcy, sir Horace'a Birda. Mówił spokojnie, bez paniki. A potem nagle zwiął. Nie do wiary, cały dom pod nadzorem, a ten znika! Oj, dostało się chłopakom ode mnie, ale zaklinają się, że nie zmrużyli oka.

— Bardzo interesujące — zauważył Satterthwaite.

— Zresztą — rzekł z powątpiewaniem sir Charles — cóż za idiotyczne posunięcie! Nie był szczególnie podejrzany, a teraz ściągnął na siebie uwagę.

— Otóż to. Nie ma zresztą żadnych szans. Rozesłaliśmy jego rysopis. Złapanie go to kwestia dni.

— Bardzo dziwne — pokręcił głową sir Charles. — Nie rozumiem.

— Och, to dość jasne. Nerwy mu puściły. Nagle się wystraszył.

— Wydawało mi się, że człowiek, który ma dostatecznie silne nerwy, żeby popełnić zbrodnię, potrafi i potem zachować zimną krew.

— Różnie to bywa. Znam dobrze przestępców. Tchórzliwi jak zające. Facet myślał, że go podejrzewamy, i prysnął.

— Sprawdzał pan jego zeznania?

— Naturalnie. To czysta rutyna. Agencja w Londynie potwierdziła to, co mówił. Miał też pisemną rekomendację od sir Horace'a Birda, zresztą bardzo dobrą. Sir Horace jest w tej chwili w Afryce Wschodniej.

— A zatem jego referencje mogą być sfalszowane? — podsunął Cartwright.

— Słuszna uwaga — powiedział pułkownik Johnson uśmiechając się jak nauczyciel do ucznia, któremu należy się pochwała. — Wysłaliśmy telegram do sir Horace'a, ale na odpowiedź musimy trochę poczekać. Jest na safari.

— Kiedy on właściwie zniknął?

— Nazajutrz rano. Na przyjęciu był lekarz, sir Jocelyn Campbell, o ile wiem, toksykolog. On i miejscowy doktor Davis byli jednomyślni i natychmiast nas wezwano na miejsce. Przesłuchaliśmy wszystkich tego wieczoru. Ellis, nasz kamerdyner, udał się do siebie jak zwykle, a na drugi dzień już go nie było. Do łóżka się nie kładł — pościel pozostała nie tknięta.

— A wiec wymknął się w nocy?

— Na to wygląda. Jedna z dam, panna Sutcliffe, ta aktorka... zna ją pan może?

— Bardzo dobrze.

— Otóż panna Sutcliffe podsunęła nam pewną rzecz. Zasugerowała, że człowiek ten opuścił dom tajnym przejściem. — I zmieszany wydmuchał nos. — To brzmi trochę jak z Edgara Wallace'a, zdaje się jednak, że jest tam coś takiego. Sir Bartholomew był dumny ze swego przejścia. Pokazał je panie Sutcliffe. Wychodzi ono na zwalony mur, jakieś pół mili od domu.

— Brzmi to prawdopodobnie — zgodził się sir Charles. — Tylko skąd kamerdyner miałby wiedzieć o istnieniu tajnego korytarza?

— Właśnie, właśnie. Chociaż moja stara twierdzi, że służba wszystko wie. Zresztą podejrzewam, że ma racje.

— O ile wiem, trucizną była nikotyna? — odezwał się Satterthwaite.

— Zgadza się. Nieczęsty sposób. Niezmiernie rzadko stosowany. Do tego, jak rozumiem, w wypadku nałogowego palacza, jakim był doktor, dochodzą inne okoliczności. Człowiek zatruty nikotyną może umrzeć śmiercią naturalną. Oczywiście, w naszej sprawie to wykluczone, zgon nastąpił zbyt raptownie.

— Jak podano truciznę?

— Tego nie wiemy — przyznał Johnson. — I to jest największy znak zapytania. Orzeczenie lekarskie stwierdza, że ofiara połknęła truciznę na kilka minut przed śmiercią.

— Pił porto?

— Tak. Niestety, prosty wniosek, że porto było zatrute, jest nieprawdziwy. Oddaliśmy kieliszek do analizy. Zawierał tylko porto, nic więcej. Szło po winie uprzątnięto, stało na tacy w spiżarni, nie umyte — nic nie stwierdzono. Jadł to, co wszyscy. Kawior, zupę, solę z rusztu, bażanta, frytki, suflet czekoladowy. Kucharka pracuje tam od piętnastu lat. Nie, to niemożliwe, aby podano mu truciznę. A jednak tak było, miał ją w żołądku. Paskudny problem.

Cartwright odwrócił się do Satterthwaite'a.

— To samo! — zawołał w podnieceniu. — Dokładnie to samo co przedtem. — I rzekł przepaszająco do komendanta: — Winny jestem panu wyjaśnienie. W moim domu w Kornwalii miała miejsce śmierć...

Johnson spojrzał z ciekawością.

— Chyba o tym słyszałem. Od jednej z dam, panny Lytton Gore.

— Była wtedy u mnie. Opowiadała coś panu?

— Tak. Uparcie trzymała się swojej teorii. Tylko, wie pan, nie wierzę w te jej teorie. Nie wyjaśnia zniknięcia kamerdynera. A pański służący przypadkiem nie zaginął?

— Nie ma u mnie służącego, jest pokojówka.

— A może to mężczyzna w przebraniu?

Sir Charles pomyślał o szykownej, bardzo kobiecej Temple i uśmiechnął się mimo woli.

Pułkownik Johnson też uśmiechnął się, zakłopotany.

— Tak mi to tylko przyszło do głowy. Nie, teoria panny Lytton Gore nie przekonuje mnie. Tamta śmierć dotknęła, o ile wiem, leciwego pastora. Kto mógłby czyhać na życie tego staruszka?

— Tu jest pies pogrzebany — odparł sir Charles.

— Przekona się pan, że to czysty przypadek. A skoro tak, stawiamy na kamerdynera. Niewykluczone, że to zwykły przestępca. Niestety, nie możemy znaleźć nigdzie jego odcisków palców. Nasz ekspert sprawdził dokładnie jego pokój i spiżarnię, bez powodzenia.

— Załóżmy, że to kamerdyner. Jaki widziałby pan motyw?

— Kolejne trudne pytanie. Powiedzmy, że zamierzał dokonać kradzieży, a sir Bartholomew przejrzał jego plany.

Sir Charles i pan Satterthwaite milczeli wymownie, pułkownik Johnson wyraźnie zresztą nie spodziewał się aplauzu.

— Możemy tylko na razie snuć domysły, to fakt. Z chwila, kiedy John Ellis znajdzie się pod kluczem, dowiemy się, kim jest naprawdę, czy figuruje w naszej kartotece. Wtedy motyw sam wypłynie.

— Przejrzelście papiery doktora?

— Naturalnie. Bardzo dokładnie. Muszę przedstawić panom nadinspektora Crossfielda, który prowadzi sprawę. To człowiek niezwykle rzetelny. Zasugerowałem mu, a on od razu się ze mną zgodził, że profesja sir Bartholomewa może mieć jakiś związek ze zbrodnią. Lekarz ma wiele zawodowych tajemnic. Papiery były starannie poukładane, posegregowane. Sekretarka, panna Lyndon, przejrzała je razem z Crossfieldem.

— Znaleźli coś?

— Nic, co by miało dla nas znaczenie.

— Zginęły jakieś rzeczy? Na przykład srebro albo biżuteria?

— Niczego nie brakuje.

— Kto był wtedy w domu?

— Mam tu listę... zaraz... gdzie ona się podziała? Aha, jest przecież u Crossfielda. Muszą panowie go poznać. Zresztą pojawi się tu lada moment, żeby złożyć raport... o, dzwonek... to pewno on.

Nadinspektor Crossfield był potężnym, wysokim mężczyzną o bystrych niebieskich oczach. Miał zwyczaj mówić powoli.

Zasalutował przed swoim przełożonym, a ten przedstawił go gościom.

Pan Satterthwaite nie potrafiłby zapewne nawiązać kontaktu z Crossfieldem. Nadinspektor nie przepadał za dżentelmenami z Londynu, którzy spadali jak z nieba ze swymi amatorskimi pomysłami. Sir Charles to co innego. Blask sceny budził u nadinspektora dziecięcy zachwyt. Dwa razy widział aktora w teatrze, a teraz, gdy nagle ujrzał z bliska swego bohatera, człowieka z krwi i kości, wprawiło go to w takie podniecenie, że stał się niezwykle przyjacielski i elokwentny.

— Widziałem pana w Londynie, tak, tak, Byłem z żoną w teatrze. Na sztuce *Dylemat Lorda Aintree*. Tłok nieludzki. Staliśmy przez dwie godziny na parterze. Żona się uparła. Powiedziała: „Muszę zobaczyć sir Charlesa Cartwrighta w *Dylemacie Lorda Aintree*”. To było w teatrze Pali Mall.

— Jak pan wie, wycofałem się ze sceny — powiedział sir Charles. — Ale w Pall Mall znają mnie dobrze. — Wyjął wizytówkę i napisał na niej kilka słów. — Da pan to w kasie, kiedy następnym razem wybierze się pan z żoną do Londynu. Dostaniecie państwo najlepsze miejsca.

— To bardzo miło z pana strony, sir Charles, naprawdę bardzo miło. Żona będzie niezwykle ujęta.

Sir Charles miał go teraz w garści.

— Dziwna sprawa. W całej mojej karierze nie zetknąłem się z otruciem nikotyną. Nasz doktor Davis też się z tym nie spotkał.

— Myślałem, że to rodzaj choroby na skutek nadmiernego palenia.

— Prawdę mówiąc, też tak uważałem. Doktor mówi, że czysty alkaloid jest bezwonnym płynem, kilka kropli wystarczy, żeby zabić człowieka na miejscu.

Sir Charles zagwizdał.

— Mocna rzecz.

— Tak jest. Ale powszechnie stosowana. Roztwór używany jest do spryskiwania róż. Oczywiście można zrobić wyciąg z normalnego tytoniu.

— Różę — mruknął sir Charles. — Gdzie ja słyszałem...?

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Coś nowego, Crossfield? — spytał pułkownik Johnson.

— Nic konkretnego. Mamy doniesienia, że Ellisa przyuważono w Durham, Ipswich, Balham, Land's End i dziesiątkach innych miejsc. Trzeba sprawdzić, co ile jest warte. — Zwrócił się do obu panów: — Kiedy rysopis człowieka krąży po kraju, okazuje się, że widziano go w całej Anglii.

— Jak on wygląda? — spytał sir Charles. Johnson sięgnął po rysopis i przeczytał:

— John Ellis, wzrost średni, około pięciu stóp siedemdziesiąt, przygarbiony, włosy szpakowate, małe bokobrody, oczy ciemne, głos ochryply, w górnym uzębieniu widoczny przy uśmiechu brak jednego zęba, żadnych znaków czy cech szczególnych.

— Hm — mruknął sir Charles. — Niczym specjalnym się nie wyróżnia. Z wyjątkiem bokobrodów i zęba. Bokobrody zdążył zgolić, a na uśmiech trudno liczyć.

— Problem w tym — zauważył Crossfield — że ludzie nie potrafią obserwować. Od służących w „Abbey” nie mogłem nic więcej wydobyć poza mglistym opisem. Zawsze to samo. Jedna i ta sama osoba w oczach różnych ludzi jest wysoka, szczupła, niska, krepa, średniego wzrostu, tęga, smukła. Rzadko kiedy zdarza się człowiek, który naprawdę umie patrzeć.

— Wiec jest pan pewien, nadinspektorze, że Ellis jest mordercą?

— A jak inaczej wytłumaczyć jego ucieczkę? Nie możemy przejść nad tym faktem do porządku.

— Tak, to nas blokuje — rzekł Cartwright w zamyśleniu.

Crossfield zwrócił się teraz do pułkownika Johnsona, mówił, jakie przedsięwzięto środki. Pułkownik pokiwał głową, po czym poprosił nadinspektora o listę osób znajdujących się w „Melfort Abbey” w dniu popełnienia zbrodni. Wręczono ją dwom detektywom—amatorom.

A oto ona:

MARTHA LECKIE, kucharka

BEATRICE CHURCH, przełożona pokojówek

DORIS COKER, młodsza pokojówka

YICTORIA BALL, młodsza pokojówka

ALICE WEST, starsza pokojówka

VIOLET BASSINGTON, pomoc kuchenna

(Powyższe osoby zatrudnione były w domu zmarłego przez dłuższy czas, Martha Leckie — piętnaście lat, wszystkie cieszą się dobrą opinią).

GLADYS LYNDON, sekretarka, trzydzieści trzy lata,

pracuje u sir Bartholomewa Strange'a od trzech lat, nie

widzi możliwego motywu zabójstwa. Goście:

LORD i LADY EDEN, 187 Cadogan Square SIR JOCELYN I LADY CAMPBELL, 1256 Harley Street

PANNA ANGELA SUTCLIFFE, 28 Canterll Mansions, S.W.3

PAN KAPITAN I PANI DACRES, 3 St John's House, W.I.

(Pani Dacres prowadzi firmę Ambrosine Ltd, Brook Street).

LADY MARY I HERMIONE LYTTON GORE, Rosę Cottage, Loomouth

PANNA MURIEL WILLS, 5 Upper Cathcart Road, Tooting

PAN OLIYER MANDERS, Messrs Speier and Ross, Old Broad Street, E.C.2

— Hm — odezwał się sir Charles. — Gazety pominęły naszą znajomą z Tooting. I widzę, że nie zabrakło też Mandersa.

— Znalazł się przypadkiem — wyjaśnił Crossfield. — Młody człowiek wjechał samochodem na mur tuż obok „Melfort Abbey”, sir Bartholomew znał go trochę i poprosił do domu.

— Nierozważne posunięcie — skwapliwie zauważył sir Charles.

— Zgadza się z panem — powiedział nadinspektor. — Podejrzewam, że wypił o jednego za dużo. W jaki sposób mógł uderzyć w mur w takim miejscu, jeśli był trzeźwy?

— Może duch w niego wstąpił — zasugerował Cartwright.

— Duch alkoholowy, jak znam życie.

— Cóż, dziękujemy bardzo, panie nadinspektorze. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, pułkowniku, żebyśmy rozejrzeli się po „Melfort Abbey”?

— Ależ proszę bardzo. Chociaż nie sądzę, abyście panowie dowiedzieli się czegoś więcej.

— Kto tam jest?

— Tylko służba — odparł Crossfield. — Goście rozjechali się zaraz po przesłuchaniach, a panna Lyndon wróciła na Harley Street.

— Moglibyśmy też spotkać się z doktorem... eee... Davisem — zasugerował Satterthwaite.

— Dobra myśl.

Po otrzymaniu adresu doktora obaj panowie podziękowali serdecznie pułkownikowi i oddalili się.

ROZDZIAŁ TRZECI KTO Z NICH?

Kiedy szli ulicą, sir Charles zagadnął swego towarzysza:

— I co pan o tym myśli?

— A pan? — odparł pytaniem Satterthwaite. Zawsze wolał odwlec moment wyrażenia własnej opinii.

Inaczej było z sir Charlesem. Zawołał z emfazą:

— Oni się mylą, Satterthwaite. Całkiem się mylą. Mają na mózgu tego kamerdynera. Uciekł *ergo* zabił. Ale mnie to nie pasuje, nie. Nie można pominąć tamtej śmierci, w moim domu.

— Wciąż jest pan zdania, że oba wypadki mają jakiś związek? — Satterthwaite zadał pytanie, na które odpowiedział już w duchu twierdząco.

— Człowieku, one muszą mieć związek. Wszystko na to wskazuje. Trzeba znaleźć łącznika, kogoś, kto był obecny i tu, i tam.

— Tak — zgodził się Satterthwaite. — Ale to nie takie łatwe, jak mogłoby się na pozór wydawać. Jest zbyt wielu łączników. Chyba pan zauważył, że niemal wszyscy pańscy goście byli również u sir Bartholomewa?

Sir Charles skinął głową.

— Oczywiście. A wie pan, jaki stąd można wyciągnąć wniosek?

— Niezupelnie pana rozumiem.

— Do licha, człowieku! Pan sądzi, że to zbieg okoliczności? Nie, taki był zamysł. Dlaczego osoby obecne przy pierwszej śmierci są świadkami drugiej? Przypadek? Wykluczone. Tollie działał celowo, z planem.

— Och! — wykrzyknął Satterthwaite. — Tak, być może...

— To pewne. Nie znał pan Tollie'ego tak dobrze jak ja. Należał do ludzi, którzy nie lubią zdradzać swoich zamysłów, był też bardzo cierpliwy. Nigdy, odkąd go znałem, nie wyraził pochopnej opinii lub sądu.

Spójrzmy na to tak: Babbington zostaje zamordowany, tak, zamordowany, mówię bez ogródek, nie owijam rzeczy w bawelnę. A zatem — zamordowany pewnego wieczoru u mnie w domu. Tollie nabija się trochę z moich podejrzeń, ma jednak przez cały czas swoje własne wątpliwości. Nie mówi o tym głośno, to nie w jego stylu. Ale po cichu, w myśli, buduje akt oskarżenia. Nie wiem, na czym się opiera. Myślę, że nie oskarża konkretnej osoby. Jest jednak przekonany, że ktoś z obecnych u mnie dokonał zbrodni, i postanawia podjąć próbę odnalezienia sprawcy, przeprowadzić swego rodzaju test.

— A co z Edenami i Campbellami?

— To kamuflaż. Żeby się było trudniej zorientować.

— Jaki właściwie był plan doktora?

Aktor przesadnie, inaczej niż zwykle, wzruszył ramionami. To już nie był sir Charles, to był największy umysł Secret Service Aristide Duval, utykający na lewą nogę.

— Skąd mogę wiedzieć? Nie jestem jasnowidzem. Nie ma sensu zgadywać. Jedno jest pewne, plan był. Nie powiódł się, bo morderca był mądrzejszy, niż się Tollie'emu zdawało. On pierwszy zadał cios...

— On?

— Albo ona. Trucizna to broń tak kobiet, jak mężczyzn.

Satterthwaite nic na to nie odrzekł. Sir Charles mówił wiec dalej:

— No i co, chyba przyzna mi pan rację? A może jest pan po stronie powszechnie przyjętej opinii, że mordercą jest kamerdynier, że to on zabił Bartholomewa Strange'a?

— Jak pan zatem wytłumaczy sprawę zaginionego kamerdynera?

— W ogóle się nad nim nie zastanawiałem. W moim przekonaniu on się nie liczy. Chociaż mógłbym zasugerować pewne wyjaśnienie.

— Ciekawe, jakie.

— Załóżmy, że policja ma rację: Ellis jest zawodowym kryminalistą, współpracującym, na przykład, z gangiem włamywaczy. Otrzymuje posadę na podstawie fałszywych referencji. Tollie zostaje zamordowany. Co ma zrobić Ellis? Zabito człowieka, a pod jego dachem znajduje się facet, figurujący w kartotekach policji, którego odciski palców znane są w Scotland Yardzie. Sytuacja jest całkowicie jasna: Ellis ucieka ze strachu.

— Tajnym przejściem?

— Pal sześć tajne przejście! Wymknął się z domu, kiedy jeden z tych durniów, co stali na straży, uciał sobie drzemkę.

— To dość prawdopodobne.

— No więc, jaki jest pana pogląd, Satterthwaite?

— Mój? Och, dokładnie taki jak pana. Właściwie przez cały czas się nie zmienił. Kamerdyner nas tylko zbija z tropu. Uważam, że sir Bartholomew i pan Babbington zostali zabici przez jedną i te samą osobę.

— Jednego z gości?

— Jednego z gości.

Milczeli obaj przez chwilę, po czym Satterthwaite zapytał:

— Jak pan myśli, kto to był?

— Mój Boże, skąd mam wiedzieć?

— Oczywiście, nie może pan wiedzieć. Ale może mieć pan jakieś domysły. Nie chodzi mi przecież o naukowy dowód, lecz o zwykłą zgadywanke.

— Wie pan, ja nie... — Urwał, a po chwili wybuchnął: — Doprawdy, Satterthwaite, kiedy się porządnie zastanowić, żadna z tych osób nie wchodzi w grę.

— Tak, chyba ma pan rację — zadumał się Satterthwaite. — Żadna z tego spotkania podejrzanych. Niech pan zauważy, że niektórzy zostali wyłączeni. Pan i ja. Pani Babbington. No i młody Manders, on też.

— Manders?

— Znalazł się tam przypadkowo. Nie był zaproszony, pojawił się niespodziewanie. To go wyklucza z kółka podejrzanych.

— Zabrakło jeszcze tej pisarki, Anthony Astor.

— Nie, nie, ona była na przyjęciu. Pamiętam jej nazwisko na liście: panna Muriel Wills z Tooting.

— Tak, prawda. Zapomniałem, że nazywa się Wills. Sir Charles się zasepił. Pan Satterthwaite, który nieźle potrafił czytać w cudzych myślach, próbował odgadnąć, co zaprzętało głowę jego towarzysza. Pogratulował sobie w duchu, kiedy aktor przemówił.

— Słusznie, słusznie, Satterthwaite. Tollie zaprosił nie tylko zdecydowanie podejrzanych. W końcu wśród gości były lady Mary i Egg... A zatem nie... Chciał może odtworzyć scenierię pierwszego wypadku. Posądzal kogoś i potrzebował naocznych świadków dla potwierdzenia. Coś w tym rodzaju.

— Coś w tym rodzaju — powtórzył Satterthwaite. — Nie możemy się na razie posunąć do konkretów. A więc dobrze, wykluczamy obie panie Lytton Gore, pana, mnie, panią Babbington i Olivera Mandersa. Kto pozostaje? Angela Sutcliffe...

— Angie? Człowieku! Przyjaźniła się z Tollie'em od lat.

— A zatem weźmy Dacresów. Dobrze wiem, Cartwright, że ich właśnie pan podejrzewa. Mógł się pan do tego przyznać, kiedy pana pytałem.

Sir Charles spojrzał uważnie na Satterthwaite'a, który spoglądał na niego z lekkim tryumfem.

— Chyba się pan nie myli — powiedział powoli aktor. — Choć właściwie ja ich nie posądzam. Wydaje się to tylko bardziej prawdopodobne. Po pierwsze, nie znam ich zbyt dobrze. Poza tym, dlaczego, na Boga, Freddie Dacres, pędzący życie na wyścigach, lub Cynthia, zajmująca się wymyślaniem kosztownych strojów dla pań, mogłyby być żądni śmierci poczciwego pastora?

I z niedowierzaniem pokręcił głową. Po chwili rozpromienił się.

— Jest przecież ta Wills. Wciąż o niej zapominam. Co ona ma w sobie takiego, że się ją wiecznie pomija? Jest karygodnie bezbarwna, nigdy nie spotkałem tak banalnego stworzenia.

— A dla mnie — uśmiechnął się Satterthwaite — mogłaby ucieleśniać wers Burnsa: „Wśród nas jest dziecko, które wszystko widzi”. Panna Wills jest tą, która wszystko widzi. Bystre oczka kryją się za tymi szklami, zapewniam pana. Jeszcze się pan przekona, że panna Wills zauważyła dokładnie to, co trzeba.

— Tak pan sądzi? — spytał z powątpiewaniem sir Charles.

— A teraz — przerwał dyskusję Satterthwaite — pora na lunch. Potem idziemy do „Abbey”. Zobaczymy, co się okaże na miejscu.

— Wygląda mi na to, że pociąga pana ta zabawa, Satterthwaite — zauważył sir Charles z błyskiem w oczach.

— Śledztwo w sprawie zbrodni to dla mnie nie nowina. Kiedyś zepsuł mi się samochód i zatrzymałem się w samotnym zajeździe...

Urwał.

— Pamiętam — rzekł sir Charles wysokim, czystym aktorskim głosem. — Kiedy pracowałem w objazdowym teatrze w 1921...

Sir Charles tryumfował.

ROZDZIAŁ CZWARTY CO MÓWI SŁUŻBA?

Nie było chyba bardziej kojącego widoku na świecie niż „Melfort Abbey” we wrześnieowym popołudniowym słońcu. Cześć opactwa pochodziła z piętnastego wieku. Została ona odrestaurowana i dobudowano do niej nowe skrzydło, w którym znajdowało się sanatorium. Nie było ono widoczne ze starego domu i miało własny teren.

Sir Charles i pan Satterthwaite zostali przyjęci przez panią Leckie, kucharkę, okazałą jejmością dostojnie ubraną w czerń, gadatliwą i skłoną do łez. Znała ona Cartwrighta i do niego przede wszystkim kierowała swą przemowę.

— Och, sir, co to było dla mnie za przeżycie! Śmierć naszego pana, i cała reszta! Wszędzie policjanci, wścibiają nos w każdy kącik, nie uwierzy pan, sir, nawet w skrzynie na śmieci. I te pytania! Przepytawali i przepytawali, bez końca. O, że ja musiałam dożyć takiej chwili! Nasz pan doktor, taki spokojny pan! A ten dzień, kiedy dostał tytuł, byliśmy takie dumne, Beatrice i ja, chociaż Beatrice jest tu dwa lata krócej. A tu te pytania tego chłystka z policji, przepraszam za słowo, ale to nie był dżentelmen... ja wiem, kto jest kto, wiem, jak się zachowuje dżentelmen, zbyt wiele w życiu widziałam. Wiec ten chłystek, może sobie być nadinspektorem... — Pani Leckie zrobiła w tym miejscu pauzę, zaczerpnęła tchu, by wybrnąć z grząskiego gruntu. — Wiec wypytywał o wszystkie służące, a dziewczyny są do rany przyłóż, każda jedna. Prawda, że Doris nigdy nie wstaje na porę, musze jej to wbijać do głowy co najmniej raz w tygodniu. A Vickie bywa impertynencka. W końcu od młodych trudno oczekiwać wychowania, dzisiaj matki o to nie dbają, ale wszystko jedno, to złote dziewczyny i żaden nadinspektor mnie nie przekona, że jest inaczej. I powiedziałam jemu: „Niech pan sobie nie myśli, że powiem coś na moje panienki. Ze świecą takich szukać. A rzucanie podejrzeń, że mają coś wspólnego z morderstwem, to świństwo, i tyle”.

Zamilkła na chwilę.

— Pan Ellis to co innego. Nic nie wiem o panu Ellisie i nie mogę za niego ręczyć. Był tu obcy, przyjechał z Londynu, kiedy pan Baker był na urlopie.

— Baker? — zdziwił się Satterthwaite.

— Pan Baker był kamerdynerem u pana doktora przez ostatnie siedem lat, sir. Przeważnie siedział w Londynie, na Harley Street. Pamięta go pan? — zwróciła się do sir Charlesa, który przytaknął. — Pan doktor przywoził go tutaj, kiedy wydawał przyjęcie. Baker nie czuł się ostatnio za dobrze, tak mówił sir Bartholomew. Dlatego nasz pan dał mu kilkumiesięczny urlop, opłacił mu też pobyt nad morzem koło Brighton — nasz pan doktor to był prawdziwy dżentelmen! Pan Ellis był zatrudniony czasowo, wiec, już mówiłam to nadinspektorowi, nie potrafię nic o nim powiedzieć, chociaż wyglądało na to, że pracował w najlepszych domach, i trzeba przyznać, miał w sobie coś z dżentelmena.

— Czy zauważyła pani w nim coś niezwykłego? — zagadnął sir Charles z nadzieją w głosie.

— Ciekawe, że pan o to zapytał. Wie pan, jaka jest moja odpowiedź? I tak, i nie.

Zachęcona spojrzeniem sir Charlesa pani Leckie podjęła:

— Nie potrafię dokładnie powiedzieć, na czym to polegało, sir, ale było coś...

„Zawsze znajdzie się jakieś coś już po fackie” — pomyślał posepnie Satterthwaite. Chociaż kucharka gardziła policją, ulegała jej sugestiom. Skoro Ellis ma się okazać przestępcą, pani Leckie coś w nim zauważyła.

— Przede wszystkim trzymał się na uboczu. Och, był grzeczny, to dżentelmen, jak mówiłam, z nawykami z dobrych domów. Ale lubił być sam ze sobą, dużo czasu spędzał w swoim pokoju. Poza tym... nie wiem jak to powiedzieć... był... och... było coś...

— Chyba pani nie podejrzewała, że tak naprawdę jest kim innym niż kamerdynerem?

— O, zupełnie dobrze znał się na swojej robocie, sir. Wiedział, co trzeba. O ludziach z towarzystwa też wiedział to i owo.

— Na przykład? — delikatnie zasugerował sir Charles. Pani Leckie jednak odpowiedziała wymijająco. Nie chciała powtarzać, o czym służba plotkuje w korytarzu. Miała swoje zasady.

Satterthwaite, żeby ją rozluźnić, zaproponował:

— A może by nam go pani opisała. Rozpromieniła się.

— Bardzo chętnie, sir. Wyglądał godnie, miał bokobrody i siwe włosy, trochę się garbił. Zaczynał tyć, wiem, że się tym martwił. Aha, lekko drżały mu ręce, nie, nic z tego, o czym pan myśli. Bardzo wstrzemięźliwy człowiek, nie taki jak inni. Miał chyba coś z oczami, raziło go światło, ostre światło, oczy łzawiły mu wtedy okropnie. Jak był z nami, to nosił okulary, ale nigdy na służbie.

— A jakieś znaki szczególne? — spytał sir Charles. — Blizna? Złamany palec? Znamię?

— Nic, proszę pana. Nic z tych rzeczy.

— Jaką przewagę nad życiem ma literatura — westchnął Cartwright. — W książkach pojawia się zawsze jakiś znak szczególny.

— Brakowało mu zęba — przypomniał sobie Satterthwaite.

— Być może, sir. Nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

— Proszę opisać jego zachowanie w tragiczny wieczór — zwrócił się do niej Satterthwaite, jakby cytował zdanie z książki.

— Naprawdę trudno mi coś powiedzieć, sir. Miałam pełno roboty w kuchni. Nie było czasu na rozglądanie się.

— Tak, tak, oczywiście.

— Jak się rozeszła wiadomość, że pan nie żyje, замуrowało nas. Zaczęłam płakać, nie mogłam przestać, tak samo Beatrice. Dziewczyny były oczywiście podniecone, jak to młodzi, ale bardzo przeżywały. Pan Ellis oczywiście mniej się martwił, bo był nowy, chociaż musze powiedzieć, że okazywał nam troskę, koniecznie chciał, żebyśmy z Beatrice wypily kieliszek portu, mówił, że to nam pomoże wyjść z szoku. Kto by pomyślał, taki łajdak!...

Pani Leckie nie posiadała się z oburzenia.

— I zniknął jeszcze tej nocy?

— Tak, sir. Poszedł do siebie, jak wszyscy, a rano już go nie było. Dlatego policja jego właśnie sobie przyuważała.

— Tak, głupio zrobił. W jaki sposób opuścił dom, jak pani myśli?

— Nie mam pojęcia, sir. Policjanci pilnowali nas przez całą noc, nic nie zauważyli, ale przecież to tylko ludzie, tyle że strugają waźniaków, kiedy wchodzą do przyzwoitego domu i niuchają po kątach.

— Podobno jest tu gdzieś tajne przejście — zauważył sir Charles.

Pani Leckie skrzywiła się.

— Tak twierdzi policja.

— A jest?

— Coś tam kiedyś słyszałam — ostrożnie wyznała pani Leckie.

— Wie pani, gdzie się zaczyna?

— Nie, sir. Wszystko bardzo pięknie, ale tajne przejścia to nie temat, o którym się papie w kuchni. Jeszcze by co dziewczynom przyszło do głowy. Może na przykład zachciałoby się im tamtędy wymknąć? U mnie dziewczyny wchodzą i wychodzą wejściem dla służby, przynajmniej wiemy, co i jak.

— Doskonale, pani Leckie. Jest pani bardzo mądrą kobietą — pochwalił ją sir Charles.

Mile pogłaskana w swej próżności, kucharka dumnie zadarła do góry głowę.

— Czy moglibyśmy jeszcze porozmawiać z innymi osobami?

— Jak najbardziej, sir. Chociaż nic więcej pan się nie dowie.

— Nie szkodzi. Nie tyle chodzi mi o Ellisa, co o samego sir Bartholomewa, jak się zachowywał tamtego wieczoru i tak dalej. Widzi pani, to był mój przyjaciel.

— Wiem, sir. Doskonale pana rozumiem. Dobrze, przyprowadzę panom Beatrice i Alice, te, która podawała do stołu.

— Chciałbym porozmawiać z Alice.

Pani Leckie respektowała jednak hierarchię. Sprowadziła najpierw Beatrice Church, przełożoną pokojówek.

Oczom obu panów ukazała się wysoka, szczupła kobieta z zaciśniętymi ustami. Jej wygląd cechowała narzucająca się przyzwoitość.

Po kilku zdawkowych uwagach sir Charles skierował rozmowę na zachowanie się gości w czasie tragicznego przyjęcia. Czy byli wstrząśnięci? Czy coś mówili? Co robili?

Beatrice lekko ożywiła się. Chętnie żerowała na tragedii, jak wampir na ludzkim ciele.

— Panna Sutcliffe całkiem się załamała. Ta pani ma dobre serce, znam ją, bywała tu nieraz. Zaproponowałam jej kieliszeczek brandy albo filiżankę mocnej herbaty, ale stanowczo odmówiła. Wzięła natomiast aspirynę. Była przekonana, że oka nie zmruży przez całą noc. Gdzie tam! Kiedy na drugi dzień rano przyniosłam jej herbatę, spała jak dziecko.

— A pani Dacres?

— Tej kobiety nic nie jest w stanie załamać. Widać było, że Beatrice nie przepada za Cynthią Dacres.

— Wciąż powtarzała, że musi jechać, wracać do firmy. Jest znaną krawcową w Londynie, tak mówił pan Ellis.

Dla Beatrice krawiectwo oznaczało rzemiosło, a na rzemiosło patrzyła z góry.

— Teraz pan Dacres. Beatrice prychnęła.

— Ten to uspokajał się brandy, choć skutek może był odwrotny.

— Kolej na lady Mary Lytton Gore.

— O, to bardzo miła pani — powiedziała Beatrice miękko. — Moja babka cioteczna pracowała u jej ojca, jeszcze w zamku. Podobno była kiedyś bardzo ładna, wszyscy tak mówią. Chociaż jest biedna, od razu widać, że to nie byle kto. Taka jest delikatna, niewymagająca, zawsze miła w obejściu. Jej córka też mi się podoba. Nie znały dobrze pana doktora, ale były bardzo zgnębione.

— A panna Wills? Beatrice znowu się najeżyła.

— Naprawdę nie wiem, co sobie myślała panna Wills.

— A co sobie pani wtedy o niej pomyślała? — spytał sir Charles. — No, niech pani mówi, śmiało, po ludzku.

Niespodziewany uśmiech rozjaśnił surową twarz Beatrice. W zachowaniu sir Charlesa było coś rozbrajająco chłopięcego. Nawet Beatrice nie pozostała nieczuła na jego wdzięk, którym uwodził publiczność w teatrze.

— Ale co by chciał pan ode mnie usłyszeć, sir?

— Po prostu: co pani sobie wtedy myślała o pannie Wills?

— Nic, sir. Zupełnie nic. Oczywiście, ona... Beatrice zawahała się.

— Śmiało, Beatrice.

— Co tu dużo gadać, to kobieta bez prawdziwej klasy. Wiem, to nie jej wina, ale taka jest prawda — mówiła służąca wyrozumiałym tonem. — Robiła rzeczy, które nie przystoją damie. Węszyła po kątach, wszędzie wścibiała nos.

Sir Charles próbował wydobyć z niej jakieś konkrety, ale na próżno. Panna Wills węszyła i wścibiała nos, ale co dokładnie robiła, nie wiadomo. Beatrice powtarzała tylko uparcie, że wścibiała nos w nie swoje sprawy.

Dał więc spokój pannie Wills. Satterthwaite zmienił temat.

— O ile wiem, pan Manders pojawił się zupełnie nieoczekiwanie?

— Tak, sir. Miał wypadek samochodowy, tuż koło naszej stróżówki. Szczęście w nieszczęściu, mówił, że akurat tutaj. W domu było pełno i panna Lyndon kazała mu posłać w małym gabinecie.

— Czy wszyscy goście zdziwili się na jego widok?

— Tak, oczywiście, wszyscy, sir.

Spytana, co sądzi o Ellisie, Beatrice odpowiedziała wymijająco. Słabo go znała. Tak, sposób, w jaki się oddalił, wyglądał podejrzanie, dlaczego jednak miałby zabić pana doktora, nie miała pojęcia. Nikt zresztą nie wiedział.

— Jak się doktor zachowywał? Cieszył się na przyjęcie? Był zamyślony?

— Był w bardzo dobrym humorze, sir. Uśmiechał się do siebie, jakby chodził mu po głowie jakiś kawał. Raz nawet usłyszałam, jak żartował sobie z panem Ellisem, co nigdy mu się nie zdarzyło za pana Bakera. Pan doktor był trochę dla nas szorstki, zawsze grzeczny, uprzejmy, ale nie spoufalął się.

— O czym rozmawiali? — spytał z ożywieniem Satterthwaite.

— Nie pamiętam dokładnie, sir. Pan Ellis odebrał przez telefon jakąś wiadomość dla pana doktora, a sir Bartholomew spytał, czy na pewno dobrze zapamiętał nazwisko, a pan Ellis odparł, że z całą pewnością, mówił to wszystko, rzecz jasna, z należnym szacunkiem. Pan doktor zaśmiał się i powiedział: „Świetny z pana facet, Ellis, doskonały kamerdyner. Co pani na to, Beatrice?”. Byłam tak zdumiona, że pan w taki sposób z nim rozmawia, zupełnie inaczej niż zwykle, że zaniemówiłam.

— A Ellis?

— Wyglądał na speszzonego, sir, jakby nie był przyzwyczajony do tego rodzaju rzeczy. Tak jakoś zeszywniał.

— A co to była za wiadomość, którą przekazał?

— Wiadomość? A, tak. Z lecznicy. O jakiejś pacjentce, że zajęchała i dobrze zniosła podróż.

— Pamięta pani nazwisko?

— Dziwne nazwisko, sir... — Beatrice wahała się przez chwilę. — Pani de Rushbridger, coś takiego.

— No tak — powiedział ze zrozumieniem sir Charles. — Niełatwo zapamiętać takie nazwisko przez telefon. Dziękuję bardzo, Beatrice. A teraz chcielibyśmy porozmawiać z Alice.

Kiedy Beatrice odeszła, sir Charles i pan Satterthwaite wymienili uwagi i wrażenia.

— Panna Wills była wścibska, pani Dacres niewzruszona, kapitan Dacres upił się. I co? Niewiele tego.

— Rzeczywiście — przyznał Satterthwaite.

— Cała nadzieja w Alice.

Alice okazała się trzydziestoletnią kobietą o spokojnych ciemnych oczach. Mówiła bez żadnych oporów.

Nie, Ellis nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Za dużo miał w sobie z dżentelmena. Policja twierdzi, że to zwykły kryminalista. Zdaniem Alice to wykluczone.

— Jest więc pani przekonana, że to zwykły, Bogu ducha winny kamerdyner? — odezwał się Cartwright.

— Zwykły to nie, sir. Takiego kamerdynera nigdy nie spotkałam, jak długo pracuję. Wszystko robił po swojemu.

— Pani zdaniem to nie on otruł sir Bartholomewa?

— Och, sir, nie wyobrażam sobie, jak by to mógł zrobić. Podawaliśmy razem do stołu, gdyby coś włożył panu do talerza, na pewno bym zauważyła.

— No dobrze, a drinki?

— Roznosił wino, sir. Najpierw sherry do zupy, potem białe wino reńskie i czerwone z Bordeaux. Gdyby coś było w winie, wszyscy by się potruili, w każdym razie ci, co je kosztowali. Pan pił to, co reszta towarzystwa. Także porto. Porto pili wszyscy panowie i niektóre panie.

— Kieliszki do wina wyniesiono na tacy?

— Tak, sir. Ja trzymałam tacę, a pan Ellis ustawiał kieliszki, potem wyniosłam tacę do spiżarni. Stały tam, kiedy przyszła policja, żeby je zbadać. Szkło do porto było na stole. Policja niczego nie znalazła.

— Jest pani pewna, że doktor jadł i pił dokładnie to, co wszyscy?

— Zauważyłabym, gdyby było inaczej.

— A może ktoś mu coś podał?

— Och, nie, sir.

— Niech mi pani powie, Alice, czy słyszała pani o tajnym przejściu?

— Słyszałam o nim od ogrodnika. Kończy się w lesie, tam, gdzie są ruiny. Ale nigdy nie widziałam wejścia w domu.

— A Ellis przypadkiem o tym nie wspomniał?

— Nie, sir, on nic nie wiedział, jestem pewna.

— Kto zabił doktora, Alice?

— Nie wiem, sir. Chyba nikt. To musiał być jakiś wypadek.

— Hm. Cóż, dziękuje pani, Alice.

— Gdyby nie śmierć Babbingtona — odezwał się sir Charles, kiedy Alice wyszła z pokoju — świetnie nadawałaby się na sprawcę. Ładna dziewczyna... Podawała do stołu... Nie, to bez sensu. Przecież Babbington został zamordowany. Zresztą Tollie nigdy nie zwracał uwagi na dziewczyny. Nie należał do takich mężczyzn.

— To prawda, ale miał pięćdziesiąt pięć lat — stwierdził w zamyśleniu Satterthwaite.

— I co z tego?

— To wiek, w którym mężczyźni potrafią stracić głowę dla dziewczyny, nawet jeśli przedtem im się to nie zdarzało.

— Do licha, Satterthwaite. Ja się zbliżam do pięćdziesięciu pięciu.

— Wiem — odparł tamten z lekkim błyskiem w oku. Sir Charles nie wytrzymał jego spojrzenia i spuścił wzrok.

Zaczerwienił się.

ROZDZIAŁ PIĄTY POKÓJ KAMERDYNERA

— A może byśmy tak obejrzeni pokój Ellisa? — zaproponował Satterthwaite śmiejąc się w duchu. Widok sir Charlesa, który spiekł raka, był niezwykle zabawny.

Cartwright podchwycił zmianę tematu.

— Doskonale. Właśnie chciałem pana do tego namówić.

— Oczywiście pokój został już przeszukany przez policję.

— Policja...

Sir Charles–Aristide Duval pogardliwie machnął ręką. Ze zdwojoną energią rzucił się w swoją rolę, by jak najszybciej zatrzeć ślady krepującego dłoń incydentu.

— Policjanci to zakute pały — stwierdził. — Czego szukali w pokoju Ellisa? Dowodów winy. My będziemy szukać dowodów jego niewinności, czyli czegoś dokładnie przeciwnego.

— Jest pan do końca przekonany, że Ellis jest niewinny?

— Jeśli nie mylimy się co do Babbingtona, musi być niewinny.

— Tak, zresztą...

Satterthwaite nie dokończył. Zamierzał powiedzieć, że jeśli Ellis okazałby się notorycznym przestępcą, rozszyfrowanym przez doktora, którego w rezultacie zabił, cała sprawa stałaby się nieznośnie nudna. W porę jednak przypomniał sobie, że sir Bartholomew i sir Charles byli przyjaciółmi, i przeraził się własnym, nie ujawnionym na szczęście, brakiem taktu.

Pokój Ellisa na pierwszy rzut oka nie wróżył specjalnych rewelacji. Ubrania w komodzie i szafie we wzorowym porządku. Dobrze skrojone garnitury z naszywkami różnych firm krawieckich, a więc rzeczy używane, które kamerdyner otrzymywał w rozmaitych sytuacjach. Podobnie z bielizną. Buty, wyglansowane do połysku, stały na prawidłach.

Satterthwaite wziął do ręki jeden but i mruknął:

— Dziewiątka, tak, dziewiątka.

Spostrzeżenie to prowadziło co prawda donikąd, bowiem odciski stóp nie grały roli w tej sprawie.

Nigdzie nie było służbowego uniformu Ellisa, co oczywiście wskazywało na to, że kamerdyner w nim się oddalił. Satterthwaite uznał to za znamienne.

— Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach przebrałby się w zwykłe ubranie.

— Tak, to dziwne... Zupełnie jakby w ogóle nie wyjechał... Ale to przecież nonsens.

Szukali dalej. Nie trafili na żadne listy czy papiery, wyszperali tylko wycinek z gazety o leczeniu odcisków i anons o zbliżającym się ślubie córki diuka.

Na stolyczku leżał bibularz, stała buteleczka atramentu. Ani śladu pióra. Sir Charles podniósł bibularz do lustra. Nic z tego — jeden arkusz był bardzo zużyty — gmatwanina nieczytelnych znaków, atrament wypłowiwały ze starości.

— Jedno z dwojga — dywagował Satterthwaite. — Albo wcale tutaj nie pisał listów, albo nie używał bibuły. Bibularz jest mocno zużyty. O! — zawołał nagle i wskazał z pewnym tryumfem na ledwo zauważalne w gąszczu znaków słowa „L.Baker”. — To nie Ellis używał bibularza.

— Dziwne... dziwne — powiedział powoli sir Charles.

— Dlaczego?

— Normalny człowiek pisuje od czasu do czasu listy...

— Nie kryminalista.

— Tak, zapewne. Coś tam musi z nim być nie w porządku, skoro w ten sposób się ulotnił. Ale nie on zabił Tollie’ego.

Robili teraz oględziny podłogi, unieśli dywan, zajrzeli pod łóżko. Poza plamą z atramentu przy kominku nie znaleźli nic, zupełnie nic. Pokój kamerdynera kompletnie zawiódł ich oczekiwania.

Wychodzili zbici z tropu, zgaszeni, ich energia detektywistyczna na razie prysła. Myśleli sobie zapewne, że w książkach to wygląda znacznie lepiej.

Zamienili jeszcze kilka słów z resztą służby, wystraszonymi dziewczętami pełnymi nabożnej czci dla pani Leckie i Beatrice. Nie posunęli się jednak ani o krok.

Wreszcie zdecydowali, że pora wracać.

— I co, Satterthwaite? — zagadnął sir Charles, kiedy szli wolno przez park. (Samochód Satterthwaite'a miał podjechać po nich do stróżówki). — Nic pana nie uderzyło, absolutnie nic?

Satterthwaite głęboko się zamyślił. Nie spieszył się z odpowiedzią, zwłaszcza że coś powinno przecież zwrócić jego uwagę. Przyznać, że cała wyprawa okazała się nieporozumieniem, było mu bardzo nie w smak. Przypomniawszy sobie zeznania wszystkich służących po kolei — zawierały nader skąpe informacje.

Trafnie podsumował je sir Charles: panna Wills była wścibska, Angela Sutcliffe w szoku, Cynthia Dacres niewzruszona, a kapitan Dacres upił się. Mało tego, bardzo mało, chyba że Freddie Dacres pijąc zagłuszał wyrzuty sumienia. Satterthwaite wiedział jednak, że Dacres na co dzień nie stroni od kieliszka.

— I co? — powtórzył niecierpliwie sir Charles.

— Nic — wyznał niechętnie Satterthwaite. — Możemy tylko wysnuć jeden pewny wniosek na podstawie wycinka z gazety: Ellis cierpiał na odciski.

Sir Charles uśmiechnął się krzywo.

— Całkiem logiczna konkluzja. Obawiam się jednak, że niewiele wnosi.

Satterthwaite przyznał, że istotnie niewiele.

— Jeszcze może jedno... — dodał po chwili i urwał.

— Co takiego? Mówże, człowieku. Wszystko się liczy.

— Przyznam, uderzył mnie fakt, że sir Bartholomew droczył się z kamerdynerem. Wie pan, ta scena, o której opowiadała nam służąca. Chyba zupełnie do doktora niepodobna.

— Ja wiem, że do niego niepodobna — rzekł z naciskiem Cartwright. — Dobrze znałem Tollie'go, o wiele lepiej niż pan, nie należał do żartownisiów. Nigdy by tak nie przemawiał, chyba że... hm, chyba że z jakiegoś powodu nie był całkiem sobą. Ma pan rację, to jest ważny punkt. Tylko gdzie nas ten trop prowadzi?

— Cóż... — zaczął Satterthwaite. Pytanie sir Charlesa było oczywiście retoryczne. Nie tyle chciał usłyszeć zdanie towarzysza, co sam zabłysnąć.

— Pamięta pan, kiedy nastąpił incydent? Zaraz po tym, jak Ellis przekazał Tollie'emu wiadomość otrzymaną przez telefon. A zatem można śmiało przypuszczać, że ta właśnie wiadomość wywołała u Tollie'ego szampański humor. Przypomina pan sobie, że zapytałem służącą, o co chodziło.

Tamten przytaknął i powiedział:

— Telefonowano, że niejaka pani de Rushbridger przyjechała do lecznicy. — Chciał wyraźnie pokazać, że nie uszło to również jego uwagi. — Nie brzmi to jakoś szczególnie dramatycznie.

— Zgadzam się z panem. Jeżeli jednak nasze rozumowanie jest słuszne, ta informacja musi mieć pewne znaczenie.

— Taak — rzekł z powątpiewaniem Satterthwaite.

— Nie mam wątpliwości — stwierdził stanowczo sir Charles. — Musimy odczytać to znaczenie. Pomyślałem sobie właśnie, że może chodzić o szyfr — pozornie nieszkodliwa, zwykła informacja, która w rzeczywistości ma całkiem inny sens. Na przykład dotyczy śmierci Babbingtona, jeśli przyjąć, że Tollie próbował coś wysledzić. Załóżmy, że wynajął

prywatnego detektywa i zlecił mu wyjaśnienie jakiegoś faktu. Mógł mu kazać zadzwonić, w razie potwierdzenia się podejrzeń, i wypowiedzieć takie właśnie zdanie, bezpiecznie ukrywające prawdę przed osobami z zewnątrz. To tłumaczyłoby jego dobry humor, dlatego dopytywał się, czy Ellis na pewno prawidłowo zrozumiał nazwisko. On sam dobrze wiedział, że osoba o takim nazwisku nie istnieje. Cóż pan chce, kiedy szczęśliwie udaje się przeprowadzić operację mającą słabe szanse powodzenia, człowiek trochę traci samokontrolę.

— A więc pana zdaniem pani de Rushbridger nie istnieje?

— Trzeba to sprawdzić.

— Jak?

— Pojedziemy do sanatorium i zapytamy siostrę przełożoną.

— Będzie mocno zdziwiona.

— Już ja się tym zajmę — zaśmiał się sir Charles. Zeszli z drogi dojazdowej i skierowali się w stronę lecznicy.

Teraz z kolei Satterthwaite zwrócił się do aktora z pytaniem:

— A pana nic nie uderzyło w czasie naszych oględzin?

— Tak... — odparł powoli sir Charles. — Do diabła, co to mogło być?

Jego towarzysz rzucił mu pytające spojrzenie.

— Jak by to powiedzieć? — mówił sir Charles marszcząc brwi. — W pewnej chwili coś mnie zaskoczyło, wydało mi się podejrzanе, dziwne, tylko nie miałem wtedy czasu się zastanowić i odłożyłem to na później.

— A teraz nie może pan sobie przypomnieć?

— Niestety. Pamiętam tylko, że pomyślałem sobie: „Dziwne!”

— Czy to było wtedy, jak przesłuchiwaaliśmy służące? Konkretną osobę?

— Nie pamiętam, kiedy i gdzie. Im dłużej będę się zastanawiał, tym trudniej mi przyjdzie na to wpaść. Poczekajmy, może samo mi się przypomni.

Wkrótce stanęli przed gmachem sanatorium, dużym nowoczesnym białym budynkiem oddzielonym od parku ogrodzeniem z pali, w którym znajdowała się furtka. Podeszli do drzwi frontowych, zadzwonili i zapytali o siostrę przełożoną.

Po chwili zeszła do nich siostra, wysoka kobieta w średnim wieku, o pojętej twarzy. Sir Charlesa znała z nazwiska, wiedziała, że był przyjacielem zmarłego.

Cartwright wyjaśnił, że zbulwersowany wieścią o śmierci przyjaciela, o związanych z nią straszliwych podejrzeniach, przyjechał specjalnie z zagranicy, by na miejscu zdobyć możliwie jak najwięcej informacji. Siostra z dużym wzruszeniem mówiła, jaką stratę poniosła lecznica wraz z odejściem sir Bartholomewa, o tym, jakim był wspaniałym lekarzem. Sir Charles wyraził zaniepokojenie dalszym losem zakładu. Siostra powiedziała, że doktor miał dwóch partnerów, doskonałych specjalistów, a jeden z nich był tu na miejscu.

— Sir Bartholomew szczyił się swoją lecznicą — rzekł sir Charles.

— Rzeczywiście, miał świetne rezultaty.

— To zakład dla nerwowo chorych?

— Tak.

— Coś sobie przypominałem. Pewien człowiek w Monte Carlo mówił mi, że przyjeżdża tu jego krewna. Zapomniałem, jak się nazywa... Zaraz... Rushbridger, Rushbrigger, coś takiego.

— Chodzi o panią de Rushbridger?

— O, właśnie. Jest tu na leczeniu?

— Owszem. Obawiam się jednak, że nie będzie się mogła z panem zobaczyć. Jeszcze przez jakiś czas. Ma zalecony ścisły odpoczynek. — Po twarzy siostry przemknął mały filuterny uśmieszek. — Żadnych listów, żadnych wizyt, żadnych podniet.

— Nie jest chyba w bardzo złym stanie?

— Silne załamanie, zaburzenia pamięci, poważne wyczerpanie nerwowe. Och, z czasem do siebie dojdzie. — I siostra uśmiechnęła się uspokajająco.

— Zaraz, a czy ja przypadkiem nie słyszałem, jak Tollie, to znaczy sir Bartholomew, o niej mówił? Była chyba jego znajomą?

— Nie sądzę, sir Charles. Doktor nigdy o tym nie wspomniał. Przyjechała niedawno z Indii Zachodnich. Ach, to było bardzo zabawne, musze coś panu opowiedzieć. Nazwisko raczej trudne do zapamiętania dla służącej, tutejsza pokojówka na dodatek nie jest rozgarnięta. Przychodzi więc do mnie i mówi: „Przyjechała pani India Zachodnia”.

— Tak... hm... bardzo zabawne. Jej mąż też jest tutaj?

— Nie, jeszcze tam.

— No tak, tak. Musiałem ją z kimś pomylić. Czy doktor jakoś szczególnie interesował się chorą?

— Amnezja jest dość powszechnym schorzeniem, zawsze ciekawym dla lekarza. Tyle jest odmian. Rzadko kiedy zdarzają się dwa takie same przypadki.

— Dziwne to wszystko — westchnął sir Charles. — No tak, pora na nas. Dziękuję, siostrzo. Chętnie sobie z panią porozmawiałem. Wiem, jak wysoko Tollie panią cenił. Często mówił o pani — skłamał na koniec Cartwright.

— O, jakże mi miło to słyszeć! — Siostra przełożona zarumieniała się i wybuchnęła: — Taki wspaniały człowiek! Co to za strata! To był szok, grom z jasnego nieba? Morderstwo! „Kto mógłby zamordować doktora Strange’a?” — powiedziałam. To się nie mieści w głowie. Co za potwór z tego kamerdynera. Mam nadzieję, że go złapią. I tak bez żadnego motywu!

Sir Charles zwiesił głowę ze smutkiem, szykując się wraz z Satterthwaite’em do wyjścia. Poszli drogą do miejsca, gdzie czekał na nich samochód.

Jakby w odwecie za przymusowe milczenie w czasie spotkania z siostrą przełożoną pan Salterthwaite wykazał teraz żywe zainteresowanie wypadkiem Olivera Mandersa i zasypał pytaniami stróża, starszego mężczyznę z tępą twarzą.

Tak, to było tutaj, gdzie zwalony mur. Młody człowiek jechał samochodem. Nie, stróż nie widział wypadku na własne oczy. Usłyszał hałas i wybiegł. Młody człowiek stał tam, dokładnie w tym miejscu, gdzie stoi teraz ten drugi pan. Nie był ranny. Patrzył tylko ze smutkiem na swój pojazd — kompletną ruinę. Zapytał, kto tu mieszka, a kiedy dowiedział się, że sir Bartholomew, powiedział: „Szczęście w nieszczęściu” i poszedł do domu. Wyglądał na bardzo spokojnego młodzieńca, taki jakiś zmęczony. Dlaczego doszło do wypadku, stróż nie miał pojęcia, chyba po prostu czasem coś nie wyjdzie.

— Dziwny wypadek — rzekł Satterthwaite w zamyśleniu.

Szeroka, prosta jak strzełił szosa. Żadnych zakrętów, żadnych przecznic. Dlaczego kierowca miałby nagle skrócić prosto na dziesięciostopowy mur, Bóg raczy wiedzieć.

— O czym pan tak дума? — spytał wścibsko sir Charles.

— Och, o niczym.

— Tak, zastanawiające — odezwał się po chwili sir Charles, który także patrzył z powątpiewaniem na scenię wypadku.

W końcu wsiedli do samochodu i odjechali.

Satterthwaite zamyślił się głęboko. Pani de Rushbridger — koncepcja Cartwrighta była biedna — to nie szyfr, to osoba z krwi i kości. A może było coś, co miało związek z tą kobietą. Czy była ona świadkiem jakiegoś wydarzenia? Czy też po prostu ciekawym przypadkiem choroby? W każdym razie wzbudziła u sir Bartholomewa niezwykle podniecenie. A jeśli była ładna? Pan Satterthwaite nieraz w życiu widział zakochanych pięćdziesięciolatków, którym gwałtownie zmieniał się charakter. Może w takim wypadku doktor z człowieka pełnego rezerwy przerodziłby się w figlarza.

Sir Charles przerwał te rozmyślania. Wychylił się do przodu mówiąc:

— Czy możemy zawrócić, Satterthwaite?

I nie czekając na odpowiedź chwycił za tubę i wydał polecenie. Samochód zwolnił, zatrzymał się i kierowca wjechał tyłem w jakąś uliczkę, gdzie mógł łatwo wykręcić. W chwilę potem sunęli szosą w przeciwnym kierunku.

— Co się stało? — spytał Satterthwaite.

— Przypomniałem sobie — odparł sir Charles. — Uderzyła mnie plama z atramentu na podłodze w pokoju kamerdynera.

ROZDZIAŁ SZÓSTY PLAMA Z ATRAMENTU

Satterthwaite obrócił się zdumiony.

— Plama z atramentu? O co chodzi, Cartwright?

— Pamięta pan plamę?

— Owszem, była jakaś plama.

— W którym miejscu?

— Nie przypominam sobie dokładnie.

— Powiem panu: obok listwy przy kominku.

— A tak, rzeczywiście.

— Jak pan myśli, skąd się tam wzięła?

— Nie była duża — powiedział po namyśle Satterthwaite. — A zatem nie rozlał się kałamarz. Powiedziałbym, że ktoś upuścił wieczne pióro. Pamięta pan chyba, że w pokoju nie było pióra? — („Niech wie, że i ja potrafię zauważyć to i owo”, pomyślał). — Nasz kamerdyner musiał mieć pióro, jeśli od czasu do czasu pisywał listy, ale na razie nie mamy żadnych dowodów na to.

— Ależ mamy, Satterthwaite. Jest przecież plama z atramentu.

— To jeszcze nie znaczy, że pisał — sprzeczał się Satterthwaite. — Mógł po prostu upuścić pióro na podłogę.

— Niech pan zauważy, że plama nie powstałaby, gdyby nie zdjęto z pióra nasadki.

— Może i tak. Ale cóż w tym takiego nadzwyczajnego?

— To się okaże. Muszę tam wrócić i obejrzeć wszystko raz jeszcze.

Skreśli w bramę przy stróżówce. W kilka minut później znaleźli się znowu w domu ku zaciekawieniu służby. Sir Charles wymyślił na poczekaniu jakiś pretekst: wrócił po wieczny ołówek, który rzekomo zostawił w pokoju kamerdynera.

— Uff! — odetchnął, gdy jakimś cudem udało mu się pozbyć usłużnej pani Leckie i zamknął za sobą drzwi.

— A teraz, jedno z dwojga: albo wystawię się na pośmiewisko, albo okaże się, że moja myśl nie jest pozbawiona pewnej logiki.

Pan Satterthwaite rozstrzygnął już te kwestie w głębi duszy, był jednak zbyt dobrze wychowany, by głośno wyrazić swe przekonanie. Przysiadł na łóżku i przyglądał się, co robi sir Charles.

— Proszę, tu jest nasza plama — powiedział Cartwright wskazując nogą. — Tuż przy listwie. Biurko znajduje się w drugim końcu pokoju. W jakich okolicznościach upuszcza się pióro w takim miejscu?

— Może się to zdarzyć gdziekolwiek — rzekł Satterthwaite.

— Zakładając, że się nim rzuca. Nie jest to jednak zwykły sposób obchodzenia się z tym przedmiotem. Chociaż kto wie? Wieczne pióra mają to do siebie, że potrafią robić cholerne niespodzianki w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Na przykład człowiek pisze, a tu nagle kończy się atrament. Mogło się to przydarzyć Ellisowi. Stracił cierpliwość, krzyknął: „Do diabła z takim piórem!” i cisnął nim przed siebie.

— Weźmy inne wyjaśnienie — wtrącił Satterthwaite.

— Położył pióro na parapecie kominka, a ono ześlizgnęło się na podłogę.

Sir Charles wykonał eksperyment z ołówkiem. Umieścił go na skraju parapetu tak, że spadł on na ziemię. Potoczył się i zatrzymał w odległości co najmniej stopy od plamy z atramentu, obracając się w stronę gazowego kominka.

— I co dalej? — spytał Satterthwaite.

— Zobaczmy — odparł sir Charles.

Pan Satterthwaite ze swego miejsca na łóżku oglądał teraz niezwykle zabawną scenę.

Cartwright szedł w stronę kominka i próbował po drodze upuścić ołówek. Usiadł na skraju łóżka, pisał, po czym ołówek wylatywał mu z ręki. By trafił on w miejsce przy listwie, trzeba było stać lub siedzieć przyciskając się do ściany w zupełnie nieprawdopodobnej pozycji.

— Nie, to niemożliwe — rzekł aktor. Oglądał ścianę, zaplamione miejsce i mały gazowy palnik.

— Gdyby palił papiery... — zastanawiał się głośno. — Tylko że w gazowym kominku nie pali się papierów...

Raptem wstrzymał oddech.

W chwilę później Satterthwaite był świadkiem aktorskich wyczynów sir Charlesa Cartwrighta.

Przeobraził się w kamerdynera Ellisa. Usiadł przy biurku i pisał. Był spłoszony, od czasu do czasu unosił wzrok i zerkał czujnie na boki. Nagle jakby coś usłyszał — Satterthwaite mógł się domyślić, co to było — kroki w korytarzu. Ten człowiek miał nieczyste sumienie. Na odgłos kroków zerwał się z miejsca, w jednej ręce trzymał arkusz papieru, w drugiej pióro. Popędził do kominka, baczny, nasłuchujący, wystraszony, z głową na pół odwróconą w stronę drzwi. Próbował wepchnąć papiery pod gazowy palnik. Musiał posłużyć się oboma rękami, odrzucił niecierpliwym gestem pióro. Ołówek sir Charlesa, pióro w odegranej scenie, upadł dokładnie w miejscu plamy z atramentu.

— Bravo! — zawołał Satterthwaite mocno klaszcząc w ręce.

Przedstawienie było tak sugestywne, że poddał mu się w pełni: tak i tylko tak mógł zachować się Ellis.

— No i co? — sir Charles był znowu sobą, a w jego głosie brzmiała duma. — Facet usłyszał, że nadchodzi policja, w każdym razie zdawało mu się, że to policja, musiał więc ukryć to, co pisał. Gdzie? W szufladzie, pod materacem? Nonsens. Gdyby przeszukano pokój, z miejsca znaleziono by schowek. Nie miał czasu, żeby wyjąć listwę z podłogi. Jediną szansą była kryjówka za palnikiem.

— Nie pozostaje nam nic innego — stwierdził Satterthwaite — jak sprawdzić, czy rzeczywiście jest tam coś ukryte.

— Właśnie. Jeżeli alarm okazał się fałszywy, Ellis mógł po chwili opróżnić kryjówkę. Ano zobaczymy.

Sir Charles zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i rozpląszczył się na podłodze przykładając oko do szpary pod palnikiem.

— Coś tam widzę — zawołał. — Coś białego. Jak to stamtąd wydostać? Przydałaby się nam szpilka od damskiego kapelusza.

— Kobiety nie noszą już szpilek u kapeluszy — ze smutkiem stwierdził Satterthwaite. — Spróbujmy scyzorykiem.

Scyzoryk okazał się jednak bezużyteczny.

W końcu pan Satterthwaite udał się do Beatrice po drut do robótek. Służąca paliła się z ciekawości, ale nie ważyła się dopytywać.

Drut zdał egzamin. Sir Charles wyciągnął kilka pogniecionych arkuszy papieru listowego, zmiętych w pośpiechu i wsuniętych w kominek.

W wielkim podnieceniu obaj z Satterthwaite'em poczęli je wyprostowywać i wygładzać. Było to kilka próbek listu, pisanych drobnym, starannym, urzędniczym pismem.

„Autor niniejszego — zaczynała się pierwsza próbka — nie chciałby spowodować kłopotów. Mógł się też pomylić. Wydawało mu się jednak, że dostrzegł tego wieczoru...”

Piszący urwał w tym miejscu, wyraźnie niezadowolony, i rozpoczął od nowa:

„John Ellis, kamerdynier, składa uszanowanie i prosi o krótką rozmowę w sprawie dzisiejszej tragedii, nim uda się na policje, by przedstawić pewne informacje będące w jego posiadaniu...”

Wciąż nieusatisfakcjonowany, autor podjął kolejną próbę:

„John Ellis, kamerdyner, zna pewne fakty dotyczące śmierci doktora. Nie podał jeszcze tych faktów do wiadomości policji...”

Następnie trzecią osobę zastąpił pierwszą:

„Bardzo potrzebuję pieniędzy. Muszę mieć tysiąc funtów. Jest parę rzeczy, które mógłbym powiedzieć policji, ale chcę uniknąć kłopotów...”

Ostatni list był najbardziej otwarty.

„Wiem, jak umarł doktor. Nic nie powiedziałem policji — na razie. Proszę się ze mną spotkać...”

Ta próbka urywała się inaczej niż pozostałe. Po wyrazie „spotkać” pismo stało się nieczytelne, końcowe pięć wyrazów — zaplamione i zamazane atramentem. Prawdopodobnie wtedy właśnie przerwał Ellisowi pisanie jakiś niepokojący odgłos. Zgniół kartki i pobiegł z nimi do kryjówek.

Satterthwaite głęboko odetchnął.

— Gratuluje panu, Cartwright — powiedział. — Miał pan słuszne wyczucie! Dobra robota. A teraz podsumujmy.

Zastanowił się chwile.

— Ellis — podjął — to zwykły łotr. Tegośmy się zresztą spodziewali. Nie jest mordercą, ale zna sprawcę i zamierza, jego lub ją, szantażować...

— Jego czy ją? — przerwał sir Charles. — Szkoda, że nie wiemy. Żeby choć jeden z listów zaczynał się od „Drogi Panie” lub „Droga Pani”, mielibyśmy jasność. Ellis miał w sobie coś z artysty. Namozolił się nad kształtem swego listu. Gdyby tak dał nam jakąś wskazówkę co do adresata!

— Trudno — stwierdził Satterthwaite. — Jakoś sobie poradzimy. Mówił pan, że przyszlismy tu, by znaleźć dowód niewinności Ellisa. Mamy ten dowód. Listy dowodzą tego niezbicie. W każdym razie co do zabójstwa. W ogóle to skończony łajdak. Ale nie on zabił sir Bartholomeusza Strange’a. Zrobił to ktoś inny. Ktoś, kto również zamordował Babbingtona. Chyba teraz nawet policja musi przyjąć naszą wersję wydarzeń.

— Chce pan opowiedzieć wszystko policji? — W głosie sir Charlesa zabrzmiało niezadowolenie.

— Nie bardzo widzę inne wyjście. Jest pan przeciwnego zdania?

— Hm... — Cartwright usiadł na łóżku. Zmarszczył w zadumie brwi. — Jakby to powiedzieć? W chwili obecnej wiemy coś, czego nikt inny nie wie. Policja szuka Ellisa. Uważa, że on jest mordercą. Wszyscy znają wersje policji. Sprawca zatem czuje się bezpiecznie. On (lub ona) nie zaniecha środków ostrożności, ma jednak uczucie, hm, komfortu psychicznego. I my mielibyśmy zburzyć ten stan rzeczy! Kiedy w nim właśnie leży nasza szansa? Szansa znalezienia powiązania między Babbingtonem a jednym z naszych podejrzanych. Ci ludzie nie wiedzą, że ktoś skojarzył ze sobą oba wypadki. Nie będą niczego wietrzyć. Taka szansa trafia się raz na sto.

— Rozumiem, o co panu chodzi — pokiwał głową Satterthwaite. — I zgadzam się. To jest szansa. Mimo wszystko nie możemy z niej skorzystać. Naszym obywatelskim obowiązkiem jest natychmiast powiadomić policję. Nie mamy prawa nic tajić.

Sir Charles spojrzał na niego kpiąco.

— Jest pan wzorem cnót obywatelskich, Satterthwaite. Nie wątpię, że należy zachować się tak praworządnie, ale cóż, nie jestem ani w połowie tak dobrym obywatelem jak pan. Nie miałbym żadnych skrupułów, by zatrzymać dla siebie te informacje przez dzień lub dwa. Tylko dzień, dwa, Satterthwaite, co? Nie? Trudno, poddaje się. Dobrze, bądźmy filarami prawa i porządku.

— Widzi pan — tłumaczył Satterthwaite — Johnson jest moim znajomym. Zachował się wobec nas bardzo przyzwoicie, wprowadził nas w śledztwo, dał nam pełne informacje, zrobił wszystko, co mógł.

— Ależ tak. Ma pan racje, zupełną racje — westchnął sir Charles. — Ale w końcu, czy ktoś poza mną wpadł na pomysł ze schowkiem w kominku? Nawet im to nie zaświtało w tych zakutych policyjnych łbach... Ale niech już będzie. Jak pan myśli, Satterthwaite, gdzie jest teraz Ellis?

— Mniemam, że dostał to, o co mu chodziło. Zapłacono mu, by zniknął, i zniknął, bardzo zresztą skutecznie.

— Chyba tak — zgodził się sir Charles. — Taki nasuwa się wniosek.

Wstrząsnął nim lekki dreszcz.

— Nie podoba mi się ten pokój, Satterthwaite. Lepiej stąd chodźmy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PLAN DZIAŁANIA

Sir Charles i pan Satterthwaite wrócili do Londynu nazajutrz wieczorem.

Rozmowę z pułkownikiem Johnsonem należało przeprowadzić niezmiernie delikatnie. Nadinspektor Crossfield nie był zachwycony, że dwóch zwykłych „dżentelmenów” potrafiło znaleźć to, co uszło uwadze zarówno jego, jak i jego ludzi. Niełatwo mu było w tej sytuacji zachować twarz.

— Jestem pełen podziwu, gratuluje. Mnie samemu nie przyszło na myśl, żeby zajrzeć do kominka. Prawdę powiedziawszy, zachodzę w głowę, jak pan do tego doszedł.

Obaj panowie nie mieli ochoty bliżej opowiadać, jak to rozważania o plamie atramentu doprowadziły do odkrycia kryjówki. Sir Charles ujął to krótko i węzłowato:

— Po prostu mieliśmy nosa.

— W każdym razie pana intuicja okazała się słuszna — mówił nadinspektor. — Przyznam, że pańskie odkrycie nie jest dla mnie wielką niespodzianką. Sam rozum dyktuje, że jeśli Ellis nie jest mordercą, musiał mieć jakiś inny powód do ucieczki. W głębi duszy myślałem sobie przez cały czas, że w tej sprawie kryje się szantaż.

Odkrycie sir Charlesa miało jedną ważną konsekwencję. Pułkownik Johnson postanowił porozumieć się z policją w Loomouth. Śmierć Stephena Babbingtona niewątpliwie wymagała wszczęcia dochodzenia.

— A jeśli okaże się, że został otruty nikotyną, to nawet Crossfield przyzna, że obie śmierci są ze sobą powiązane — rzekł sir Charles już w drodze do Londynu.

Wciąż był trochę zły, że musiał podzielić się swym odkryciem z policją.

Satterthwaite próbował go ugłaskać przypominając, że jego informacje nie przedostaną się do wiadomości publicznej ani do gazet.

— Żadnych ostrzeżeń dla mordercy, policja nadal poszukiwać będzie Ellisa.

Sir Charles przyznał mu wreszcie racje.

W Londynie, mówił Cartwright, chciałby skontaktować się z Egg Lytton Gore. W liście podała adres na Belgrave Square. Spodziewał się, że jeszcze nie wyjechała.

Satterthwaite z powagą zaaprobował ten plan. Sam też chciał zobaczyć się z Egg. Ustalili, że sir Charles zadzwoni do niej zaraz po przyjeździe do miasta.

Egg rzeczywiście była w Londynie. Mieszkała wraz z matką u krewnych, wracały do Loomouth dopiero za tydzień. Bez trudu dała się namówić na kolację.

— Nie wypada jej chyba zapraszać do mnie — stwierdził sir Charles rozglądając się po swym luksusowym mieszkaniu. — Jej matka nie byłaby zadowolona. Oczywiście moglibyśmy mieć towarzystwo panny Milray, wolałbym jednak tego uniknąć. Prawdę mówiąc, trochę mnie ona krepuje. Jest tak rzutka, że cierpię przy niej na kompleks niższości.

Satterthwaite zaproponował swoje mieszkanie. W końcu ustalili, że pójdą do restauracji — do Berkeleya. Potem, jeśli Egg będzie miała ochotę, gdzieś się przeniosą.

Starszy pan zauważył od razu, że Egg zeszczupiała. Oczy miała podkrążone, rozgorączkowane, rozszerzone źrenice, wyraz twarzy bardziej zdecydowany. Była blada. Jej urok był jednak taki sam jak dawniej, ta sama dziecięca żywiołowość.

Powiedziała do sir Charlesa:

— Wiedziałam, że pan wróci...

Ton jej głosu mówił więcej: „Teraz już wszystko będzie dobrze...”

Satterthwaite powiedział sobie w duchu: „Wcale nie była pewna, że przyjedzie, wcale a wcale. Czekala jak na szpilkach. Zagryzała się na śmierć. Czy ten człowiek nic nie rozumie? Przecież aktorzy są na ogół dość próżni... Czyż nie zdaje sobie sprawy, że dziewczyna jest w nim zakochana po uszy?”

Co za przedziwna sytuacja! Sir Charles zakochany jak sztubak, dziewczyna odwzajemnia jego uczucia. A ogniwem pomiędzy nimi — ogniwem, którego kurczowo się chwytają, jest zbrodnia — podwójna odrażająca zbrodnia.

Podczas kolacji nie mówiono o sprawach istotnych. Sir Charles prawił o swoich wrażeniach z pobytu za granicą, Egg opowiadała o Loomouth, a Satterthwaite dbał o to, by rozmowa nie wygasła. Po kolacji przenieśli się do domu starszego pana.

Mieszkał on na Chelsea Embankment. Miał tam duży dom, prawdziwe muzeum: obrazy, rzeźby, chińska porcelana, prehistoryczna ceramika, wyroby z kości słoniowej, miniatury, oryginalne meble Chippendale i Heppelwhite. Promieniowało tu ciepłem i zaufaniem.

Egg Lytton Gore była ślepa i głucha na wszystko. Rzuciła tylko płaszcz na krzesło i powiedziała niecierpliwie:

— No, nareszcie. Proszę mi teraz wszystko opowiedzieć.

Słuchała z błyszczącymi oczami opowieści sir Charlesa o przygodach obu panów w Yorkshire. Wstrzymała oddech, kiedy doszedł do odkrycia listów szantażysty.

— Możemy tylko snuć domysły, co się stało polem — zakończył Cartwright. — Przypuszczalnie Ellisa opłacono, by trzymał język za zębami, i ułatwiono mu ucieczkę.

Egg potrząsnęła głową.

— Nie — powiedziała stanowczo. — Czy panowie nie rozumiecie? Ellis nie żyje.

Mężczyźni spojrzeli na nią ze zdumieniem, ale dziewczyna obstawała przy swoim.

— Nie żyje, to jasne. Dlatego zniknął w sposób tak doskonały, bez śladu. Za dużo wiedział i został zabity. Trzecia zbrodnia to zabójstwo Ellisa.

Mimo że ani sir Charles, ani pan Satterthwaite nie wzięli dotychczas pod uwagę takiej możliwości, musieli przyznać, że nie należy jej całkowicie odrzucać.

— Łatwo powiedzieć, droga Egg — oponował sir Charles — że Ellis nie żyje. Ale gdzie jest ciało? Potężny chłop, ważący swoje, coś z nim trzeba zrobić.

— Nie wiem, gdzie jest ciało — odparła Egg. — Może być w tysiącach miejsc.

— Niezupełnie — mruknął Satterthwaite. — Niezupełnie...

— W tysiącach miejsc — powtórzyła z uporem Egg. — Zaraz... — Urwała na chwilę. — Strychy, cała masa strychów, zupełnie opuszczonych. Jest na pewno w jakimś kufrze na strychu.

— Mało prawdopodobne — pokręcił głową sir Charles. — Chociaż, rzecz jasna, niewykluczone. To by odsunęło wykrycie ciała na... hm... na jakiś czas.

Egg nie unikała rzeczy nieprzyjemnych, to nie było w jej stylu. Natychmiast podjęła myśl sir Charlesa.

— Woń idzie w górę, nie w dół. Ciało rozkładające się w piwnicy znacznie szybciej zwróci uwagę niż trup na strychu. Zresztą i tak ludzie długo jeszcze będą myśleć, że to zdechły szczur.

— W każdym razie pani teoria wskazywałaby, że sprawcą jest mężczyzna. Kobieta nie byłaby w stanie przeciągnąć trupa. Nawet mężczyzna nieźle by się namozolił.

— Są jeszcze inne możliwości. W domu jest tajne przejście. Opowiadała mi o nim Angela Sutcliffe, a sir Bartholomew obiecał, że mi je pokaże. Morderca mógł dać Ellisowi pieniądze i wskazać drogę. Poszedł z nim razem i tam go zabił. Taką rzecz mogła zrobić kobieta: na przykład uderzyć go od tyłu, zostawić ciało i spokojnie wrócić. Nikt by o niczym nie wiedział.

Sir Charles mruknął z powątpiewaniem, lecz już nie podważał teorii Egg.

Pan Satterthwaite był teraz pewien, że podobne podejrzenia on sam powziął przez moment w pokoju Ellisa, kiedy znaleźli listy. Pamiętał dobrze, jak sir Charles zadrżał na całym ciele. Przyszło mu wtedy do głowy, że Ellis być może nie żyje.

„Jeżeli Ellis zginął — myślał — mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym typem. Wyjątkowo groźnym...” I przeszedł go zimny dreszcz.

Człowiek, który zabił trzy razy, nie zawaha się zabić po raz czwarty...

Znajdowali się w niebezpieczeństwie, tak jak tu stali — sir Charles, Egg i on...

Gdyby dowiedzieli się za dużo...

Głos sir Charlesa wyrwał pana Satterthwaite'a z rozmyślań.

— Jednego w pani liście nie rozumiem, Egg. Pisała pani, że Oliverowi Mandersowi grozi niebezpieczeństwo, że policja go podejrzewa. Tymczasem nie mają cienia podejrzeń co do jego osoby, wiem o tym.

Satterthwaite miał wrażenie, że dziewczyna lekko się zmieszała. Chyba się nawet zaczerwieniła.

„Aha — pomyślał. — Ciekawe, jak pani z tego wybrnie, młoda damo?”

— To było głupie z mojej strony — powiedziała Egg. — Miałam zamęt w głowie. Wydawało mi się, że skoro Oliver pojawił się w tak dziwny sposób, pod wątpliwym pretekstem, na pewno znajdzie się z miejsca na liście podejrzanych.

Sir Charles łatwo przełknął to wyjaśnienie.

— Ach tak — powiedział. — Teraz rozumiem. Satterthwaite zwrócił się do Egg:

— A pretekst był fałszywy? Egg gwałtownie odwróciła się.

— O co panu chodzi?

— Dziwny to wypadek — odparł Satterthwaite. — Gdyby pretekst był fałszywy, pani mogłaby coś o tym wiedzieć.

Egg zaprzeczyła.

— Nic nie wiem. Nie myślałam o tym. Dlaczego Oliver miałby symulować wypadek?

— Znalazłaby się przyczyna — wtrącił sir Charles. — Zupełnie zresztą zrozumiała.

I uśmiechnął się. Egg zaczerwieniła się po białka oczu.

— Och nie! — zawołała. — Nie!

Sir Charles westchnął. Satterthwaite pomyślał, że Cartwright fałszywie odczytał rumieniec Egg. Kiedy aktor odezwał się ponownie, przybyło mu lat, posmutniał.

— Cóż... — powiedział — skoro nasz młody przyjaciel nie jest zagrożony, jaka jest moja rola?

Egg szybko podeszła do niego i złapała go za połą marynarki.

— Nie odjedzie pan znowu. Nie zrezygnuje pan. Odkryje pan prawdę. Prawdę. Wierzę, że tylko pan może to zrobić. Może pan. I robi.

Mówiła niezwykle żarliwie. Strumienie jej żywotności wypełniały po brzegi to wnętrze z innej epoki.

— Wierzy pani we mnie? — spytał sir Charles z wyraźnym wzruszeniem.

— Tak, tak, tak! Dojdziemy prawdy. My razem, pan i ja.

— I Satterthwaite.

— Oczywiście. I pan Satterthwaite — zgodziła się bez entuzjazmu.

Satterthwaite uśmiechnął się ukradkiem. Czy Egg chciała, czy nie, on nie zamierzał opuścić placu. Lubił zagadki, pasjonował się obserwacją ludzi i miał słabość do zakochanych. Była to zatem idealna sprawa dla człowieka z takimi upodobaniami.

Sir Charles usiadł. Zmienił ton głosu, przejął teraz ster, kierował przedsięwzięciem.

— Przede wszystkim musimy postawić sprawę jasno. Czy uważamy, że ten sam człowiek zabił Babbingtona i Strange'a?

— Tak — odparła Egg.

— Tak — zawtórował jej Satterthwaite.

— Czy uważamy, że drugie zabójstwo bezpośrednio wypływa z pierwszego? Inaczej: czy Bartholomewa Strange'a zabito, by nie mógł ujawnić faktów lub poszlak dotyczących poprzedniego morderstwa?

— Tak — zawołałi jednogłośnie Egg i Satterthwaite.

— W takim razie musimy zająć się pierwszą zbrodnią, nie drugą...

Egg przytaknęła.

— W moim pojęciu póki nie znajdziemy motywu pierwszego morderstwa, słabe są nadzieje, że uda nam się znaleźć zabójcę. Motyw jest w tym wypadku sprawą niezwykle trudną. Babbington był nieszkodliwym, łagodnym starszym panem i ze świecą szukać choćby jednego wrogiemu mu człowieka. Został jednak zabity, ktoś więc musiał mieć jakiś powód. Naszym zadaniem jest ten powód znaleźć.

Przerwał i podjął po chwili już swym zwykłym tonem:

— Zastanówmy się. Jakie mogą być motywy zabójstw. Po pierwsze, zysk.

— Zemsta — dodała Egg.

— Mania zabójcza — powiedział Satterthwaite. — Odłóżmy na bok *crime passionel*. Może być jeszcze strach.

Cartwright pokiwał głową. Gryzmołił coś na kartce.

— W tym to się mniej więcej zamyka — skwitował. — Rozważmy zysk. Czy ktoś mógł coś zyskać na śmierci Babbingtona? Czy miał on jakiś majątek? A może spodziewał się pieniędzy?

— Mało prawdopodobne — powiedziała Egg.

— Też tak myślę, musimy jednak zapytać panią Babbington.

— Dalej, zemsta. Czy Babbington kogoś skrzywdził? Na przykład w młodości? Czy nie posłubił kobiety, którą kochał inny mężczyzna? Trzeba to sprawdzić.

Przejdźmy do manii zabójczej. Przyjmując ten motyw, zarówno Babbington, jak i Tollie zginęliby z ręki maniaka. Taka koncepcja nie ma, moim zdaniem, rąk i nóg. Nawet maniak zachowuje pewną logikę zbrodni. Może czuć się powołany do zabijania lekarzy albo do zabijania duchownych, ale nie jednych i drugich. Możemy śmiało ten motyw wykreślić. Pozostaje strach.

Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jest to najbardziej prawdopodobna przyczyna. Babbington coś o kimś wiedział bądź kogoś rozpoznał. Zabito go, by tego czegoś nie ujawnił.

— Nie wyobrażam sobie, jaką groźną tajemnicę mógł znać taki człowiek jak pastor.

— A jeżeli — dodał sir Charles — Babbington sam nie wiedział, że ją zna?

I spróbował wyjaśnić swą myśl:

— Nie wiem, jak to wyrazić. Przypuśćmy (zaznaczam, że to tylko przykład), że Babbington spotkał jakąś osobę w pewnym miejscu i czasie. Wedle niego nie było to nic nadzwyczajnego. Idźmy jednak dalej: może ta osoba stworzyła sobie bardzo sprytny alibi, że akurat w tym czasie była zupełnie gdzie indziej, sto mil dalej. Stary pastor, w najbardziej niewinnych intencjach, mógł to alibi w każdej chwili obalić.

— Rozumiem — zawołała Egg. — Wyobraźmy sobie: ktoś popełnił morderstwo w Londynie, a Babbington widział tego człowieka na Paddington Station. Ów człowiek twierdził, że jest niewinny, miał alibi, że wtedy właśnie znajdował się w Leeds. Babbington mógł go z dnia na dzień zdemaskować.

— Dokładnie o to mi chodzi. Jeszcze raz powtarzam, że to tylko przykład. Mogło to być równie dobrze coś innego. Spotkał kogoś, kogo znał pod innym nazwiskiem...

— A gdyby tak chodziło o małżeństwo? — zastanawiała się Egg. — Pastor miał na co dzień do czynienia z zawieraniem małżeństw. Może to sprawa bigamii?

— Albo narodzin czy śmierci? — zasugerował Satterthwaite.

— Tak, jest tysiąc i jedna możliwość — stwierdziła posepnie Egg. — Trzeba się zabrać do tego od innej strony. Zacząć od ludzi, którzy tam byli. Zróbmy listę osób. Kto był u sir Charlesa i kto był u sir Bartholomeusza?

Wzięła kartkę i ołówek od Cartwrighta.

— Dacresowie byli na obu przyjęciach. Ta kobieta przypominająca zwiędłą sałatę, jak jej tam, Wills. Dalej Angela Sutcliffe.

— Angełę możemy wyłączyć — wtrącił sir Charles. — Znam ją od lat.

Egg przekornie zmarszczyła brwi.

— Nie wolno nam robić takich rzeczy — powiedziała. — Wylaczać ludzi tylko dlatego, że ich znamy. Musimy być rzeczowi. Zresztą, ja nie znam Angeli Sutcliffe. Równie dobrze może to być ona jak każdy inny, a moim zdaniem, ona ma nawet większe szanse. Aktorki zawsze mają bogatą przeszłość. Tak, ona budzi najwięcej podejrzeń.

I wyzywająco spojrzała na sir Charlesa. Ten nie pozostał jej dłużny.

— W takim razie nie zapominajmy o Oliverze Mandersie.

— Jakim cudem mógłby to być Oliver? Tysiące razy przedtem spotykał Babbingtona.

— Był na obu przyjęciach, a jego pojawienie się na drugim jest cokolwiek... hm... niejasne.

— Doskonale — stwierdziła Egg. A po chwili dodała:

— W takim razie umieszczam na liście matkę i siebie. Mamy sześciu podejrzanych.

— Nie wydaje mi się...

— Będziemy to robić porządnie albo wcale — powiedziała Egg z błyskiem w oku.

Satterthwaite dla rozładowania sytuacji zaproponował coś do picia. Zadzwoił na służbę.

Sir Charles wycofał się w drugi kąt pokoju, gdzie oglądał murzyńską rzeźbę głowy. Egg podeszła do pana Satterthwaite'a i wsunęła mu rękę pod ramię.

— Głupio mi, że się uniosłam — szepnęła. — Wiem, jestem niemądra. Ale dlaczego ją akurat miałibyśmy wyłączyć? Dlaczego mu tak na tym zależy?! Och, Boże, czemu jestem tak ohydnie zazdrosna?

Starszy pan uśmiechnął się i pogładził ją po rękę.

— Zazdrość nie popłaca, drogie dziecko. Nie wolno jej okazywać. Niech mi pani powie, czy naprawdę pani myślała, że Manders mógłby być podejrzany?

Egg uśmiechnęła się, był to pogodny, dziecięcy uśmiech.

— Skądże. Napisałam tak, żeby go nie wystraszyć. — Odwróciła głowę. Sir Charles z posępną miną dalej przyglądał się rzeźbie. — Widzi pan, nie chciałam, żeby myślał, że się kocham w Oliverze, bo tak nie jest. Boże, jakie to wszystko trudne! I znowu przyjął swoją dawną postawę, której tak nie cierpię: „Niech was Bóg pobłogosławi, moje dzieci”.

— Cierpliwości, drogie dziecko — uspokajał ją Satterthwaite. — Zobacz pani, wszystko będzie dobrze.

— Nie jestem cierpliwa — odparła Egg. — Chce mieć wszystko od razu, albo i jeszcze szybciej.

Satterthwaite roześmiał się, a sir Charles odwrócił się wreszcie i dołączył do nich.

Sącząc drinki ułożyli plan działania. Sir Charles miał pojechać do „Kruczego Gniazda”, na które jeszcze nie znalazł się kupiec. Egg z matką również wracały do domu, do „Rose Cottage”, i to nieco wcześniej niż zaplanowały. Pani Babbington nadal mieszkała w Loomouth. Należało wydobyć z niej wszelkie możliwe informacje i zależnie od nich działać dalej.

— Uda nam się — mówiła Egg. — Wiem, że się nam uda.

Pochyliła się w stronę sir Charlesa, z pałającymi oczami. Wyciągnęła rękę z kieliszkiem i trąciła się z nim.

— Proszę wypić za nasze powodzenie — rozkazała. Powoli, bardzo powoli, nie spuszczając z niej wzroku, podniósł w górę swój kieliszek.

— Za powodzenie — powiedział. — I za przyszłość...

AKT TRZECI
ODKRYCIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PANI BABBINGTON

Pani Babbington przeprowadziła się do małego rybackiego domku w pobliżu portu. Oczekiwała siostry, która miała wrócić z Japonii za pół roku. Do czasu jej przybycia nie chciała robić żadnych planów na przyszłość. Szczęśliwym trafem znalazła wolny domek i wynajęła go na sześć miesięcy. Była zbyt zagubiona po nagłej stracie męża, by opuścić Loomouth. Stephen Babbington kierował parafią St Petroch w Loomouth przez siedemnaście lat. Było to dla pastorkowej siedemnaście spokojnych, szczęśliwych lat, mimo bolesnego wydarzenia — śmierci jednego z synów, Robina. Z pozostałych dzieci Edward przebywał na Cejlonie, Lloyd — w Południowej Afryce, a Stephen był trzecim oficerem na statku „Angolia”. Pisali do matki często i czule, żaden z nich nie mógł jednak stworzyć jej domu ani dotrzymać towarzystwa.

Margaret Babbington była bardzo samotna...

Nie zostawiała sobie jednak wiele czasu na rozmyślanie. Nadal miała pełno zajęcia w parafii (nowy witały był niezonaty), spędzała też wiele godzin na pracy w przydomowym ogródku. Należała do kobiet, której kwiaty wypełniają życie.

Równego popołudnia, kiedy krzątała się w ogródku, skrzypnięcie furtki i ujrzała sir Charlesa Cartwrighta oraz Egg Lytton Gore.

Widok Egg nie zdziwił Margaret Babbington. Wiedziała, że dziewczyna wkrótce wraca z Londynu. Zaskoczona była natomiast pojawieniem się sir Charlesa. Krążyły wieści, że na zawsze opuścił te strony. Czytywało się wzmianki w lokalnej prasie, cytowane za innymi gazetami, o jego poczynaniach w południowej Francji. W ogrodzie „Kruczego Gniazda” widniała tabliczka z napisem: „Na sprzedaż”. Nikt nie spodziewał się, że sir Charles wróci. A jednak wrócił.

Pani Babbington odsunęła ze spoconego czoła zlepione kosmyki włosów i z poczuciem winy popatrzyła na swe uwalane ziemią ręce.

— Przepraszam, ale nie mogę się przywitać — powiedziała. — Stale sobie powtarzam, że powinnam pracować w rękawiczkach. Czasami nawet próbuję. Zawsze je w końcu jednak odkładam. Bez rękawiczek ma się lepsze czucie w palcach.

Poprowadziła gości do domu. Mały salonik, wybity tkaniną, sprawiał przytulne wrażenie. Wszędzie fotografie i wazony z chryzantemami.

— Pana wizyta to wielka niespodzianka, sir Charles. Myślałam, że rozstał się pan na zawsze z „Kruczym Gniazdem”.

— Taki miałem zamiar — odparł szczerze Cartwright. — Ale cóż, czasem nasze przeznaczenie jest silniejsze od zamiarów.

Pani Babbington nie odpowiedziała. Spojrzała na Egg. Dziewczyna uprzedziła jej słowa.

— Nie przyszliśmy ze zwykłą wizytą. Mamy pani coś bardzo ważnego do powiedzenia. Tylko, widzi pani, ja... za nic w świecie nie chciałabym sprawić pani przykrości.

Pastorkowa wodziła wzrokiem od Egg do sir Charlesa. Twarz jej się ściągnęła i poszarzała.

— Pani Babbington — rzekł sir Charles — czy miała pani jakiś odzew z Home Office?

Spuściła głowę.

— Rozumiem — mówił dalej Cartwright. — W takim razie będzie nam łatwiej przystąpić do rzeczy.

— Czy chodzi panu o ten... nakaz ekshumacji?

— Tak. Wyobrażam sobie, że to jest... że to musi być... bardzo dla pani bolesne.

Wzruszyła się słysząc w jego głosie współczucie.

— Nie jest dla mnie takim wstrząsem, jak pan sądzi. Dla wielu ludzi ekshumacja jest czymś okropnym, dla mnie nie. Ja uważam, że doczesne szczątki się nie liczą. Mój ukochany

mąż przebywa już w innym świecie, w spokoju, nikt nie może zakłócić jego spoczynku. Wiec nie o to chodzi. Sama myśl jest straszna, ta okropna myśl, że Stephen nie umarł śmiercią naturalną. Wydaje się to niemożliwe, zupełnie absurdalne.

— Całkiem zrozumiała są pani wątpliwości. Mnie, nam też tak się wydawało. Z początku.

— Z początku?

— Zrodziło się we mnie podejrzenie już w dniu śmierci. Podobnie jak pani uznałem je za nedorzeczne i odrzuciłem.

— I ja miałam podejrzenia — dodała Egg.

— Ty też? — Pani Babbington spojrzała na nią ze zdumieniem. — Uważałaś, że ktoś mógł go zabić, Stephena?

W jej głosie było tak wielkie niedowierzanie, że zarówno Egg jak i sir Charles nie wiedzieli, co począć dalej.

Wreszcie sir Charles zabrał głos.

— Jak pani wie, wyjechałem za granicę. Będąc na południu Francji przeczytałem w gazecie o śmierci mojego przyjaciela, Bartholomewa Strange'a. Okoliczności śmierci były niemal identyczne. Dostałem też list od panny Lytton Gore. Egg przytaknęła.

— Byłam tam, byłam wtedy u niego w domu. Pani Babbington, to się odbyło dokładnie tak samo, identycznie. Łyknął porto, zmienił się na twarzy i... wie pani, co było dalej. Zmarł w kilka minut.

Pastorowa wolno pokręciła głową.

— Nie mogę tego pojąć. Stephen! Sir Bartholomew, taki miły, dobry lekarz! Kto mógłby pragnąć ich śmierci? To jakaś pomyłka.

— Sir Bartholomew został otruty, są na to dowody — powiedział sir Charles.

— W takim razie to dzieło maniaka. Cartwright podjął.

— Niech pani posłucha. Chce sięgnąć do samego źródła. Znaleźć prawdę. I wiem, że nie ma czasu do stracenia. Kiedy rozejdzie się wieść o ekshumacji, morderca się wystraszy. Zakładam więc, by zyskać na czasie, jaki będzie jej wynik. Przyjmuję, że pan Babbington również zmarł na skutek otrucia nikotyną. A zatem: czy pani lub mąż wiedzieliście coś o zastosowaniu czystej nikotyny?

— Stosuję jej roztwór do opryskiwania róż. Nie przypuszczałam, że to trucizna.

— Podejrzewam (wczoraj wieczorem czytałem na ten temat), że w obu wypadkach użyto czystego alkaloidu. Otrucie nikotyną zdarza się niezmiernie rzadko.

— Nic nie wiem o zatruciu nikotyną — rzekła pastorowa niepewnie. — Wyobrażam sobie, że przydarza się nałogowym palaczom.

— A mąż palił?

— Tak.

— Pani Babbington, wyraziła pani wielkie zdziwienie, że ktoś mógłby pragnąć śmierci męża. Czy to znaczy, że nie miał żadnych wrogów?

— Jestem pewna, że Stephen nie miał nieprzyjaciół. Wszyscy go lubili. Czasami niektórzy go trochę popędzali — uśmiechnęła się smutno. — Wie pan, starzał się, bał się zmian. Ale kto by go nie lubił? Jego nie można było nie lubić.

— Przypuszczam, że małżonek nie zostawił zbyt dużego majątku?

— Nie. Prawie nic. Stephen nie umiał oszczędzać. Zbyt dużo rozdawał. Nieraz besztalam go za to.

— A nie spodziewał się pieniędzy? Jako spadkobierca?

— Och, nie. Nie miał wielu krewnych. Jego siostra wyszła za pastora, mieszkają w Northumberland, ale kiepsko im się powodzi. Wujowie i ciotki już nie żyją.

— A zatem nie ma nikogo, kto ciągnąłby zyski ze śmierci męża?

— Nie, na pewno.

— Wróćmy na chwilę do sprawy wrogów. Pastor nie miał wrogów, jak sama pani powiedziała. Jednak mógł ich mieć w młodości.

Pani Babbington spojrzała z powątpiewaniem.

— To mało prawdopodobne. Stephen był zawsze łagodnego usposobienia. Miał dobre stosunki z ludźmi.

— Nie chciałbym doszukiwać się melodramatu... — Tu sir Charles zakaszłał nerwowo. — Ale, czy... hm... czy nie było przypadkiem jakiegoś zawiedzionego konkurenta?

W oczach pani Babbington pojawił się na chwilę błysk.

— Stephen pracował jako wikary u mojego ojca. Był pierwszym młodym mężczyzną, jakiego spotkałam, gdy wróciłam do domu z internatu. Zakochałam się w nim, a on we mnie. Byliśmy zaręczeni przez cztery lata, potem przydzielono mu parafie w Kencie i mogliśmy się pobrać. Nasza historia jest bardzo prosta i bardzo szczęśliwa, sir Charles.

Cartwright, poruszony godnością i prostotą pani Babbington, opuścił głowę. Z kolei odezwała się Egg.

— Mam pytanie, czy pan Babbington znał wcześniej kogoś z gości?

Pastorowa zastanowiła się.

— Oczywiście siebie i swoją matkę. No i Olivera Mandersa.

— Tak, tak, ale mnie chodzi o innych.

— Widzieliśmy Angelę Sutcliffe na przedstawieniu w Londynie pięć lat temu. Spotkaliśmy się z nią — to było wielkie przeżycie.

— I pierwsze z nią spotkanie?

— Tak. Nie trafiła się nam nigdy okazja poznania aktorki czy aktora, dopóki nie przyjechał tu sir Charles. Ten fakt — dodała po chwili — był dla nas wydarzeniem. Wspaniałym wydarzeniem. Sir Charles nawet nie wie, co to dla nas znaczyło. Romantyczny powiew w naszym szarym życiu.

— A państwo Dacresowie? Mąż nie znał ich wcześniej?

— Mówisz o tym niewysokim mężczyźnie i tej cudownie ubranej damie?

— Właśnie.

— Widzieliśmy ich po raz pierwszy. I te drugą kobietę, te pisarkę. Biedactwo, wyraźnie czuła się obco.

— Na pewno nikogo z nich państwo przedtem nie spotkali?

— Z całą pewnością, ani ja, ani Stephen. Chodziliśmy wszędzie razem.

— I pan Babbington nie napomknął nawet słówkiem — nalegała Egg — o żadnej z tych osób, czy to przed przyjęciem, czy to w czasie kolacji?

— Przed przyjęciem nic mi nie powiedział, tyle tylko, że się cieszy na interesujący wieczór. A potem... cóż, nie było zbyt wiele czasu... — urwała i skrzywiła się boleśnie.

Sir Charles szybko przejął pałeczkę.

— Doprawdy przykro nam, że panią zadręczamy. Ale, widzi pani, mamy przeświadczenie, że coś kryje się w tej sprawie, trzeba tylko wpaść na trop. Musi istnieć jakaś przyczyna tej pozornie bezsensownej, okrutnej zbrodni.

— Rozumiem — szepnęła pastorowa. — Jeśli to morderstwo, musi być motyw... Ale zupełnie nie wiem, nie wyobrażam sobie, jaki.

Zapanowało milczenie. Po chwili znowu przemówił Cartwright.

— Czy mogłaby mi pani przedstawić w kilku słowach karierę małżonka?

Pani Babbington miała dobrą pamięć do dat. Oto, co zanotował sir Charles:

„Stephen Babbington, urodzony w Islington, Devon, 1868. Studiuje w St Paul's School i Oxfordzie. Pełni obowiązki diakona w Hoxton, 1891. Świecenia kapłańskie — 1892. Pracuje jako wikary w Eslington, Surrey, przy Wiel. Vernonie Lorrimerze, 1894–1899. Poślubia Margaret Lorrimer — 1899. Obejmuje parafię Gilling, Kent. Przeniesiony do parafii St Petroch, Loomouth, 1916”.

Jest się na czym oprzeć — stwierdził sir Charles. Najwięcej nadziei budzi okres, kiedy pan Babbington pracował w parafii St Mary w Gilling. Wcześniejsze lata są zbyt odległe, by mogły dotyczyć moich gości. Pani Babbington zadrżała.

— Naprawdę myśli pan, że ktoś z nich...?

— Nie wiem, co mam myśleć. Bartholomew zobaczył coś lub coś podejrzewał i zmarł identyczną jak pani małżonek śmiercią, a pięć...

— Siedem — poprawiła Egg.

— Tak, siedem osób było na obu przyjęciach. Jedna z nich jest winna.

— Ale dlaczego? — krzyknęła pani Babbington. — Dlaczego?! Z jakiego powodu ktoś chciał zabić Stephena?

— Na to właśnie pytanie — odparł sir Charles — zamierzamy znaleźć odpowiedź.

ROZDZIAŁ DRUGI

LADY MARY

Pan Satterthwaite przyjechał wraz z sir Charlesem do „Kruczego Gniazda”. Kiedy Cartwright i Egg rozmawiali z panią Babbington, Satterthwaite był na herbatce u lady Mary.

Lady Mary lubiła pana Satterthwaite’a. Przy całej swej delikatności należała do kobiet, które zdecydowanie wiedzą, czy kogoś lubią, czy nie.

Satterthwaite popijał chińską herbatę z dreźnieńskiej filizanki, pogryzał tartinki i gawędził. W czasie poprzedniej wizyty zgadali się o wielu wspólnych znajomych. Ich dzisiejsza rozmowa, rozpoczęta kwestiami towarzyskimi, skręcała powoli na bardziej osobiste tory. Satterthwaite był wrażliwym słuchaczem, potrafił wczuć się w opowieść o cudzych kłopotach, nie wtrącając się z własnymi sprawami. Jeszcze w czasie ich pierwszego spotkania lady Mary spontanicznie i naturalnie zwierzyła mu się ze swej troski o przyszłość córki. Teraz rozmawiała z nim jak ze starym przyjacielem.

— Egg jest taka samowolna. I wszystko robi całą duszą i sercem. Wie pan, nie podoba mi się jej zaangażowanie w całą tę potworną historię. Egg by mnie wyśmiała, ale to po prostu nie przystoi panience z dobrego domu.

Zarumieniała się. Jej piwne oczy, łagodne i szczerze, patrzyły na Satterthwaite’a z dziecięcym oczekiwaniem.

— Rozumiem panią — odparł. — Przyznam, że i ja nie jestem tym zachwycony. Wiem, to staroświeckie przesady, ale nic na to nie poradzę. Cóż, droga pani — mrugnął do niej porozumiewawczo — nie możemy wymagać, by dzisiejsze światłe młode damy siedziały w domu z robótką i drżały na myśl o bestialskiej zbrodni.

— Morderstwo! Niepodobna! Kto by pomyślał, że będę zamieszana w tego rodzaju sprawę. To było okropne! — Zadrzała na całym ciele. — Biedny sir Bartholomew.

— Znała go pani dobrze? — zaryzykował pytanie Satterthwaite.

— Spotkaliśmy się bodaj dwa razy. Pierwszy raz rok temu. Przyjechał wtedy do sir Charlesa na weekend. A drugi raz w ten straszny wieczór, kiedy zmarł nasz drogi Babbington. Byłam naprawdę zdziwiona, gdy otrzymałam zaproszenie na przyjęcie. Przyjęłam je, by sprawić radość Egg. Biedna mała, nie ma zbyt wielu rozrywek. Poza tym coś ją chyba ostatnio trapiło, jakby nie mogła się niczym zająć. Pomyślałam sobie, że trochę się rozerwie w towarzystwie, w wielkim świecie.

Satterthwaite spojrział na nią ze zrozumieniem.

— Nich mi pani powie coś o Oliverze Mandersie — poprosił. — Interesuje mnie ten młody człowiek.

— To na pewno bystry młodzieniec — odparła lady Mary. — Oczywiście nie było mu łatwo...

Znowu się zarumieniała. Po chwili, widząc pytające spojrzenie starszego pana, wyjaśniła:

— Widzi pan, jego rodzice nie mieli ślubu...

— Naprawdę? Nie wiedziałem.

— Tutaj wszyscy o tym wiedzą, inaczej nigdy bym tego nie wspomniała. Stara pani Manders, babka Olivera, mieszka w Dunboyne, w takim wielkim domu przy szosie do Plymouth. Jej mąż był tutaj adwokatem. Syn założył w Londynie jakąś firmę, interesy kwitły, stał się człowiekiem majątnym. Z kolei córka, bardzo ładna, zakochała się bez pamięci w żonatym mężczyźnie. W moich oczach godny jest on najwyższego potępienia. Koniec końców, po wielkim skandalu, wyjechali razem. Żona nie chciała mu dać rozwodu. Dziewczyna zmarła wkrótce po urodzeniu Olivera. Dzieckiem zajął się wuj w Londynie. On i jego żona byli bezdzietni. Chłopiec dzielił życie między nich i babkę. Przyjeżdżał tutaj na każde wakacje. Po chwili dodała:

— Zawsze mi go było żal. Nawet teraz. Jestem przekonana, że ten jego zarozumiały sposób bycia to w dużej mierze poza.

— Nic w tym dziwnego — rzekł Satterthwaite. — To zjawisko powszechne. Zawsze, kiedy spotykam kogoś, kto wynosi się nad innych, wiem, że mam do czynienia z człowiekiem z kompleksem niższości.

— Bardzo dziwne.

— Kompleks niższości to szczególna sprawa. Crippen, na przykład, sławny przestępca, na pewno był jego ofiarą. Ten kompleks leży u podłoża wielu zbrodni. Pragnienie potwierdzenia własnej osobowości.

— Nie rozumiem tego — szepnęła lady Mary.

Zadrzała. Satterthwaite spojrział na nią niemal z czułością. Podobała mu się jej dystygowana postać, pochyła linia ramion, miękki brąz oczu, twarz bez cienia makijażu. Pomyślał: „Musiała być naprawdę piękna za młodu...”

Nie dumna piękność róży, lecz skromna, pełna czaru uroda fiołka, o ukrytej słodyczy.

Wspominał własną młodość.

Zaczął nagle opowiadać lady Mary o swojej historii miłosnej, jedynej zresztą w życiu. Według dzisiejszych kryteriów była to zapewne bardzo nieciekawa historia, lecz droga sercu starszego pana.

Opowiadał o Dziewczynie, o tym, jaka była piękna i jak poszli razem oglądać dzwoneczki w Kew. W tym dniu zamierzał poprosić ją o rękę. Wyobrażał sobie (tak to odczuwał), że Dziewczyna odwzajemnia jego miłość. I nagle, gdy stali podziwiając dzwoneczki, zwierzyła mu się... Okazało się, że kocha innego. Zdusił więc uczucia wypełniające mu serce i pogodził się z rolą wiernego przyjaciela.

Nie była to może wielka historia miłosna, brzmiała jednak dobrze w atmosferze salonu lady Mary, wśród wyblakłych tkanin i cienkiej porcelany.

Potem lady Mary zaczęła mówić o sobie, o swym niezbyt szczęśliwym pożyciu małżeńskim.

— Byłam taką głupią gąską, dziewczęta są niemądre, niech mi pan wierzy. Tak pewne siebie, przekonane, że wiedzą wszystko najlepiej. Dużo się mówi i pisze o kobiecym instynkcie. Nie sądzę, że coś takiego istnieje. Żaden instynkt nie chroni dziewcząt przed pewnym typem mężczyzny. Po prostu go nie mają. Rodzice, tak, przestrzegają je, zawsze nadaremnie, one nie wierzą. To straszne, ale wydaje mi się, że jak magnes lgną do mężczyzn, którzy mają złą reputację. Wydaje im się, że miłość zmieni ich wybrańców.

Satterthwaite zadumał się.

— Człowiek wie tak mało. Kiedy wie więcej, jest już za późno.

Lady Mary westchnęła.

— To była moja wina. Rodzice nie chcieli, żebym poślubiła Ronalda. Pochodził z dobrego domu, nie cieszył się jednak najlepszą opinią. Ojciec powiedział mi wprost, że to krętacz. Nie wierzyłam. Sądziłam, że pod moim wpływem rozpocznie nowe życie. Zatopiła się we wspomnieniach.

— Ronald był fascynującym mężczyzną. Ale ojciec miał całkowitą rację. Wkrótce się o tym przekonałam. Powiedziałabym, choć brzmi to może staroświecko, że Ronald złamał mi serce. Tak, taka jest prawda. Stale drżałam, obawiając się tego, co może jeszcze nastąpić.

Pan Satterthwaite, wielki miłośnik rozmów o cudzych problemach, szepnął coś ze współczuciem.

— Powiem panu rzecz przerażającą. Poczułam ulgę, kiedy mąż zmarł na zapalenie płuc. Nie, żeby mi na nim nie zależało, kochałam go do końca, ale straciłam wszelkie złudzenia. Poza tym, była Egg...

Mówiła teraz miękkiem głosem.

— Taka zabawna klusieczka. Próbowwała wstawać i upadała, zupełnie jak jajko. Stąd to śmieszne przezwisko...

Znowu zamilkła na moment.

— W ostatnich latach czytałam sporo książek, które były dla mnie wielką pociechą. Z dziedziny psychologii. Zrozumiałam, że często ludzie nie potrafią sami sobie pomóc. Jakby mieli jakąś skazę charakteru. Zdarza się to nawet w najlepszych rodzinach. Ronald na przykład kradł w szkole pieniądze, chociaż wcale mu nie były potrzebne. Teraz wiem, że to było silniejsze od niego... Urodził się z jakąś skazą.

I lady Mary wytarła delikatnie oczy maleńką chusteczką.

— Wychowano mnie w innym przekonaniu — dodała zawstydzona. — Że człowiek rozróżnia między dobrem a złem. Często jednak myślę, że jest inaczej.

— Umysł ludzki jest wielką zagadką — powiedział miękko Satterthwaite. — Jak na razie, błądzimy po omacku, by go zrozumieć. Pomijając ostre stany maniakalne, u pewnych ludzi występuje brak tego, co określiłbym siłą hamującą. Załóżmy, że pani lub ja mówimy: „Nienawidzę tej osoby. Chcę, żeby umarła”, natychmiast po wypowiedzeniu tych słów myśl ta wylatuje nam z głowy. Hamulce działają automatycznie. Zdarza się jednak, że myśl, czy obsesja, nurtuje człowieka uparcie. Odczuwa potrzebę natychmiastowego jej spełnienia.

— To za mądre dla mnie.

— Przepraszam. Użyłem nieco książkowego języka.

— Chodziło panu zapewne o to, że dzisiejsza młodzież ma zbyt wielką swobodę. Przyznani, że mnie to nieco trapi.

— Nie, nie, zupełnie co innego miałem na myśli. Mniejsze skrupowanie jest w moim przekonaniu zjawiskiem pozytywnym. Martwi się pani o... eee... o córkę.

— Proszę mówić o niej Egg — powiedziała z uśmiechem lady Mary.

— Dziękuję. Panna Egg to zabawna dziewczyna.

— Bardzo impulsywna. I kiedy coś sobie wbije do głowy, nikt jej tego nie wyperswaduje. Już panu mówiłam, jestem szalenie przeciwna jej mieszaniu się w tę sprawę, ale cóż, ona mnie wcale nie słucha.

Satterthwaite'a bawiło jej przerażenie. Pomyślał: „Ciekaw jestem, czy bodaj na chwilę przyszło jej do głowy, że owo mieszanie się jest ni mniej, ni więcej tylko nowym wariantem starej jak świat gry: łapaniem mężczyzny w kobiece sidła? Nie, już sama myśl byłaby dla niej nie do zniesienia”.

— Egg twierdzi, że pan Babbington również został otruty. Czy to prawda, panie Satterthwaite? Czy też to pochopny sąd mojej córki?

— Dowiemy się po ekshumacji.

— Wiec będzie ekshumacja? — zadrżała lady Mary. — To okropne. Biedna pani Babbington. Co za straszliwe przeżycie dla kobiety!

— Była pani w zażyłych stosunkach z Babbingtonami?

— O tak. Są to... byli to nasi bliscy przyjaciele.

— Czy ktoś mógł żywić jakąś urazę do pastora?

— Nie, naprawdę nie.

— Wspomniał kiedyś o jakimś wrogu?

— Nigdy.

— Byli zgodnym małżeństwem?

— Wzorowym. Doskonale dobrani, mieli udane dzieci. Prawda, że było im ciężko, poza tym pan Babbington cierpiał na reumatyzm. Ale to ich jedyne kłopoty.

— A Oliver Manders, w jakiej on był komitywie z pastorem?

— Nno... dobrej... — W głosie lady Mary zabrzmiało wahanie. — Tylko niezupełnie się zgadzali. Babbingtonowie litowali się nad Oliverem i w czasie wakacji zapraszali go często na plebanie do swoich chłopców. Z tego, co wiem, stosunki z nimi nie zawsze dobrze się

układały. Oliver nie był lubiany. Chęłpił się stale swoimi pieniędzmi, łakociami, które zabierał do szkoły, przyjemnościami w Londynie. Chłopcy są bezlitośni w takich sprawach.

— A później, kiedy dorósł?

— Nie widywał się zbyt często z mieszkańcami plebanii. Prawdę powiedziawszy, Oliver zachował się kiedyś niegrzecznie wobec pana Babbingtona, i to u mnie w domu. Ze dwa lata temu.

— Co się stało?

Zaatakował, w dość grubiańskiej formie, chrześcijaństwo. Pan Babbington był bardzo cierpliwy i grzeczny. To tylko rozjuszyło Olivera. Powiedział: „Wszyscy pobożnisie patrzą na mnie z góry, bo moi rodzice nie mieli ślubu. Na pewno po cichu nazywacie mnie dzieckiem grzechu. A ja podziwiam ludzi, którzy mają odwagę wyznawania własnych przekonań i nie dbają o to, co sobie myśli zgraja hipokrytów, z pastorami włącznie”. Pan Babbington nic na to nie odparł, ale Oliver nie zaprzestał: „Nie odpowiada pan, ale ja panu powiem, że to Kościół i przesady wpędziły świat w obecną ruinę. Chętnie zmiotłbym wszystkie kościoły z powierzchni ziemi”. Wtedy pan Babbington rzekł z uśmiechem: „Czy także duchownych?” Ten uśmiech zbił z tropu Olivera. Poczul, że nie traktuje się go poważnie. Powiedział: „Nienawidzę wszystkiego, za czym stoi Kościół. Samozadowolenie, zadufanie, hipokryzja. Obłudne plemię!” Pan Babbington znowu się uśmiechnął, a miał cudowny uśmiech, i powiedział: „Wiedz, drogi chłopcze, że nawet gdybyś nie zostawił ani jednego kościoła na ziemi, musiałbyś jeszcze zdać rachunek przed Bogiem”.

— I co na to Manders?

— Oniemiał, odzyskał panowanie nad sobą i przybrał na powrót swą szyderczą, znudzoną pozę. Powiedział: „Wiem, ojczec, że to, co mówiłem, nie grzeszy najlepszą formą. I że trudno to przełknąć ludziom pańskiej generacji”.

— Nie lubi pani młodego Mandersa?

— Lituje się nad nim — broniła się lady Mary.

— Nie chciałyby pani, żeby ożenił się z Egg?

— Och, nie!

— Ciekaw jestem, dlaczego.

— Bo... bo... nie jest dobry... i...

— I?

— Bo jest w nim gdzieś coś, czego nie rozumiem. Coś zimnego...

Satterthwaite spojrział na nią z namysłem. Zapytał:

— A co myślał o nim sir Bartholomew? Mówił coś pani?

— Powiedział kiedyś, że Manders jest interesującym okazem. Że przypomina mu przypadek jednego z pacjentów. Odparłam na to, że Oliver wygląda mi na silnego i zdrowego mężczyznę, a on: „Tak, zdrowie ma kwitnące, ale szuka własnej zguby”.

Zamilkła na moment i dodała:

— Sir Bartholomew był chyba niezwykle mądrym lekarzem.

— Cieszył się wysokim autorytetem wśród swych kolegów po fachu.

— Lubiałam go — stwierdziła lady Mary.

— Rozmawiał kiedyś z panią o śmierci Babbingtona?

— Nie, nigdy.

— Nawet słówkiem?

— Nie przypominam sobie.

— Wiem, nie znała go pani dobrze, trudno więc pani wyrokować. Ale czy nie sądzi pani, że nurtowała go jakaś myśl?

— Był w świetnym humorze, wręcz ubawiony, jakby chciał zrobić kawał. Powiedział mi w czasie tamtej kolacji, że szykuje niespodziankę. Och, zrobił nam ją, zrobił.

W drodze powrotnej do domu pan Satterthwaite rozważał na wszystkie strony ostatnią wypowiedź lady Mary.

Co za niespodziankę szykował gościom sir Bartholomew?

„Czy okazałaby się tak zabawna, jak się z pozoru zapowiadała?

Czy też pod maską dobrego humoru doktor ukrywał cichy uparty zamysł? I czy wyjdzie to kiedyś na jaw?

ROZDZIAŁ TRZECI

HERKULES POIROT WRACA NA SCENĘ

— No i co? — odezwał się sir Charles. — Czy posunęliśmy się dalej?

Trwała narada wojenna. Sir Charles, pan Satterthwaite i Egg Lytton Gore siedzieli w pokoju okrętowym. Na kominku buzował ogień, za oknem wiał wiatr.

Satterthwaite i Egg odpowiedzieli równocześnie.

— Nie — odparł Satterthwaite.

— Tak — rzekła Egg.

Cartwright wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Satterthwaite wskazał uprzejmie ręką na Egg, dając pierwszeństwo damie.

Egg przez chwile zbierała myśli.

— Posunęliśmy się do przodu — powiedziała wreszcie. — Posunęliśmy się, ponieważ niczego nie odkryliśmy. Brzmi to bez sensu, ale wcale tak nie jest. Zarysowały nam się pewne niesprecyzowane pomysły, teraz wiemy, że niektóre z nich okazały się niewypałem.

— Postęp przez eliminację — stwierdził sir Charles.

— Właśnie.

Satterthwaite chrząknął. Lubił ścisłość.

— Możemy już całkowicie odrzucić motyw zysku. Nie widać nikogo, kto mógłby, że posłużyć się zwrotem z powieści sensacyjnych, czerpać zyski ze śmierci Stephena Babbingtona. Również zemsta nie wchodzi w grę. Pomijając zgodne, niekonfliktowe usposobienie pastora, śmiem wątpić, czy był dostatecznie ważną osobistością, by mieć wrogów. Jesteśmy więc przy naszej ostatniej, niejasnej zresztą, hipotezie — strachu. Śmierć Babbingtona oznacza dla kogoś bezpieczeństwo.

— Dobrze pan to ujął — wtrąciła Egg.

Starszy pan, pochlebiony, skromnie spuścił oczy. Sir Charles wyglądał na lekko zaniepokojonego. Rola gwiazdy miała przypaść w udziale jemu, nie Satterthwaite'owi.

— Chodzi o to — mówiła dalej Egg — co teraz zrobimy, co naprawdę zrobimy, w pełnym znaczeniu tego słowa. Będziemy śledzić ludzi? Chodzić za nimi w przebraniu czy co?

— Moja droga — rzekł na to sir Charles. — Zawsze protestowałem przeciw odgrywaniu starszków z brodami, nie zamierzam teraz zaczynać od początku.

— W takim razie...? — zaczęła Egg.

Nie dokończyła. Drzwi się otwały i Temple zaanonsowała gościa:

— Pan Herkules Poirot.

Wszedł Poirot, szeroko uśmiechnięty, i powitał oniemiałą trojkę.

— Czy wolno mi — spytał mrugając — przysłuchać się tej naradzie? Nie mylę się chyba, to narada, nieprawdaż?

— Witamy, drogi *monsieur* Poirot, jest nam niezmiernie miło. — Sir Charles, który otrząsnął się ze zdumienia, gorąco uściskał dłoń detektywa i wskazał mu wielki fotel. — Skąd się pan wziął tak znienacka?

— Przyjechałem do Londynu i postanowiłem odwiedzić naszego przyjaciela Satterthwaite'a. Dowiedziałem się, że jest w Kornwalii. *Eh bien*, nietrudno mi było odgadnąć jego miejsce pobytu. Wsiadłem w pierwszy pociąg do Loomouth i oto jestem.

— A po co pan właściwie przyjechał? — spytała Egg i natychmiast zarumieniła się lekko, zawstydzona swą niezbyt grzeczną uwagą.

— Chodzi mi o to — dodała szybko — czy przyjechał pan z jakiegoś konkretnego powodu?

— Przybyłem tu, żeby przyznać się do błędu.

I Poirot z ujmującym uśmiechem zwrócił się do sir Charlesa wyciągając doń ręce w zupełnie nieangielski sposób.

— *Monsieur*, to było w tym właśnie pokoju. Pan wyraził swe nieusatisfakcjonowanie. A ja, ja sądziłem, że za tym stoi pana instynkt dramatyczny. Powiedziałem sobie: wielki aktor, za wszelką cenę pragnie dramatu. Przyznaje, wydawało mi się niemożliwe, by ten łagodny, leciwy dżentelmen nie zmarł śmiercią naturalną. Nawet teraz nie wyobrażam sobie, jak podano mu truciznę, i żaden motyw nie przychodzi mi do głowy. Wydaje mi się to absurdalne, zupełnie fantastyczne. A jednak, nastąpiła potem druga śmierć, w podobnych okolicznościach. Trudno tu mówić o przypadku. Obie śmierci muszą mieć jakiś związek. Tak więc, sir Charles, przyjechałem, by wyrazić skruchę, przyznać, że Herkules Poirot był w błędzie, i poprosić o dopuszczenie mnie do waszego grona.

Sir Charles nerwowo chrząknął. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— To niezwykle uprzejmie z pana strony, *monsieur* Poirot. Sam nie wiem... zabierać panu czas... Ja...

Zapłatał się. Poszukał wzrokiem pomocy u Satterthwaite'a.

— Doprawdy, jest pan bardzo miły... — zaczął Satterthwaite.

— Nie, nie, nic w tym miłego. Zwykła ciekawość i... tak, zraniona duma. Muszę naprawić błąd. Mój czas to głupstwo, w końcu, po co mam podróżować? Jezyki się zmieniają, ale natura ludzka jest wszędzie taka sama. Oczywiście, jeśli państwu przeszkadzam, jeśli jestem intruzem...

Obaj mężczyźni zawołali jednocześnie:

— Ależ skąd!

— Nie...

Poirot spojrzał na Egg.

— *Mademoiselle*?

Egg milczała i wszyscy trzej odnieśli identyczne wrażenie: Egg nie życzyła sobie pomocy Herkulesa Poirota. Satterthwaite domyślał się przyczyny. To była prywatna sprawa Charlesa Cartwrighta i Egg Lytton Gore. Satterthwaite został dopuszczony za cichą zgodą obojga i było jasne, że miał tu podrzędną rolę, grał trzecie skrzypce. Ale Herkules Poirot to co innego. Mógłby przejąć dowództwo. Nawet sir Charles musiałby, być może, ustąpić mu berła. Plany Egg ległyby w gruzach. Spoglądał na nią z serdecznym współczuciem. Tamci nie rozumieli jej, lecz on, ze swą niemal kobiecą wrażliwością, uzmysławiał sobie w pełni jej rozterkę. Walczyła o swoje szczęście...

Co odpowie?

A zresztą, cóż miała rzec? Jakżeby mogła głośno wyrazić swe myśli? „Niech pan sobie idzie, zniknie nam z oczu, wszystko pan może popsuć, nie chcę tu pana...”

Egg Lytton Gore dała jedyną możliwą odpowiedź.

— Oczywiście — odparła z nieznacznym uśmiechem. — Będziemy zachwyceni.

ROZDZIAŁ CZWARTY DORADCA

— Świetnie — powiedział Poirot. — Jesteśmy więc kolegami. *Eh bien*, jeśli można, proszę mnie wprowadzić w sprawę, chciałbym być *au courant*.

Słuchał z wielką uwagą, gdy Satterthwaite przedstawiał po kolei kroki, jakie podjęli po powrocie do Anglii. Satterthwaite potrafił świetnie opowiadać. Umiał stworzyć nastrój, sugestywnie przedstawić sytuacje. Barwnie odmalował „Abbey”, służbę, nadinspektora policji. Poirot gorąco wyraził swe uznanie dla sir Charlesa i jego odkrycia nie dokończonych listów w gazowym kominku.

— *Ah, mais c'est magnifique, ça!* — zawołał z zachwytem. — Dedukcja, rekonstrukcja, wprost doskonale! Pan powinien być wielkim detektywem, a nie wielkim aktorem, sir Charles!

Aktor przyjął tę lawinę komplementów z odpowiednią skromnością, ze szczególną, właściwą sobie skromnością. Miał wieloletnią praktykę w zbieraniu na scenie wyrazów uznania i umiał je właściwie przyjmować.

— Pańskie spostrzeżenie jest również bardzo słuszne — Poirot zwrócił się do Satterthwaite'a. — Chodzi mi o to nagłe spoufalenie się doktora z kamerdynerem.

— Uważa pan, że ten pomysł z panią de Rushbridger ma ręce i nogi? — spytał gorliwie sir Charles.

— To jest jakaś myśl. Sugeruje, rozumiecie państwo, sugeruje szereg różnych rzeczy.

Nie byli pewni, co to za różne rzeczy, nie chcieli jednak się z tym zdradzić i zamruczeli coś pod nosem.

Sir Charles dokończył relacji. Opisał wizytę u pani Babbington, mizerny plon tego spotkania.

— Teraz jest pan na bieżąco. Wie pan, jak sprawy stoją. I jak pan to wszystko widzi?

Pochylił się do przodu z chłopcą niecierpliwością.

Poirot milczał. Cała trójka, skupiona, wpatrywała się w niego.

Wreszcie odezwał się:

— Czy pamięta pani, *mademoiselle*, kieliszki do porto u sir Bartholomewa?

Sir Charles wtrącił, w chwili gdy Egg przecząco kręciła głową:

— Ja panu powiem.

Wstał, podszedł do kredensu i wyjął kilka ciężkich ozdobnych kieliszków do sherry.

— Oczywiście te są innego kształtu, tamte były bardziej okrągłe, właściwe szkło do porto. Tollie kupił je na wyprzedaży u starego Lammersfielda, cały zestaw. Podobały mi się, a ponieważ miał ich za dużo, odstąpił mi kilka. Niezłe, prawda?

Poirot wziął jedną sztukę? i obrócił nią w rękę.

— Tak — powiedział. — Ładne. O takich właśnie myślałem.

— Ale dlaczego? — zawołała Egg.

Poirot jedynie uśmiechnął się do niej.

— Tak, tak — podjął swoje. — Śmierć sir Bartholomewa Strange'a daje się stosunkowo łatwo wytłumaczyć. Babbingtona nastęcza więcej trudności. Och, gdybyż się stało odwrotnie!

Jak to odwrotnie? — zdziwił się Satterthwaite.

— Rozważmy to, przyjacielu — zwrócił się do niego Poirot. — Znany lekarz może zginąć z wielu powodów. Lekarz zna różne sekrety, przyjacielu, sekrety wielkiej wagi. Ma władzę. Wyobraźmy sobie pacjenta, który znajduje się na granicy choroby umysłowej. Wystarcza słówko doktora i pacjenta izoluje się od świata. Cóż to za pokusa dla nieźrównoważonej

osoby. Dalej, lekarz może powziąć jakieś podejrzenia w związku z nagłą śmiercią kogoś z chorych. Widzicie państwo sami, przytaczam motyw za motywem.

A zatem, jak mówiłem, gdyby się stało odwrotnie. Gdyby sir Bartholomew Strange zginął pierwszy, a wielebny Stephen Babbington w drugiej kolejności. Babbington mógłby w takim wypadku coś wiedzieć, coś podejrzewać...

Westchnął.

— Ale trudno, nie można mieć takiej sprawy, jakiej by sobie człowiek życzył. Trzeba brać ją taką, jaka jest. Chciałbym wszakże coś zasugerować. Czy jest możliwe, że Stephen Babbington zginął przez przypadek, że truciznę (Jeżeli takowa była) przeznaczono dla sir Bartholomewa, a zażył ją niewłaściwy człowiek?

— Wielka myśl — rzekł sir Charles. Twarz mu zabłysła i zaraz przygasła. — To się jednak nie zgadza. Babbington wszedł do tego pokoju na cztery mniej więcej minuty przed atakiem. W tym czasie nie wziął niczego do ust poza cocktailem, a w cocktailu nic nie było...

Poirot przerwał:

— Już pan to mówił. Założmy jednak, dla dobra naszej dyskusji, że w cocktailu coś było. Czy trunek mógł być przeznaczony dla sir Bartholomewa Strange'a, a pan Babbington wypił go przez omyłkę?

Sir Charles pokręcił głową.

— Nikt, kto choć trochę znał Tollie'ego, nie próbowałby go otruć za pomocą cocktailu.

— Dlaczego?

— Bo nie pijał cocktailów.

— Nigdy?

— Nigdy.

Poirot machnął ręką zniechęcony.

— Ach... w takim razie... to do niczego. Po prostu bez sensu...

— Poza tym — ciągnął Cartwright — nie wyobrażam sobie, jak można pomylić szklanki. Temple roznosiła je na tacy i każdy brał pierwszą z brzegu.

— To prawda — mruknął Poirot. — Nie można wcisnąć komuś cocktailu jak karty do gry. Jaka jest ta pańska Temple? Czy to ona wprowadziła mnie tutaj dzisiaj wieczorem?

— Tak, ona. Pracuje u mnie od trzech, czterech lat. Miła, rzetelna dziewczyna, dobrze się spisuje. Nie wiem, gdzie była przedtem, panna Milray ma z całą pewnością wszystkie informacje.

— Panna Milray, czyli pańska sekretarka? Ta wysoka kobieta podobna do grenadiera?

— Wypisz, wymaluj — zgodził się sir Charles.

— Bywałem dość często u pana w domu, ale chyba nigdy przedtem jej nie spotkałem.

— Nie, zazwyczaj nie jada z nami. Chodziło o trzynastkę.

I sir Charles wyjaśnił okoliczności owej trzynastki. Poirot słuchał uważnie.

— A więc to ona zaproponowała, by wziąć udział w kolacji? Mhm.

zamyślił się głęboko. Po chwili spytał:

— A czy mógłbym porozmawiać z Temple?

— Tak, naturalnie.

Sir Charles nacisnął guzik dzwonka. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

— Pan mnie wzywał?

Pojawiła się wysoka kobieta, w wieku trzydziestu dwu, trzech lat. W jej wyglądzie uderzała pewna elegancja. Włosy miała starannie utrzymane, lśniące. Ładna jednak nie była. Zachowywała się spokojnie i pewnie.

— Pan Poirot chciałby zadać pani kilka pytań — rzekł sir Charles.

Temple skierowała swe pełne wyższości spojrzenie na detektywa.

— Rozmawiamy właśnie o przyjęciu, na którym zmarł pan Babbington — zaczął Poirot.
— Pamięta pani ten wieczór?

— O, tak, sir, dobrze pamiętam.

— Proszę mi dokładnie opisać, jak były podane cocktaile.

— Nie rozumiem, sir.

— Chciałbym, żeby mi pani opowiedziała o cocktailach. Czy pani je mieszała?

— Nie. Sir Charles zawsze sam to robi. Przyniosłam tylko butelki z wermutem, dżinem, wszystko, co trzeba.

— Gdzie je pani postawiła?

— Tam, na stoliku.

I wskazała na stół przy ścianie.

— Tutaj stała taca ze szklankami, sir. Kiedy sir Charles skończył mieszać, napełnił je. Ja wzięłam tace i rozniosłam gościom cocktaile.

— Czy wszystkie szklanki stały na tacy?

— Sir Charles sam podał cocktail pani Lytton Gore. Akurat z nią rozmawiał. No i zabrał szklankę dla siebie. A pan Satterthwaite — przyłgnęła na chwilę wzrokiem do starszego pana — też wziął cocktail dla jednej pani, chyba dla panny Wills.

— Zgadza się — wtrącił Satterthwaite.

— Resztę rozniosłam, sir. Wszyscy wzięli cocktaile, z wyjątkiem sir Bartholomewa.

— Mam do pani prośbę. Czy mogłaby pani odtworzyć tę scenę? Poduszki będą wyobrażały nieobecnych. Ja stałem tutaj, a tam panna Sutcliffe.

Satterthwaite pomógł rozmieścić poszczególne osoby. Był wnikliwym obserwatorem i pamiętał, gdzie kto się znajdował. Temple zrobiła rundę. Zaczęła od pani Dacres, przeszła do panny Sutcliffe i *monsieur* Poirota, po czym obsłużyła pana Babbingtona, Lady Mary i pana Satterthwaite'a, stojących w jednym kółku.

Taką kolejność zapamiętał także Satterthwaite.

Podziękowano pokojówce i Temple odeszła.

— Ba! — zawołał Poirot. — Nie, to nie ma sensu. Temple była ostatnią osobą, która miała dostęp do cocktailów, podawała je, nie mogła jednak nimi manipulować. Jak mówiłem, nie można nikomu wcisnąć szklanki.

— Człowiek machinalnie bierze tę, która stoi najbliżej — zauważył sir Charles.

— Zaraz... A gdyby tak podejść z tacą najpierw do osoby, o którą chodzi... nie, nawet wtedy nie ma pewności, że się uda. Szklanki stoją blisko siebie. Trudno orzec, która znajduje się bliżej, a która dalej. Nie, nie, to przypadek, los szczęścia, zupełnie niewiarygodna historia. Pamięta pan, Satterthwaite, czy Babbington odstawił szklankę, czy trzymał ją w ręku?

— Odstawił na ten stół.

— Czy ktoś podszedł do stolika w chwilę potem? Nie. Stałem tuż obok, ale zapewniam pana, nie ruszałem szklanki, chociaż mogłem to zrobić niepostrzeżenie.

Satterthwaite był wyraźnie urażony. Poirot wytłumaczył się pośpiesznie:

— Nie, nie, skądże znowu, nie oskarżam pana, *quelle idee*. Chce mieć tylko pewność co do faktów. Analiza wykazała, że w cocktailu nic nie było, teraz wiemy, że, niezależnie od analizy, po prostu nic w nim być nie mogło. A zatem dwa różne testy prowadzą do identycznych wniosków. Z drugiej strony pan Babbington niczego poza cocktailem nie brał do ust, a jeśli został otruty czystą nikotyną, śmierć musiała nastąpić błyskawicznie. Dokąd to nas wiedzie?

— Donikąd, pal to wszystko licho! — zawołał sir Charles.

— Tak bym nie powiedział, nie, nie. Nasuwa się straszliwa myśl, mam nadzieję, nieprawdziwa. Tak, oczywiście, nieprawdziwa, zaprzecza jej śmierć sir Bartholomewa... A jednak...

I zmarszczył w zamyśleniu czoło. Tamci patrzyli nań zaintrygowani. Wreszcie ocknął się.

— Rozumiecie państwo, do czego zmierzam? Pani Babbington nie było w „Melfort Abbey”, wobec tego pani Babbington jest poza wszelkimi posądzeniami.

— Pani Babbington! Ależ nikt jej nie śmiał podejrzewać.

Poirot uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Czyżby? To bardzo dziwne. Ja na tę myśl wpadłem od razu, dosłownie od razu. Skoro ten nieszczęsny dżentelmen nie został otruty cocktailem, to truciznę podano mu bezpośrednio przed wejściem do domu. W jaki sposób? Pigułka? Coś na niestrawność? Tylko kto mógłby to zrobić? Wyłącznie żona. I wreszcie, kto miałby utajony motyw? Znowu żona.

— Ależ oni byli do siebie bardzo przywiązani! — zawołała z oburzeniem Egg. — Pan nic nie rozumie.

Poirot znowu uśmiechnął się lekko.

— Nie? Cenna uwaga. Pani rozumie, ja nie. Ale ja widzę fakty bezstronnie, bez uprzedzeń. I coś pani wyznam, *mademoiselle*. W całej mojej długiej karierze spotkałem się z pięcioma wypadkami żon zamordowanych przez oddanych mężów i z dwudziestu dwu wypadkami mężów zamordowanych przez oddane żony. *Les femmes!* One lepiej zachowują pozory.

— Jest pan okropny — stwierdziła Egg. — Wiem, że Babbingtonowie nie byli tacy. To po prostu ohyda!

— Zbrodnia jest ohydą, *mademoiselle* — powiedział Poirot, a w jego głosie zadźwięczała twarda nuta.

— Ja widzę gołe fakty — podjął już łagodniejszym tonem — i zgadzam się, że pani Babbington nie dokonała zbrodni. Widzi pani, nie było jej w „Melfort Abbey”. Tak jak zauważył słusznie sir Charles, winnego należy szukać wśród osób obecnych na obu przyjęciach. A zatem mamy do wyboru jedno z siedmiu nazwisk na liście.

Zaległa cisza.

— Co nam pan teraz radzi?

— Macie już państwo zapewne jakiś plan? Sir Charles przełknął ślinę.

— Jedynym sensownym posunięciem jest eliminacja — powiedział. — Uważam, że trzeba zająć się po kolei każdą osobą na liście i poty przypisywać jej winę, póki nie znajdą się — dowody jej niewinności. Musimy mieć silne przekonanie, że istnieje związek pomiędzy tą osobą a Stephenem Babbingtonem, i cały nasz wysiłek winien być skierowany na znalezienie tej zależności. Dopiero wtedy się okaże, że taka zależność nie istnieje, przechodzimy do następnego podejrzanego.

Dobry z pana psycholog — pochwalił Poirot. — jakich metod pan użyje?

— Tego jeszcze nie obmyśliłem. Prosimy o radę, *monsieur* Poirot. A może by pan sam...

Poirot uniósł rękę.

— Tylko proszę nie namawiać mnie do aktywnego działania, przyjacielu. Życie nauczyło mnie, że każdy problem najlepiej rozwiązują szare komórki. Niech mi pan pozwoli pozostać doradcą. Proszę prowadzić dalej śledztwo, sir Charles, pod pańskim zręcznym kierownictwem.

„A co ze mną? — pomyślał Satterthwaite. — Ach, ci aktorzy! Zawsze w pełnym blasku pierwszoplanowej roli!”

— Może się zdarzyć, że będziecie państwo potrzebować opinii Rady. Tę Radę stanowić będę ja — mówił Herkules Poirot.

Zwrócił się z uśmiechem do Egg:

— Czy to pani odpowiada, *mademoiselle!*

— Cudownie! — zawołała Egg. — Jestem pewna, że pana doświadczenie bardzo nam się przyda.

Na twarzy dziewczyny malowała się ulga. Spojrzała na zegarek i wydała okrzyk zgrozy.

— Muszę lecieć. Mama już na pewno szaleje z niepokoju.

— Odwiozę panią — zaproponował sir Charles.

Wyszli razem.

ROZDZIAŁ PIĄTY PODZIAŁ PRACY

— Ryba połknęła haczyk — rzekł Herkules Poirot.

Pan Satterthwaite wciąż spoglądał na drzwi, które zamknęły się za tamtą parą. Drgnął i odwrócił się w stronę Poirota. Ten miał na ustach lekko drwiący uśmiešek.

— Tak, tak, niech pan nie zaprzecza. Wtedy w Monte Carlo rozmyślnie wskazał mi pan przynętę. Czyż nie? Pokazując notatkę w gazecie. Z nadzieją, że pobudzi pan moją ciekawość, że wkroczę do akcji.

— To prawda — przyznał Satterthwaite. — Sądziłem jednak, że mi się nie powiodło.

— Ależ tak, powiodło się panu. Jest pan przenikliwym znawcą ludzkiej natury, przyjacielu. Cierpiałem na nudę. Pamięta pan, co powiedziało wtedy tamto dziecko? „Nie mam co robić”. Utrafił pan w moment psychologiczny. Nawiasem mówiąc zbrodnia również w dużym stopniu zależy od momentu psychologicznego. Zbrodnia i psychologia idą ręką w rękę. Ale wracajmy do naszych baranów. To bardzo intrygująca zbrodnia, w pełni zagadkowa.

— Która, pierwsza czy druga?

— Jest tylko jedna. Jedna i ta sama zbrodnia przedzielona na połowę pierwszym i drugim morderstwem. Druga połowa jest prosta: motyw, środki...

Satterthwaite wtrącił:

— Środki są równie tajemnicze. W alkoholu nie było trucizny, wszyscy jedli te same potrawy.

— A jednak nie, druga sprawa jest zupełnie inna. W pierwszej wydaje się, że nikt, absolutnie nikt, nie mógł otruć Stephena Babbingtona. Załóżmy, że sir Charles chciał się kogoś pozbyć: mierzyłby jednak w konkretną osobę, nie na chybił trafił. Temple mogła coś wrzucić do ostatniej szklanki na tacy, ale Babbington nie sięgnął ostatni po cocktail. Morderstwo pana Babbingtona wydaje się tak niewiarygodne, że wciąż nie mogę pozbyć się uczucia, że go jednak nie było, że ostatecznie pastor zmarł śmiercią naturalną. Wkrótce się zresztą dowiemy. Drugi wypadek przedstawia się inaczej. Każdy z obecnych na przyjęciu, czy to któryś z gości, czy kamerdyner, czy pokojówka, mógł otruć Bartholomewa Strange'a. Nie widzę żadnych trudności.

— Nie rozumiem... — zaczął Satterthwaite.

— Udowodnię to panu kiedyś za pomocą małego doświadczenia. Przejdźmy teraz do innej rzeczy, najważniejszej. W żadnym wypadku nie mogę, jak pan wie (a jestem pewny, że pan, człowiek o tak czułym sercu i subtelnej wrażliwości to wie), odegrać roli... jak to nazwać?... szkodnika, właśnie, szkodnika.

— Chodzi panu o to... — zaczął Satterthwaite z uśmiechem w kącikach ust.

— Że sir Charles musi odegrać główną rolę, rolę gwiazdy. Jest do tego przyzwyczajony. Poza tym ktoś tego oczekuje. Czy nie mam racji? *Mademoiselle* nie jest zachwycona, o nie, że Herkules Poirot wmieszał się w te sprawy.

— Błyskawicznie się pan orientuje, *monsieur* Poirot.

— Och, to się samo rzuca w oczy. Jestem człowiekiem wrażliwym, chcę sprzyjać zakochanym, a nie im przeszkadzać. Pan i ja, przyjacielu, musimy współpracować na cześć i chwałę Charlesa Cartwrighta. Chyba zgodzi się pan ze mną? Kiedy zagadka zostanie wyjaśniona...

— Jeśli... — poprawił cicho Satterthwaite.

— Jednak kiedy! Ja nie przegrywam.

— Nigdy? — spytał badawczo Satterthwaite.

— Bywało — odparł Poirot z godnością — przez krótki zresztą czas, że orientowałem się powoli, jak pan by to pewno określił. Dochodziłem do prawdy dłużej, niż to było możliwe.

— Ale czy zdarzyło się panu pełne niepowodzenie? Za upartymi pytaniami Satterthwaite’a kryła się ciekawość, czysta, zwykła ciekawość. Chciał wiedzieć.

— *Eh bien*, raz, dawno temu, w Belgii. Nie wracajmy do tego...

Kiedy Satterthwaite zaspokoił swą wścibskość (nie pozbawioną zresztą pewnej dozy złośliwości), szybko zmienił temat.

— Tak tylko pytałem. Mówił pan, że kiedy zagadka zostanie rozwiązana...

— Sir Charles ją rozwiąże. W tym rzecz. Ja będę tylko małym trybikiem w maszynie — rozłożył ręce. — Rzucę słówko tu, rzucę słówko tam, jedno maleńkie słówko, aluzyjka, nic więcej. Nie pragnę uznania, glorii. Mam dość chwały, wystarcza mi w zupełności.

Satterthwaite przyglądał mu się zafascynowany. Ubawiony był naiwną zarozumiałością, wielkim egocentryzmem małego Belga. Nie dał się jednak zmylić pozorom, Wiedział, że słowa Poirota to nie czcze przechwałki. Anglik zazwyczaj umniejsza to, co robi dobrze, kiedy zaś coś mu się nie udaje, bywa zadowolony z siebie. Francuz, czy Belg ma lepszą ocenę własnych możliwości. Jeżeli jest uzdolniony, nie widzi powodu, by ten fakt ukrywać.

— Chciałbym wiedzieć, *monsieur* Poirot — rzekł Satterthwaite — a przyznam, że jestem niezmiernie ciekaw, co tak naprawdę pociąga pana w tej sprawie. Emocje polowania?

Poirot pokręcił głową.

— Nie, nie, nie o to chodzi. Idę za wonią zwierzyny jak *chien de chasse*, drzę z podniecenia, kiedy jestem na tropie, nie mogę się cofnąć. To wszystko prawda. Ale jest coś więcej. Jest to, jak by to powiedzieć, pasja dojścia do prawdy. Nie ma nic równie fascynującego, ekscytującego i pięknego jak prawda.

Po słowach Poirota zapadła cisza.

Następnie detektyw wziął kartkę, na której Satterthwaite starannie wypisał siedem nazwisk i przeczytał je na głos.

— Pani Dacres, kapitan Dacres, panna Wills, panna Sutcliffe, lady Mary Lytton Gore, panna Lytton Gore, Oliver Manders. Tak... Wymowne...

— A cóż w tym wymownego?

— Kolejność.

— Nie widzę nic wymownego w kolejności nazwisk. Po prostu spisaliśmy je, bez żadnego klucza.

— Właśnie. Na czele stoi pani Dacres. Wnioskuje stąd, że jest ona najbardziej prawdopodobną kandydatką na mordercę.

— Raczej najmniej nieprawdopodobną — sprostował Satterthwaite.

— Albo jeszcze lepiej: jest tą osobą, którą wszyscy chcieliby widzieć w tej roli.

Pan Satterthwaite w pierwszym odruchu otworzył usta, lecz kiedy napotkał łagodne pytające spojrzenie błyszczących szarych oczu Poirota, powiedział co innego, niż zamierzał.

— Tak, być może ma pan rację, *monsieur* Poirot. Podświadomy odruch.

— Chciałbym pana o coś spytać, Satterthwaite.

— Bardzo proszę? — odparł tamten skwapliwie.

— Jak zrozumiałem, sir Charles wraz z panną Lytton Gore wybrali się razem do pani Babbington.

— Owszem.

— Pan im nie towarzyszył?

— Nie. Byłoby nas za dużo.

— Poza tym — uśmiechnął się Poirot — może ciągnęło pana w inną stronę. Jak to się mówi? Chciał pan upiec inną pieczeń. Gdzie pan był, panie Satterthwaite?

— Byłem na herbacie u lady Mary Lytton Gore — sztywno odparł starszy pan.

— O czym państwo rozmawialiście?

— Zechciała mi się zwierzyć ze swych kłopotów małżeńskich z wczesnej młodości. I powtórzył w skrócie opowieść lady Mary. Poirot pokiwał głową ze współczuciem.

— Samo życie. Romantyczna panienka poślubia czarny charakter nie bacząc na przestrogi. Czy jeszcze o czymś pan z nią mówił? Na przykład o Oliverze Mandersie?

— Prawdę rzekłszy, tak.

— I czego się pan dowiedział?

Satterthwaite przytoczył to, co mówiła lady Mary.

— Skąd te domniemania, że o nim rozmawialiśmy? — spytał.

— Ponieważ w tym celu udał się pan do lady Mary. Och, niech pan nie zaprzecza. Nadzieja pana leży w Dacresach, lecz podejrzenia skupiają się na Mandersie.

Na próżno Satterthwaite usiłował zaprotestować.

— Tak, tak — mówił dalej Poirot. — Jest pan człowiekiem skrytym. Swoje myśli lubi pan zachować dla siebie. Rozumiem pana. Sam to zawsze robię.

— Nie podejrzewam Mandersa, co za bzdura. Chciałem się tylko czegoś o nim dowiedzieć.

— To właśnie twierdze. On stanowi pana instynktowny wybór. Ja zresztą także interesuje się tym młodzieńcem. Zajął mnie tutaj, na tamym przyjęciu, ponieważ zobaczyłem...

— Co? Co pan zobaczył? — dopytywał się niecierpliwie Satterthwaite.

— Zobaczyłem, że były co najmniej dwie osoby, a może i więcej, które grały. Jedną był sir Charles — uśmiechnął się. — Odgrywał rolę kapitana statku, nie uważa pan? To zresztą naturalne. Wielki aktor nie przestaje grać z chwilą zejścia ze sceny. Drugą osobą był Manders. Przybrał pozę znudzonego, zblazowanego młodzieńca, w rzeczywistości jednak nie był ani znudzony, ani zblazowany, wręcz odwrotnie, był niesłychanie napięty. I z tego powodu, przyjacielu, zwróciłem na niego uwagę.

— Skąd pan wiedział, że się nim interesuje?

— Z wielu drobiazgów. Zaintrygował pana jego wypadek, kiedy to znalazł się w „Melfort Abbey”. Nie poszedł pan z sir Charlesem i panną Lytton Gore do pani Babbington. Dlaczego? Chciał pan niepostrzeżenie iść własnym tropem. Udał się pan do lady Mary, żeby się czegoś o kimś dowiedzieć. O kim? W grę wchodził tylko ktoś miejscowy. A więc Oliver Manders. I, co bardzo charakterystyczne, umieścił pan jego nazwisko na końcu listy. Kto jest w pana przekonaniu najmniej podejrzany? Lady Mary i *mademoiselle* Egg. Mimo to Mandersa umieszcza pan na końcu. Dlaczego? Bo jest pana czarnym koniem i chce pan go zatrzymać dla siebie.

— Mój Boże! — zawołał Satterthwaite. — Czy rzeczywiście jestem taki?

— *Précisément*. Jest pan byстрыm obserwatorem, ma pan wnikliwe sądy, a wnioski woli pan zachować dla siebie. Opinie o ludziach kolekcjonuje pan jak dzieła sztuki. Nie będzie ich pan sprzedawał.

— Myślę... — zaczął Satterthwaite. Nie dokończył, bo właśnie pojawił się sir Charles.

Szedł lekkim, sprężystym krokiem.

— Brr — powiedział. — Straszna wichura. Nalał sobie whisky z wodą. Satterthwaite i Poirot odmówili drinka.

— No dobrze — odezwał się sir Charles. — Nakreślmy plan działania. Gdzie ta lista, Satterthwaite? O, dziękuję. A teraz, *monsieur* Poirot, poproszę o opinie Rady. Jak powinniśmy rozplanować prace przygotowawcze?

— A co by pan zaproponował?

— Możemy się podzielić osobami z listy, prawdziwy podział pracy, co? Na początku mamy panią Dacres. Myślę, że Egg chętnie się za nią weźmie. Uważa, że kobieta tak doskonale wykwapowana nie gwarantuje bezstronności ze strony mężczyzn. Pomysł podejścia Cynthii Dacres od strony jej firmy wydaje się niegłupi. Satterthwaite i ja możemy ewentualnie rozegrać z nią drugą partię, jeśli to się okaże celowe. Dalej — Freddie Dacres.

Znam niektórych jego kumpli z wyścigów. Może tą drogą można by coś wywąchać. No i Angela Sutcliffe.

— To także pańskie zadanie, Cartwright — wtrącił Satterthwaite. — Znacie się dobrze.

— Właśnie. Dlatego wolałbym, żeby ktoś inny wziął ją w obroty... Po pierwsze — uśmiechnął się ze skruchą — mógłbym się spotkać z zarzutem, że się nie przyłożyłem, a po drugie, to chyba jasne, jest moją przyjaciółką... Rozumie pan? — zwrócił się do Poirota.

— *Parfaitement, parfaitement*. Delikatność uczuć, oczywiście, to zupełnie zrozumiałe. Nasz zacny Satterthwaite wyręczy pana.

— Lady Mary i Egg nie liczą się, to jasne. A młody Manders? Jego obecność przy śmierci Tollie'ego była czystym przypadkiem. Chyba jednak nie powinniśmy go pominąć.

— Mandersem zajmie się pan Satterthwaite — rzekł Poirot. — Tylko czy nie zapomniał pan jeszcze o jednej osobie? O pannie Muriel Wills? Co z panną Muriel Wills?

— Rzeczywiście. Jeśli Satterthwaite bierze na siebie Mandersa, ja wezmę pannę Wills. To uzgodnione. Ma pan jakieś uwagi, *monsieur* Poirot?

— Nie, chyba nie. Chciałbym oczywiście znać wyniki akcji.

— To zrozumiałe samo przez się. I jeszcze jedno: gdybyśmy zdobyli jakieś zdjęcia, moglibyśmy je wykorzystać do śledztwa w Gilling.

— Doskonały pomysł — pochwalił Poirot. — Coś miałem spytać, zaraz, zaraz... Aha! Pański przyjaciel sir Bartholomew nie pijał cocktailów, ale lubił porto, czy tak?

— Tak, miał wyraźną słabość do porto.

— Dziwne, że nie poczuł czegoś szczególnego. Czysta nikotyna ma bardzo ostry, nieprzyjemny smak.

— Niech pan pamięta — zauważył sir Charles — że prawdopodobnie w porto nie było nikotyny. Zawartość kieliszka poddano analizie.

— Prawda, głupia uwaga z mojej strony. W każdym razie, jakkolwiek podana, nikotyna jest ohydna.

— Wie pan, nie sędzę, żeby to miało znaczenie — powiedział powoli sir Charles. — Tollie przeszedł ciężką gripę ubiegłej wiosny i po chorobie zarówno smak, jak i powonienie mu stępsiały.

— Ach, tak — rzekł Poirot z namysłem. — To nieco tłumaczy sprawę. Znacznie upraszcza rzeczy.

Cartwright podszedł do okna i wyjrzał na dwór.

— Sztorm nie ustaje. Pośle po pana rzeczy, *monsieur* Poirot. „Róża i Korona” to miejsce dobre dla młodych artystów, sędzę, że u mnie będzie panu wygodniej.

— Jest pan niezwykle uprzejmy, sir Charles.

— Drobiazg. Zaraz się tym zajmę. Wyszedł z pokoju.

Poirot spojrział na Satterthwaite'a.

— Pozwolę sobie poczynić drobną sugestię.

— Tak?

Poirot pochylił się do przodu i powiedział ściszym głosem:

— Proszę zapytać młodego Mandersa, dlaczego symulował wypadek. Proszę mu powiedzieć, że policja go podejrzewa, zobaczymy, co on na to.

ROZDZIAŁ SZÓSTY CYNTHIA DACRES

Salon mody Ambrosine Ltd by! nieskazitelny. Ściany jakby muśnięte bielą. Gruby dywan ze strzyżonej wełny w tak naturalnym kolorze, że wydawał się prawie bezbarwny, podobnie tapicerka. Gdzieniedzie połyskiwał chrom, a jedną ścianę zdobiła gigantycznych rozmiarów figura geometryczna, jaskrawoniebieska i cytrynowożółta. Pokój ten projektował Sydney Sandford, wzięty młody architekt wnętrz.

Egg Lytton Gore, zagłębiona w nowoczesnym fotelu przypominającym trochę fotel dentystyczny, obserwowała wspaniale młode kobiety ze znudzonymi twarzami, które paradowały przed nią kręcąc się i wijąc jak węże. Cały wysiłek Egg skupił się na tym, by wyglądać tak, jakby pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt funtów za suknie było drobnostką.

Pani Dacres, jak zwykle doskonale nierzeczywista, robiła swoje (jak to określiła w duchu Egg).

— No i jak się pani podoba? Te kokardy na ramionach mają swój wdzięk, prawda? A linia talii po prostu niesamowita. Wolałabym nie czerwień, raczej najmodniejszy ostatnio kolor *Español*, niezwykle atrakcyjny, barwa musztardy, ale z odrobiną papryki. Co pani powie na model *Vin Ordinaire*? Śmieszny, prawda? Niesamowity i zabawny. Dzisiaj nie wolno ubierać się poważnie.

— Trudno się zdecydować — powiedziała Egg. — Widzi pani — przybrała poufny ton — nie mogłam nigdy pozwolić sobie na eleganckie stroje. Byłam zawsze biedna jak mysz kościelna. Pamiętam panią z „Kruczego Gniazda”. Wyglądała pani cudownie! Pomyślałam sobie wtedy: „Teraz kiedy mam pieniądze, pójdę do pani Dacres i poproszę, żeby mi doradziła”. Jakże panią podziwiałam!

— Miło mi to słyszeć. Uwielbiam ubierać młodzież. Dziewczyna nie powinna przypominać surowej potrawy.

„Pani to nie grozi — pomyślała zawistnie Egg. — Jest pani doskonale przyrządzona”.

— Z taką osobowością — ciągnęła pani Dacres — powinna pani nosić coś niebanalnego. Coś prostego, ledwo rzucającego się w oczy. Coś niesamowitego. Rozumie pani? Czy życzy pani sobie kilka rzeczy?

— Chciałabym ze cztery suknie wieczorowe, parę rzeczy na co dzień i może dwa kostiumy.

Pani Dacres stała się jeszcze słodsza. Na szczęście nie wiedziała, że stan konta Egg wynosił w chwili obecnej piętnaście funtów dwanaście szylingów i że suma ta musiała wystarczyć jej do grudnia.

Przed Egg wciąż defilowały dziewczyny w strojnych sukniach. W przerwach pomiędzy krawieckimi poradami Egg starała się zbadać grunt.

— Nie była pani ostatnio w „Kruczym Gnieździe”?

— Nie. Po prostu nie mogłam. Po tej okropnej historii! Zresztą Kornwalia jest tak straszliwie artystyczna... Nie znoszę artystów. Mają ciała zupełnie dziwnego kształtu.

— Tak, wstrząsająca sprawa — ciągnęła Egg. — Pan Babbington był taki dobry.

— Muzealny okaz.

— Spotkała go pani kiedyś?

— Tego starego poczciwca? Chyba nie. Nie przypominam sobie.

— A mnie się zdaje, że coś na ten temat napomknął — rzekła Egg. — Nie chodziło o Kornwalie, lecz o miejscowość Gilling.

— Naprawdę? — spojrzenie pani Dacres było puste. — Nie, Marcelle. Chciałabym *Petit Scandale*, model *Jenny*, potem niebieski model *Patou*.

— Nie do wiary! — podjęła Egg — sir Bartholomew otruty!

— Niesamowite! Tego się nie da opisać. Ale nie uwierzy pani, jaką mi to reklamę zrobiło! Różne wstrętne babska zamawiają u mnie stroje dla czystej sensacji. Model *Patou* byłby dla pani idealny. Niech pani spojrzy na te śmieszna bezużyteczną krezę, to robi całą suknie. Młody, ciekawy akcent. Tak, dla mnie śmierć biednego sir Bartholomewa była manną z nieba. Widzi pani, zawsze jest jakaś szansa, że go zamordowałam. Wygrałam na tym. Przychodzą tu teraz przeraźliwie grube baby i wybałuszają na mnie oczy. Niesamowite. Poza tym...

Jej słowa przerwało wejście ważnej klientki, monumentalnej Amerykanki.

Podczas gdy Amerykanka wyrzucała z siebie zamówienia, liczne i kosztowne, Egg udało się wymknąć. Młodej damie, która zastąpiła panią Dacres, szepnęła, że się jeszcze zastanowi.

Wyszła na Bruton Street i spojrzała na zegarek. Była za dwadzieścia pierwsza. Niezadługo będzie mogła wszcząć kolejną akcję.

Poszła aż do Berkeley Square i powoli wróciła. O pierwszej stała z nosem przyklejonym do wystawy chińskich *objets d'art*.

Doris Sims wyszła spieszonym krokiem na Bruton Street i skierowała się w stronę Berkeley Square. Nagle tuż nad uchem usłyszała głos:

— Przepraszam — mówiła Egg — czy mogę zamienić z panią kilka słów?

Doris Sims odwróciła się zaskoczona.

— Pani jest modelką w Ambrosine, prawda? Zauważyłam panią dziś rano. Coś pani powiem, tylko proszę się nie obrazić: ma pani najwspanialszą figurę, jaką kiedykolwiek widziałam.

Doris Sims nie była obrażona. Najwyżej lekko zmieszana.

— Bardzo pani uprzejma... — bąknęła.

— Wygląda mi pani na osobę uczynną — mówiła Egg. — Dlatego chce panią prosić o przysługę. Może pójdziemy na lunch do Berkeleya albo do Ritza i powiem pani, o co chodzi.

Po chwili wahania Doris Sims przystała. Palila ją ciekawość, poza tym lubiła dobrą kuchnię.

Kiedy usiadły przy stoliku i zamówiły lunch, Egg wdała się w wyjaśnienia:

— Proszę, żeby pani zatrzymała to dla siebie. Piszę artykuł o pracy kobiet. Niech mi pani powie wszystko o pracy we wziętym salonie mody.

Doris wyglądała na zawiedzioną, zgodziła się jednak bez oporów. Opowiadała bezbarwnie o zatrudnieniu, pensji, plusach i minusach swego zajęcia. Egg notowała w małym zeszytiku.

— Bardzo jestem pani wdzięczna — powiedziała. — Zupełnie się na tym nie znam. To dla mnie nowość. Widzi pani, potrzebuje pieniędzy i liczę, że dziennikarka mnie trochę podreperuje.

Zniżyła głos przybierając poufny ton:

— Byłam trochę bezczelna, kiedy wkroczyłam do Ambrosine i udawałam, że zamierzam nakupić mnóstwo rzeczy. Tak naprawdę moja racja na ciuchy to zaledwie kilka funtów, które muszą mi starczyć do Gwiazdki. Pani Dacres wściekłaby się, gdyby wiedziała.

Doris zachichotała.

— Podejrzewam, że tak.

— Dobrze zagrałam? — spytała Egg. — Czy wyglądałam na babkę z forszą?

— Wyszło wspaniale. Szefowa jest przekonana, że zamówi pani mnóstwo rzeczy.

— Rozczaruje się — mruknęła Egg.

Doris znowu zachichotała. Była zadowolona z lunchu i czuła sympatie do Egg. „Na pewno wyższe sfery — pomyślała. — Ale nie zadziera nosa. Naturalna i bezpośrednia”.

Będąc z Doris w tak miłej komitywie, Egg nie miała większych trudności, by nakłonić dziewczynę do zwierzeń na temat jej chlebobawczyni.

— Zawsze uważałam — mówiła Egg — że pani Dacres musi być straszną jedzą.

— Nikt jej u nas nie lubi, to fakt. Ale to mądra babka, ma głowę do interesów. Nie należy do tych dam, co to biorą się za firmę krawiecką i z miejsca bankrutują, bo ich przyjaciółki nie płacą. Szefowa jest twarda jak kamień, przy tym uczciwa i ma naprawdę dobry gust. Zna się na rzeczy, potrafi utrafić w czyjś styl.

— Pewno świetnie prosperuje?

W oczach Doris pojawił się zagadkowy wyraz.

— Nie chciałabym robić plotek...

— Jasne — powiedziała Egg.

— Ale skoro już mnie pani pyta, firma jest w niezłych tarapatach. Przychodził do szefowej pewien Żyd, było też kilka innych rzeczy. Podejrzewam, że musiała zaciągać pożyczki, żeby ratować interes, chyba jest mocno zadłużona. Wie pani, czasami robi okropne wrażenie, bywa zupełnie załamana. Nie wiem, jak by wyglądała bez grubej warstwy makijażu. Na pewno nie sypia po nocach.

— Jaki jest jej mąż?

— Dziwny facet. Trochę ladaco, jeśli chce pani wiedzieć. Dziewczyny nie zgadzają się ze mną, ale ja twierdzę, że jej ciągle na nim bardzo zależy. Oczywiście krążyły różne obrzydliwe plotki...

— Na przykład? — spytała Egg.

— Nie lubię powtarzać plotek. Nie należę do takich ludzi.

— Jasne. Niech pani mówi dalej.

— No więc dziewczyny gadały na ich temat. Opowiadały o młodym facecie, bardzo bogatym i trochę szurniętym. Nie żeby był pełnym wariatem, ale taki pół na pół. Szefowa latała za nim nieprzytomnie. Mógłby postawić firmę na nogi, wszystko z nim dało się zrobić. Aż tu nagle zalecono mu podróż statkiem.

— Kto zalecił? Lekarz?

— Ktoś z Harley Street. Chyba ten lekarz, którego zamordowano w Yorkshire, mówi się, że został otruty.

— Sir Bartholomew Strange?

— Tak. Szefowa była na tym przyjęciu. Mówiliśmy między sobą, wie pani, tak dla śmiechu, a nuż to szefowa go załatwiła, przez zemstę. Tak tylko się wygłupiałyśmy...

— Oczywiście — zaśmiała się Egg. — Takie babskie żarciki. Świetnie to rozumiem. Wie pani, dla mnie pani Dacres pasuje do roli mordercy: twarda, bezwzględna.

— Twarda jak gład i ma zły charakter. Kiedy jest wściekła, żadna z nas nie śmie do niej podejść. Podobno mąż się jej panicznie boi, i nic dziwnego.

— Wspomniała kiedyś o jakimś Babbingtonie albo o miejscowości Gilling w Kencie?

— Nie, nie przypominam sobie. Doris spojrzała na zegarek.

— O Boże, jak późno, muszę lecieć! — zawołała.

— Do widzenia i dziękuje za rozmowę.

— Było mi bardzo miło. Do widzenia. Mam nadzieję, że pani artykuł będzie miał powodzenie. Ciekawa jestem, kiedy się ukaże.

„Nieprędko się go doczekasz” — mruknęła w duchu Egg i poprosiła kelnera o rachunek.

Po czym przekreśliła swe rzekome notatki do artykułu i napisała w zeszyciku:

„Cynthia Dacres. Panuje opinia, że jest w tarapatach finansowych. Przypisuje się jej trudny charakter. Młody człowiek (bogaty), z którym prawdopodobnie miała romans, został wysłany w podróż morską przez sir Bartholomewa Strange’a. Nie zareagowała na wzmiankę o Gilling, nie przyznała się do znajomości z Babbingtonem”.

— Niewiele tego — bąknęła pod nosem. — Motyw zabójstwa sir Bartholomewa wątpliwy. *Monsieur Poirot* mógłby coś z tego wydedukować. Ja nie potrafię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

KAPITAN DACRES

Egg nie wyczerpała jeszcze całego programu dnia. Skierowała swe kroki do „St John’s House”, gdzie mieszkali Dacresowie. „St John’s House” to nowy imponujący blok mieszczący luksusowe mieszkania. Wystawne okna, portierzy we wspaniałych liberiach wyglądający jak cudzoziemscy generałowie.

Egg nie weszła do budynku. Przechadzała się tam i z powrotem po drugiej stronie ulicy. Po godzinie doszła do wniosku, że musiała przejść kilka mil. Było wpół do szóstej.

Wreszcie podjechała taksówka i wysiadł z niej kapitan Dacres. W trzy minuty później Egg przeszła przez ulice i przestąpiła progi domu.

Nacisnęła dzwonek do mieszkania numer 3. Otworzył sam Dacres. Nie zdążył jeszcze zdjąć płaszcza.

— Dobry wieczór — odezwała się Egg. — Pamięta mnie pan? Spotkaliśmy się w Konwalii, a potem w Yorkshire.

— Oczywiście, świetnie pamiętam nasze spotkania. Dwukrotnie przy śmierci. Niechże pani wejdzie, panno Lytton Gore.

— Czy zastałam żonę?

— Jest na Bruton Street, w swojej firmie.

— Wiem, byłam tam dzisiaj. Myślałam, że może już wróciła, i pozwoliłam sobie wpaść na chwilkę. Mam jednak wyrzuty sumienia, że zawracam głowę... — powiedziała kokieteryjnie.

„Całkiem niebrzydka — pomyślał Dacres. — Co tu dużo gadać, świetna dziewczyna”. Głośno zaś rzekł:

— Cynthia będzie grubo po szóstej. Ja właśnie przyjechałem z Newbury. Miałem paskudny dzień, wróciłem wcześniej. Może pójdziemy do klubu na drinka?

Egg przystała na propozycje, choć miała słuszne podejrzenia, że Dacres wypił już swoją dole.

Siedzieli w półmroku piwnicy „Seventy-Two Club”, Egg sączyła martini. Powiedziała:

— Świetnie tutaj. Nigdy tu przedtem nie byłam.

Freddie Dacres uśmiechnął się pobłaźliwie. Lubił młode ładne dziewczyny. Może nie do tego stopnia co inne przyjemności, ale wystarczająco.

— Kiepska rozrywka — powiedział. — Mam na myśli Yorkshire. Lekarz otruty, to brzmi trochę jak dowcip, wie pani, o co mi chodzi, to jakby na opak. To lekarz truje ludzi, a nie odwrotnie.

Zaśmiał się hałaśliwie z własnych słów i zamówił następną kolejkę dżinu.

— Niezłe pan to ujął — zauważyła Egg. — Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam.

— Żartuję, rzecz jasna.

— To dziwne — rzekła Egg w zadumie. — Zawsze, kiedy się spotykamy, ktoś umiera.

— Rzeczywiście — przyznał Dacres. — Chodzi też pani o tego starego klechę w... jak to się nazywa?... w tym domu tego aktora?

— Tak. Podejrzana śmierć. Zupełnie raptowna.

— Człowiek czuje się cholernie nieswojo. Makabra, korkuje jeden facet, zaraz potem drugi. Człowiek myśli: „Teraz przyjdzie moja kolej”, brr!

— Spotkał pan już przedtem Babbingtona? W Gilling?

— Nie znam takiego miejsca. Nie, nigdy przedtem nie widziałem faceta na oczy. Ciekawe, wykorkował dokładnie tak samo jak Strange. Dziwne. Chyba go nie załatwiono?

— A jak pan myśli? Dacres potrząsnął głową.

— Niemożliwe. Nikt nie morduje pastorów. Lekarze to co innego.

— Tak — powtórzyła za nim Egg. — Lekarze to co innego.

— Jasne. Sam rozum dyktuje. To banda wścibskich diabłów. — Płatał mu się trochę język. Pochylił się do przodu. — Nie zostawią człowieka w spokoju. Rozumie pani?

— Nie — odparła Egg.

— Igrają z ludzkim życiem. Mają cholernie dużą władzę. Nie powinno się do tego dopuszczać.

— Nie rozumiem pana.

— Przecież mówię pani. Zamkną cię, posła do diabła, wyraźnie mówię, no nie? Boże, oni są bez serca. Wsadzą pod klucz, odetną od wszystkiego, a ty, człowieku, jęcz, błagaj, nie puszczaj. Mają w nosie twoje cierpienia. Tacy są lekarze, powiadam pani. Ja to wiem.

Twarz wykrzywiła mu się boleśnie. Jego ostre jak szpileczki źrenice spoglądały gdzieś poza Egg.

— To piekło, prawdziwe piekło, co tu gadać. I to nazywają leczeniem! Uczciwą sprawą! Świnie!

— Czy sir Bartholomew Strange...? — zaczęła ostrożnie Egg.

Wpadł jej w słowa.

— Sir Bartholomew Strange. Sir Bartholomew Blagier. Ciekaw jestem, co słyhać w tej jego wspaniałej lecznicy. Choroby nerwowe. Tak się to określa. Raz tam wlażeś, nie wyliziesz. I mówią, że się idzie z własnej woli. Ładnie mi z własnej woli! Po prostu mają cię w rękę, kiedy ty masz lęki.

Trząśł się na całym ciele. Wargi mu obwisły.

— Jestem rozsypany — rzekł pokornie. — Rozsypany na kawałki. — Przywołał kelnera, próbował skusić Egg na jeszcze jednego drinka, a kiedy odmówiła, zamówił dla siebie.

— O, znacznie lepiej — powiedział, opróżniwszy szklaneczkę. — Odzyskałem równowagę. Fatalna historia, jak się traci nerwy. Nie wolno mi denerwować Cynthii. Nie pozwoliła mi gadać. — Kiwnął głową raz i drugi. — Lepiej nie mówić tego policji. Mogliby pomyśleć, że to ja wykończyłem starego Strange'a. Prawda? To jasne, że ktoś go musiał wykończyć. Ktoś z nas. Zabawne. Tylko kto? Oto jest pytanie.

— A może pan wie, kto — rzekła Egg.

— Dlaczego pani to mówi? Skąd mam wiedzieć? Spojrzał na nią ze złością, podejrzliwie.

— Nic nie wiem, powiadam pani. Nie miałem zamiaru poddać się temu cholernemu pseudoleczeniu. Nieważne, co na to Cynthia, nie i już. On coś knuł, oboje coś knuli, ale ja nie taki głupi.

Wstał.

— Jestem silny, widzisz pani?

— Tak, tak, na pewno — rzekła pospiesznie Egg. — Niech mi pan powie, słytał pan coś o niejkiej pani de Rushbridger, która jest w sanatorium?

— Rushbridger? Rushbridger? Stary Strange coś o niej mówił. Co to było? Nic nie pamiętam.

Westchnął, potrząsnął głową.

— Pamięć szwankuje, w tym rzecz. I mam wrogów, masę wrogów. Może teraz mnie szpiegują?

I rozejrzał się niepewnie wokoło. Po czym pochylił się w stronę Egg.

— Co ta kobieta robiła wtedy w moim pokoju?

— Jaka kobieta?

— Podobna do królika. Ta, co pisze sztuki. To było rankiem po jego śmierci. Wróciłem właśnie ze śniadania. Wylazła ode mnie i poszła przez wyciszone drzwi na końcu korytarza do pomieszczeń dla służby. Dziwne, prawda? Dlaczego była w moim pokoju? Czego szukała? Dlaczego w ogóle myszkowała? Co to wszystko ma z nią wspólnego? — I dodał — poufnym tonem: — A może to prawda, co mówi Cynthia?

— A co mówi pani Dacres?

— Że sobie to wyimaginowałem. Że miałem przywidzenia. — Zaśmiał się niepewnie. — Zdarza się, że mam zwidy. Różowe myszki, węże, tego rodzaju rzeczy. Ale żeby zwidziała mi się kobieta... to zupełnie co innego. Naprawdę ją widziałem. Dziwna z niej sztuka. Okropnie patrzy na człowieka. Przeszywa na wskroś.

Opadł na miękkie siedzenie. Zdawało się, że zaraz zaśnie.

Egg wstała.

— Musze już iść. Dziękuję panu bardzo.

— Niech mi pani nie dziękuje. Cała przyjemność po mojej stronie. Wielce zaszczycony...

Głos mu zamarł.

„Lepiej się zmyję, nim padnie na dobre” — powiedziała sobie Egg.

Wyszła z zadymionych pomieszczeń „Seventy-Two Club” na rześkie wieczorne powietrze.

Pokojówka Beatrice mówiła, że panna Wills wszędzie wścibiała nos. A teraz ta opowieść Dacresa. Czego panna Wills szukała u Freddie’ego Dacresa? Co znalazła? Czy to możliwe, że panna Wills coś wiedziała?

A może coś było w tej mętnej historii o Strange’u? Może Dacres potajemnie go nienawidził, ze strachu?

Być może.

Kapitan słowem jednak nie zdradził się, że ma jakkolwiek nieczyste sumienie w sprawie Babbingtona.

— Cóż to by była za niespodzianka — mruknęła do siebie Egg — gdyby koniec końców pastor nie został zamordowany.

Nagle wstrzymała oddech. Zobaczyła przed sobą nagłówek w gazecie: WYNIK EKSHUMACJI W SPRAWIE KORNWALUSKIEJ.

Spiesznie podała pensa i schwyciła gazetę. Jakaś kobieta zrobiła dokładnie to samo, zderzając się z Egg. Kiedy Egg przeproszała tamtą za kolizję, rozpoznała sekretarkę sir Charlesa, energiczną pannę Milray.

Stały obok siebie i przerzucały stronie poszukując wiadomości z ostatniej chwili. Jest!

WYNIK EKSHUMACJI W SPRAWIE KORNWALUSKIEJ. Słowa tańczyły przed oczami.

„Analiza organów ciała... Nikotyna...”

— A jednak zamordowany.

— O mój Boże! — zawołała panna Milray. — Jakież to okropne!

Wzruszenie złagodziło jej zwykły szorstki sposób bycia. Egg spojrzała na nią zaskoczona. Zawsze uważała pannę Milray za stworzenie niezupełnie ludzkie.

— Bardzo to przeżywam — wyjaśniła panna Milray. — Znałam go od dziecka.

— Pana Babbingtona?

— Tak. Widzi pani, moja matka mieszka w Gilling, tam gdzie on był kiedyś wikarym. Trudno, żebym była obojętna.

— Tak, tak, rozumiem.

— Prawdę mówiąc, nie wiem, co robić. Zarumieniła się lekko pod zdumionym spojrzeniem Egg.

— Chciałabym napisać do pani Babbington — wyjaśniła spiesznie. — Tylko to niezupełnie... Nie wiem, co mam zrobić.

To wyjaśnienie nie zadowoliło do końca Egg Lytton Gore.

ROZDZIAŁ ÓSMY ANGELA SUTCLIFFE

— Jest pan przyjacielem czy szpiclem? Chcę wiedzieć.

Angela Sutcliffe siedziała na krześle z prostym oparciem. Gdy mówiła, w jej oczach pojawiały się ironiczne błyski. Satterthwaite patrzył z podziwem na jej starannie ułożone szpakowate włosy, na jej skrzyżowane nogi o doskonałej linii i smukłej kostce. Panna Sutcliffe była naprawdę fascynującą kobietą. Nie traktowała rzeczy poważnie — na tym głównie polegał jej urok.

— Nieprzyzwoite pytanie — zaprotestował Satterthwaite.

— Najzupełniej przyzwoite. Czy pofatygował się pan tu dla moich pięknych oczu, jak uroczko mawiają Francuzi, czy też w obrzydliwych zamiarach wyduszenia ze mnie czegoś o morderstwach?

— Jakże może pani wątpić w prawdziwość pierwszej możliwości? — rzekł Satterthwaite z lekkim ukłonem.

— Mogę i wątpię — odparła żywo aktorka. — Należy pan do tych ludzi, którzy tylko z pozoru są łagodni jak baranek, a w rzeczywistości krwiozercze z was bestie.

— Ależ nie, nie!

— Ależ tak, tak! Trudno mi się tylko zdecydować, czy pańska wizyta to dla mnie obraza czy komplement. Chociaż... być potencjalnym mordercą to jednak komplement.

Przechyliła lekko głowę z powolnym, pełnym wdzięku, niezawodnym uśmiechem na twarzy.

„Uroczę stworzenie” — stwierdził w duchu Satterthwaite, a głośno powiedział:

— Przyznaje, droga pani, że śmierć sir Bartholomewa Strange’a bardzo mnie intryguje. Paralem się już takimi sprawami, może obilo się pani o uszy...

I skromnie zawiesił głos, mając być może nadzieję, że panna Sutcliffe podchwyci ten temat. Spytała jednak tylko:

— Niech mi pan powie, czy jest coś w tym, co mówiła ta dziewczyna?

— Jaka dziewczyna? Co mówiła?

— Ta mała Lytton Gore. Zadurzona w Charlesie. Nawiasem mówiąc, ten stary łajdak ją zdobędzie. A wiec ta cała Egg uważa, że staruszek w Kornwalii został zamordowany.

— A co pani o tym myśli?

— Cóż, dokładnie taki sam wypadek... Dziewczyna jest niegłupia. Pana zdaniem Charles ma poważne zamiary?

— Podejrzewam, że pani zdanie jest w tej sprawie daleko bardziej miarodajne.

— Ależ pan dyskretny, do znudzenia! — zawołała panna Sutcliffe. — Ja — dodała z westchnieniem — jestem przerażająco niedyskretna.

Zatrzepotała powiekami.

— Znam dobrze Charlesa. W ogóle znam mężczyzn. Charles jest na najlepszej drodze do ustatkowania się. Chodzi w aureoli cnoty. Na moje oko zakręci się wokół założenia rodziny w rekordowo krótkim czasie. Boże, jacy nudni stają się mężczyźni, kiedy postanawiają się ustatkować. Tracą cały urok.

— Zawsze zastanawiałem się, dlaczego sir Charles nigdy się nie ożenił — zadumał się Satterthwaite.

— Nigdy nie wykazywał najmniejszej ochoty do żeniaczki, nie nadawał się na ojca rodziny, drogi panie. Cóż to był za cudowny mężczyzna... — westchnęła. Spojrzała na Satterthwaite’a z lekkim mrugnięciem oka. — On i ja byliśmy kiedyś... po co ukrywać coś, co i tak jest publiczną tajemnicą? Było nam dobrze ze sobą, do tej pory jesteśmy w wielkiej przyjaźni. Pewno dlatego mała Lytton Gore patrzy na mnie wilkiem, podejrzewa, że wciąż

mam słabość do Charlesa. Może i mam. W każdym razie nie spisałam na razie wspomnień o moich przygodach miłosnych, co zwykle robią aktorki. Gdybym to zrobiła, panna Lytton Gore nie byłaby zachwycona. Raczej wstrząśnięta. Dzisiejsze dziewczyny nietrudno zaszokować. Jej matka, ta nie byłaby wcale zgorzonna. Zaskoczyć czymś te słodkie damy z późnej epoki wiktoriańskiej jest doprawdy sztuką. Mówią bardzo mało, ale zawsze mają najgorsze na myśli...

Pan Satterthwaite ograniczył się do uwagi:

— Chyba słusznie pani podejrzewa, że Egg Lytton Gore nie darzy pani zaufaniem.

Angela Sutcliffe zmarszczyła brwi.

— A może jestem o nią trochę zazdrosna... my, kobiety, jesteśmy jak kocice. Drap, drap, miau, miau, mru, mru...

Wybuchnęła śmiechem.

— Dlaczego Charles nie przyszedł mnie pouczyć? Przez zbytnią delikatność? Uważa, że jestem winna. Czy jestem winna, panie Satterthwaite? Jak pan myśli?

Wstała i wyciągnęła rękę.

— „Wszystkie wonie Arabii nie odejmą tego zapachu z tej małej ręki”^{*}.

Przerwała.

— Nie jestem Lady Makbet. Mój *genre* to komedie.

— Zresztą, gdzie motyw?

— To prawda. Lubiłam Strange’a. Byliśmy przyjaciółmi. Po cóż miałabym się go pozbyć? Jako jego przyjaciółka chętnie wzięłabym udział w polowaniu na mordercę. Mogę w czymś pomóc?

— Czy jest coś, panno Sutcliffe, coś, co pani widziała lub słyszała, co mogłoby rzucić jakieś światło na sprawę?

— To, co wiedziałam, zeznałam policji. Spotkanie dopiero co się rozpoczęło. Śmierć nastąpiła zaraz pierwszego wieczora.

— Co pani powie o kamerdynerze?

— Nie zwróciłam na niego uwagi.

— Nikt nie zachowywał się dziwnie?

— Nie. Tylko ten chłopak, jak mu tam, Manders, pojawił się dość nieoczekiwanie.

— Sir Bartholomew był zaskoczony?

— Chyba tak. Powiedział mi, zanim udaliśmy się na kolację, że to dziwna sprawa, użył, pamiętam, określenia: „nowy sposób kruszenia tamy”. „Tyle że skruszył mi ogrodzenie” — dodał.

— Sir Bartholomew był w dobrym humorze?

— Doskonałym!

— A co z tajnym przejściem? Wspomniała pani o nim policji.

— Sądzę, że wyjście znajduje się w bibliotece. Gospodarz obiecał, że mi je pokaże, biedak nie zdążył.

— Jak doszło do tego tematu?

— Rozmawialiśmy o jego najnowszym nabytku, orzechowym biurku. Zapytałam, czy posiada tajną szufladę. Dodałam, że uwielbiamy tajne szuflady. To moja skryta namiętność. A on: „Nie, nie mam tajnej szuflady, mam za to tajne przejście”.

— Czy doktor wspominał o swojej pacjentce, pani de Rushbridger?

— Nie.

— Była pani kiedyś w miejscowości Gilling w Kencie?

— Gilling? Nie, nie byłam w Gilling. Czemu pan pyta?

— Znała pani przedtem Babbingtona, prawda?

^{*} William Szekspir — Makbet, przeł. Józef Paszkowski

— Babbington? Któż to taki?

— Człowiek, który umarł, lub został zabity, w „Kruczym Gnieździe”.

— A, pastor. Zapomniałam jego nazwiska. Nie, nigdy go przedtem nie spotkałam. Kto panu powiedział, że go znałam?

— Ktoś, kto powinien wiedzieć — odparł zuchwale Satterthwaite.

Panna Sutcliffe była wyraźnie ubawiona.

— Drogi panie, czy podejrzewa się mnie o romans z pastorem? Archidiakoni to często bardzo niegrzeczni chłopcy. Czemu wikary miałyby być gorszy? Mężczyzna jak inni. Niech jednak pamięć biednego duchownego pozostanie czysta. Nigdy przedtem nie widziałam tego człowieka na oczy.

Satterthwaite, chcąc nie chcąc, musiał się zadowolić jej oświadczeniem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY MURIEL WILLS

Adres Upper Carthart Road pod numerem 5 w Tooting nie wydawał się właściwy dla autorki sztuk satyrycznych. Pokój, do którego wprowadzono sir Charlesa, miał ściany w kolorze szarej owsianki, z fryzem w barwie złotokapu. Zasłony z różowego aksamitu, wszędzie porozstawiane fotografie i chińskie porcelanowe psy. Telefon dyskretnie skrywała dama w marszczonych spódnicach. Pełno było małych stolików i podejrzenie wyglądających mosiadców z Birmingham via Daleki Wschód.

Panna Wills weszła do pokoju tak bezszelestnie, że sir Charles, zajęty oglądaniem śmiesznej lalki-pierrota o wydłużonym kształcie leżącej na sofie, nie usłyszał kroków. Podskoczył, gdy doszedł go piskliwy głos: „Witam pana, sir Charles. Co za miła niespodzianka”.

Gospodyni miała na sobie lejącą się suknie z dzianiny, wiszącą smutnie na jej kanciastej figurze. Pończochy marszczyły się na nogach obutych w pantofle z lakierowanej skóry, na bardzo wysokich obcasach.

Sir Charles przywitał się, przyjął papierosa i spoczął na sofie obok lalki-pierrota. Panna Wills usiadła naprzeciw. Światło dzienne odbijało się w jej pince-nez rzucając drobne błyski.

— Że też pan mnie tu odnalazł! — mówiła panna Wills. — Mama będzie zachwycona. Uwielbia teatr, zwłaszcza coś romantycznego. Ta sztuka, w której grał pan księcia na jakimś uniwersytecie, stale o niej opowiada. Lubi chodzić na poranne przedstawienia i objadać się czekoladkami. Jest wtedy szczęśliwa. Taka to już osoba.

— To cudowne — odparł sir Charles. — Wspaniałe uczucie, świadomość, że ludzie o nas pamiętają. Pamięć publiczności jest krótka — dodał z westchnieniem.

— Spotkanie z panem to dla niej wielkie przeżycie — ciągnęła panna Wills. — Przedwczoraj była tu Angela Sutcliffe. Mama była tak podniecona!

— Angela była u pani?

— Tak. Gra w mojej sztuce A piesek się śmieje.

— Prawda. Czytałem o tym. Ciekawy tytuł.

— Cieszę się. Pannie Sutcliffe także się podoba. Nowoczesna wersja tradycyjnych wierszyków dla dzieci, ple, ple, nonsens, banialuki. Ona gra pierwsze skrzypce, o to chodzi.

— Niezły pomysł. Dzisiejszy świat jest jak zwiariowany wierszyk dla dzieci. A piesek z tego się śmieje, czy tak? — I dodał w myśli: „Ona jest tym pieskiem. Spogląda z boku i szydzi”.

Światło przestało odbijać się w pince-nez i sir Charles ujrzał bladoniebieskie oczy panny Wills wpatrujące się w niego przenikliwie.

„Ta kobieta ma szatański zmysł humoru” — powiedział do siebie. Głośno zaś spytał:

— Czy domyśla się pani, co mnie tu sprowadza?

— Podejrzewam — odparła filuternie panna Wills — że nie chodzi tylko o moją skromną osobę.

Sir Charles zastanawiał się przez chwile nad różnicą pomiędzy słowem mówionym i pisany. W piórze panna Wills była błyskotliwa i cyniczna, w mowie — kokieteryjna.

— Prawdę mówiąc, Satterthwaite podsunął mi ten pomysł — rzekł Cartwright. — Uważa się za wielkiego znawcę charakterów.

— Jest bystrym obserwatorem — wtrąciła panna Wills. — Powiedziałabym, że ludzie to jego hobby.

— Jest głęboko przekonany, że jeśli było coś godnego uwagi tamtego wieczoru w „Melfort Abbey”, pani to na pewno zauważyła.

— Tak powiedział?

— Dokładnie.

— Przyznaje, bardzo mnie ta sprawa zainteresowała — powiedziała wolno panna Wills. — Widzi pan, nigdy nie widziałam z bliska morderstwa. A pisarz powinien ze wszystkiego czerpać materiał.

— To chyba znana prawda.

— Staralam się wiec mieć oczy otwarte, co przecież zrozumiałe. Tak wyglądała wersja panny Wills owego „wścibiania nosa” w ujęciu Beatrice.

— Otwarte na gości?

— Tak, na gości.

— I co pani zauważyła?

Przesunęła pince-nez.

— Właściwie nic — odparła. — W przeciwnym razie zameldowałabym, rzecz jasna, policji — dodała zasadniczym tonem.

— A jednak coś pani zaobserwowała.

— Ja zawsze coś zaobserwuję. To silniejsze ode mnie. Taka już jestem — zachichotała lekko.

— A zatem coś pani zauważyła, co konkretnie?

— Och nic, to znaczy nic, co byłoby czymś dla pana, sir Charles. Po prostu drobiazgi dotyczące ludzi. Uważam, że ludzie są tak niezwykle interesujący. Wie pan, tacy typowi.

— Typowi dla czego?”

— Dla siebie samych. Och, nie potrafię tego wytłumaczyć. Jestem tak nieporadna w słowach.

I znowu zachichotała.

— Bardziej zabójcza w piórze niż w mowie — zauważył aktor z uśmiechem.

— Wcale nie wiem, czy mi się podoba pana określenie, sir Charles.

— Musi pani przyznać, droga panno Wills, że pani pióro jest dość bezlitosne.

— Jest pan naprawdę okropny. To pan jest bezlitosny, dla mnie.

„Pora skończyć z tym przekomarzaniem” — zdecydował Cartwright. I zapytał:

— A wiec żadnych konkretnych odkryć, panno Wills?

— W zasadzie nie. Może jedno. Zauważyłam coś, o czym zapomniałam powiedzieć policji.

— Co takiego?

— Chodzi o kamerdynera. Miał czerwone znamię na lewym przegubie. Zauważyłam je, kiedy podawał mi jarzyny. Taka informacja może się przydać.

— Nawet bardzo. Policja staje na głowie, żeby znaleźć Ellisa. Doprawdy, panno Wills, bardzo bystra z pani kobieta. Nikt ze służby, nikt z gości nie zwrócił uwagi na ten szczegóół.

— Ludzie rzadko korzystają z oczu, nie uważa pan?

— Proszę mi opisać znamię, umiejscowienie, wielkość...

— Niech pan pokaże przegub. — Sir Charles wyciągnął rękę. — Dziękuję. W tym miejscu. — I panna Wills wskazała palcem. — W rozmiarze mniej więcej sześciopensówki, w kształcie przypominające Australię.

— Dziękuję, teraz widzę je dokładnie — rzekł sir Charles cofając rękę i opuszczając mankiet.

— Czy powinnam zawiadomić policje?

— Koniecznie. To może mieć kolosalne znaczenie w pochwyceniu zbiega — zawołał skwapliwie. — W powieściach kryminalnych morderca zawsze ma jakiś znak szczególny. Dlaczego, u licha, życie miaoby być gorsze?

— W książkach przeważnie jest blizna — stwierdziła panna Wills w zamyśleniu.

— Znamię jest równie dobre — powiedział sir Charles. Był zadowolony jak mały chłopiec.

— Problem polega na tym — podjął — że ludzie przeważnie są nijacy. Nie ma czego się uchwycić.

Panna Wills rzuciła mu pytające spojrzenie.

— Weźmy Babbingtona. Zupełnie niesprecyzowana osobowość. Żadnej cechy szczególnej.

— Miał bardzo charakterystyczne dłonie — zaprotestowała panna Wills. — Ręce człowieka wykształconego, tak bym to określiła. Palce trochę powykręcane przez reumatyzm, ale szlachetne, z pięknymi paznokciami.

— Ależ z pani obserwatorka! Prawda, zapomniałem, że pani znała go wcześniej.

— Znałam pana Babbingtona?

— Tak. Mówił mi kiedyś. Zaraz, zaraz, gdzie to było? Panna Wills zdecydowanie potrząsnęła głową.

— To nie o mnie chodzi. Pomylił mnie pan z inną osobą. Albo on coś pokręcił. Nigdy go przedtem nie spotkałam.

— W takim razie to nieporozumienie. Myślałem, że w Gilling...

I spojrzał na nią badawczo.

Panna Wills była całkowicie zdecydowana.

— Nie — powtórzyła.

— Czy przyszło pani do głowy, że jego także zamordowano?

— Wiem, że pan i panna Lytton Gore tak uważacie, w każdym razie pan.

— O! a... eee... jak pani myśli?

— Mało prawdopodobne — odparła panna Wills. Sir Charles, zbity z tropu zupełnym brakiem zainteresowania tą kwestią, zmienił temat.

— Niech mi pani powie, czy sir Bartholomew Strange wspomniał pani kiedyś o niejkiej pani de Rushbridger?

— Nie, nie przypominam sobie.

— To jego pacjentka. Cierpiąca na załamanie nerwowe i zanik pamięci.

— Owszem, rozmawialiśmy o przypadkach zaniku pamięci. Opowiadał, że hipnozą można przywrócić człowiekowi pamięć.

— Ach tak? Może to znaczące, kto wie... Cartwright ze zmarszczonym czołem pogrążył się w zadumie. Panna Wills siedziała w milczeniu.

— Nic więcej nie ma mi pani do powiedzenia? Na przykład o kimś z gości? — zachęcał sir Charles.

Wydawało mu się, że panna Wills zawahała się na moment, nim udzieliła odpowiedzi.

— Nie.

— A pani Dacres? Albo kapitan Dacres? A może panna Sutcliffe czy Oliver Manders? — nalegał.

Za każdym razem gdy wymawiał nazwisko, bacznie „się w nią wpatrywał.

Raz zdawało mu się, że dostrzegł błysk w oku za pince-nez, nie był jednak pewien.

— Nie mam nic do dodania, sir Charles.

— Trudno! — Wstał i dorzucił: — Satterthwaite będzie rozczarowany.

— Przykro mi — rzekła panna Wills składając buzie w ciup.

188

— A ja przepraszam, że panią niepokoiłem. Przerwałem zapewne pisanie.

— Rzeczywiście pisałam.

— Następną sztukę?

— Tak. Zwierze się panu, że zamierzam w niej wykorzystać niektóre osoby z przyjęcia w „Melfort Abbey”.

— A zniesławienie?

— Och, z tym nie będzie kłopotu. Ludzie rzadko kiedy potrafią dopatrzeć się siebie. — Zachichotała. — W każdym razie nie wtedy, gdy, jak pan to ujął, autor jest naprawdę bezlitosny.

— A więc pani uważa, że wszyscy mamy wygórowane wyobrażenia o sobie i nie widzimy brutalnej prawdy. Nie myliłem się, panno Wills, pani jest rzeczywiście okrutna.

— Niech pan się nie obawia, sir Charles — rzekła z uśmiechem panna Wills. — Kobiety nie są okrutne dla mężczyzn, chyba że chodzi o jakąś konkretną osobę, są okrutne tylko dla kobiet.

— Czyli skierowała pani ostrze swego noża na jakąś nieszczęsną przedstawicielkę płci pięknej. Ciekawe, na którą. Spróbuje odgadnąć. Kobiety na ogół nie przepadają za Cynthią.

Panna Wills nie odpowiedziała. Wciąż uśmiechała się, trochę jak kocica.

— Czy sama pani pisze, czy też dyktuje pani?

— Sama pisze i oddaje do przepisania.

— Powinna pani mieć sekretarkę.

— Być może. Ma pan ciągle tę bystrą pannę... jak jej tam... pannę Milray?

— Tak, nadal zatrudniam pannę Milray. Wyjechała na jakiś czas do matki na wieś, ale już wróciła. Niezwykle sprawna.

— Na taką wygląda. Może trochę zbyt impulsywna.

— Panna Milray? Impulsywna?

Sir Charles był zdumiony. W największym przypiływie fantazji nie przyszłoby mu do głowy przypisywać impulsywność swej sekretarce.

— Może sporadycznie — dodała panna Wills. Sir Charles pokręcił głową.

— Panna Milray to doskonały robot. Do widzenia, panno Wills. Jeszcze raz przepraszam za najście. Niech pani nie zapomni zawiadomić policji... wie pani o czym?

— O znamieniu na prawym przegubie kamerdynera. Na pewno nie zapomnę.

— To do widzenia. Jeszcze sekunda. Powiedziała pani prawy przegub? Przedtem mówiła pani o lewym.

— Naprawdę? To zabawne.

— Więc lewy czy prawy?

Panna Wills zmarszczyła brwi i przymknęła oczy.

— Zaraz, niech pomyśle. Siedziałam tak, a on... proszę, niech mi pan poda ten mosiężny talerz, niby półmisek z jarzynami. Z lewej strony.

Podał jej wyklepane mosiężne paskudztwo.

— Życzy pani sobie kapusty?

— Dziękuję. Mam teraz pewność. Lewy przegub, tak jak powiedziałam na początku. Pomyliłam się za drugim razem.

— Lewe z prawym zawsze się myli — rzekł Cartwright i pożegnał się po raz trzeci.

Podszedł do drzwi i obejrzał się za siebie. Panna Wills nie patrzyła w jego stronę. Stała tam, gdzie ją zostawił. Wpatrywała się w ogień na kominku, a na ustach miała uśmiech usatysfakcjonowanej złościwości,

Sir Charles przestraszył się.

„Ta kobieta coś wie — powiedział do siebie. — Przysiągłbym, że coś wie. I ani myśli się zdradzić. Do diabła, co to może być?”

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY OLIVER MANDERS

Pan Satterthwaite wszedł do gmachu firmy Speier and Ross, spytał o Olivera Mandersa i podał swą wizytówkę.

Wprowadzono go do niewielkiego pomieszczenia, gdzie za biurkiem siedział Oliver.

Młodzieniec wstał i wyciągnął na powitanie rękę.

— Miło mi, że pana widzę.

W tonie jego głosu wyczuwało się inne słowa: „Przykro mi, ale pana wizyta jest mi cholernie nie na rękę”.

Pan Satterthwaite łatwo się nie zrażał. Usiadł, wydmuchał niespiesznie nos i, zerkając znad chusteczki, zapytał:

— Czytał pan poranne wiadomości?

— O nowym kursie walut? Dolary...

— Nie mówię o dolarach — odparł Satterthwaite. — Śmierć. Wynik ekshumacji w Loomouth. Babbingtona otruto. Nikotyną.

— Ach, o to chodzi, tak, czytałem. To coś dla naszej energicznej Egg. Upierała się przy morderstwie.

— Pana to nie interesuje?

— Nie mam tak prymitywnych upodobań. W końcu, morderstwo... — Wzruszył ramionami. — To rzecz brutalna, nieartystyczna.

— Nie zawsze nieartystyczna.

— Nie? Być może.

— To zależy, kto je popełnia. Jestem przekonany, że pan, na przykład, popełniłby zbrodnię w wysoce artystyczny sposób.

— Miło mi to słyszeć — wycedził Oliver przez zęby.

— Ale szczerze mówiąc, mam nieszczerzalne zdanie o pana symulowanym wypadku. Policja zresztą też.

Zapanowało milczenie, po chwili rozległ się brzęk pióra upadającego na podłogę. Oliver odezwał się pierwszy:

— Przepraszam, nie rozumiem pana.

— Wie pan, to pana dość nieartystyczne przedstawienie w „Melfort Abbey”. Byłbym ciekaw, dlaczego właściwie pan je wykonał.

Znowu milczenie, po czym głos Olivera:

— Mówi pan, że policja... podejrzewa? Satterthwaite przytaknął.

— To wygląda cokolwiek dziwnie, zgodzi się pan? — spytał żartobliwie. — Może jednak ma pan w zanadrzu jakieś doskonale wyjaśnienie.

— Owszem, mam — odparł powoli Oliver. — Dobrze czy nie, tego nie wiem.

— Pozwoli pan, że to rozstrzygnę.

Manders, po chwili, powiedział:

— Znalazłem się tam na prośbę samego sir Bartholomewa.

— Co takiego? — krzyknął pan Satterthwaite w najwyższym zdumieniu.

— Zaskakujące, prawda? Ale prawdziwe. Dostałem od niego list. Zwrócił się do mnie, żebym sfingował wypadek i poprosił o gościnę. Pisał, że nie może przedstawić swoich powodów w liście, że wytłumaczy mi wszystko przy najbliższej okazji.

— Wytłumaczył?

— Nie. Znalazłem się u niego przed samą kolacją. Nie był ani przez chwilę sam. A pod koniec kolacji już nie żył.

Z zachowania Olivera wyparowało całe znużenie. Utkwił w gościu swe ciemne oczy. Wydawało się, że uważnie studiuje jego reakcje.

— Ma pan ten list?

— Podarłem go.

— Szkoda — rzekł sucho Satterthwaite. — Nie mówił pan nic policji?

— Nie, to brzmi fantastycznie.

— Jest fantastyczne.

Satterthwaite potrząsnął głową. Czy Strange rzeczywiście taki list napisał? To zupełnie nie w jego stylu. Historyjka miała melodramatyczną wymowę, tak klóćącą się z pogodą i zdrowym rozsądkiem doktora.

Satterthwaite spojrzął na chłopaka. Oliver wciąż się w niego wpatrywał. Starszy pan pomyślał: „Bada, czy przełknąłem jego opowieść”. Zapytał:

— Sir Bartholomew nie podał żadnych, absolutnie żadnych, powodów swej prośby?

— Żadnych.

— Niesamowita historia. Oliver milczał.

— Pan jednak posłuchał wezwania? Manders na powrót przyjął znużoną postawę.

— Tak, wreszcie jakiś odświeżający kąsek dla znużonego podniebienia. Byłem ciekaw, przyznaję.

— I nic więcej?

— Jak to nic więcej?

Satterthwaite nie bardzo wiedział, co ma na myśli. Wiódł go jakiś bliżej nieokreślony instynkt.

— Chodzi mi o to, czy jest jeszcze coś, co mogłoby świadczyć przeciw panu?

Milczenie. Po chwili chłopak wzruszył ramionami.

— Wszystko jedno, mogę to już z siebie zrzucić. Ta kobieta i tak nie będzie trzymać języka za zębami.

Satterthwaite patrzył pytająco.

— To było rankiem po morderstwie. Rozmawiałem z tą Anthony Armstrong. Wyjąłem portfel i coś mi wypadło. Podniosła to i zwróciła mi.

— Co to było za „coś”?

— Niestety, zdążyła zauważyć. Był to wycinek z gazety o nikotynie, jaka to śmiertelna trucizna itp.

— Skąd pana zainteresowanie nikotyną?

— Nigdy się tym nie interesowałem. Chyba musiałem włożyć kiedyś ten wycinek do portfela, ale zupełnie sobie tego faktu nie przypominam. Dziwne, prawda?

„Kiepsko to wymyślił” — stwierdził w duchu Satterthwaite.

— Na pewno — ciągnął Oliver Manders — poszła już z tym na policje.

Satterthwaite pokręcił głową.

— Nie sądzę. Wygląda mi na kobietę, która lubi zatrzymać swoją wiedzę dla siebie. Jest swego rodzaju kolekcjonerką.

Manders pochylił się gwałtownie do przodu:

— Jestem niewinny, całkowicie niewinny.

— Przecież nie sugerowałem, że jest pan winny — rzekł łagodnie Satterthwaite.

— Ktoś jednak to sugerował, na pewno. Ktoś napuścił na mnie policję.

— Ależ nie — zaprzeczył Satterthwaite.

— Dlaczego więc pan dziś do mnie przyszedł?

— Częściowo z powodu mego... eee... dochodzenia na miejscu — Satterthwaite mówił nieco pompatycznie. — A częściowo na skutek podszeptu pewnego przyjaciela.

— Kim on jest?

— To Herkules Poirot.

- Ach, ten! — wybuchnął Oliver. — Znowu w Anglii?
- Tak.
- Dlaczego wrócił? Satterthwaite wstał.
- A dlaczego pies rusza na polowanie? I rad ze swej riposty opuścił pokój.

ROZDZIAŁ JEDENASTY SHERRY PARTY U POIROTA

W luksusowym apartamencie hotelu Ritz Poirot, zagłębiony w wygodnym fotelu, słuchał. Egg siedziała na poręczy krzesła, sir Charles stał przed kominkiem, a Satterthwaite ulokował się w pewnej odległości i obserwował.

— Kłapa na całej linii — orzekła Egg. Poirot zaprzeczył.

— Nie, nie, przesadza pani. Jeśli idzie o powiązania Babbingtona, zgoda. Ale są nowe cenne informacje.

— Panna Wills coś wie — odezwał się sir Charles. — Daje głowę.

— Kapitan Dacres też nie ma czystego sumienia. A pani Dacres rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy, sir Bartholomew wszedł jej w drogę i pokrzyżował plany.

— A co pan myśli o opowieści młodego Mandersa?

— Bardzo szczególna, przy tym zupełnie nietypowa dla sir Bartholomewa Strange'a.

— Sugeruje pan, że Manders kłamie? — spytał sir Charles bez ogródek.

— Jest tyle rodzajów kłamstw — odparł Herkules Poirot.

I dodał po chwili:

— Panna Wills napisała sztukę dla Angeli Sutcliffe, o ile się nie mylę?

— Premiera w przyszłą środę.

— Ach, tak!

Znowu zamilkł. Egg zagadnęła:

— Niech pan nam powie, co teraz mamy robić? Mały Belg uśmiechnął się.

— Zostaje tylko jedno: myśleć.

— Myśleć? — wykrzyknęła Egg z pogardą. Poirot uśmiechnął się jeszcze promienniej.

— Ależ tak, właśnie. Myśleć! Myśleniem daje się rozwiązać każdy problem.

— A nie można czegoś zrobić?

— Działać, działać, to coś dla pani, prawda, *mademoiselle*? Na pewno jest jeszcze sporo do zrobienia. Na przykład ta miejscowość Gilling, gdzie mieszkał przez tyle lat pan Babbington. Można tam pojechać, popytać. Podobno matka panny Milray mieszka w Gilling, jest inwalidką. Inwalida wie wszystko. Wszystko słyszy i niczego nie zapomina. Niech pani z nią porozmawia, a nuż coś pani odkryje.

— A pan, pan nie zamierza nic zrobić? — uparcie ciągnęła swoje Egg.

Poirot mrugnął do niej.

— Nalega pani, bym i ja wziął się do działania? *Eh bien*. Będzie, jak pani sobie życzy. Tylko ja się stąd nie ruszę. Jest mi tu bardzo wygodnie. Wie pani, co zrobić? Wydam party, sherry party, to chyba ostatnio modne?

— Sherry party?

— *Précisement*. Zaproszę panią Dacres, kapitana Dacresa, pannę Sutcliffe, pannę Wills, pana Mandersa i pani czarującą matkę, *mademoiselle*.

— A mnie?

— Naturalnie, panią także. Wszystkich tu obecnych.

— Hurra! — krzyknęła Egg. — Nie może pan mnie zawieść, *monsieur Poirot*. Coś się stanie na przyjęciu. Stanie się, prawda?

— Zobaczymy — rzekł Poirot. — Niech pani jednak nie oczekuje zbyt wiele, *mademoiselle*. A teraz chciałbym zostać chwilę sam na sam z sir Charlesem, muszę zasięgnąć jego rady.

Czekając na windę u boku pana Satterthwaite'a, Egg zawołała z ekstazą:

— Cudownie! Zupełnie jak w powieści kryminalnej. Wszyscy tam będą, a on nam powie, kto zabił.

— To się okaże — powiedział Satterthwaite. Sherry party odbyło się w poniedziałek wieczór.

Wszyscy przyjęli zaproszenie.

Czarująca i niedyskretna panna Sutcliffe rozglądała się wokół z figlarnym uśmiechem.

— Istna pajęczyna, *monsieur* Poirot. A my, nieszczęsne muchy, wpadliśmy prosto w jej sieć. Jestem przekonana, że zaraz przedstawi nam pan błyskotliwe *résumé* całej sprawy, po czym, nagle, wskaże pan mnie palcem: „...nazwisko Twoje: kobieta”*. A wszyscy rzekną: „To ona”. Ja wybuchnę płaczem, wyznam grzechy, bo zbyt łatwo ulegam sile słowa. Och, *monsieur* Poirot, jakże się pana boje.

— *Quelle histoire!* — zawołał Poirot, zajęty napełnianiem kieliszków. Podał jej sherry, z lekkim ukłonem. — To małe przyjacielskie spotkanko. Nie mówmy o morderstwach, rozlewie krwi i truciznie... La, la! Takie rzeczy psują apetyt.

Wręczył kielich ponurej, nieprzystępnej pannie Milray, która przyszła wraz z sir Charlesem.

— *Voilà* — rzekł Poirot, gdy skończył obsługiwać gości. — Zapomnijmy o smutnych okolicznościach naszego pierwszego spotkania. „Odпочzywaj, jedz, pij i używaj. (...) jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie”*. *Ah, malheur*, znowu wspomniałem o śmierci. Madame — skłonił się przed panią Dacres — wszystkiego dobrego! Proszę przyjąć wyrazy uznania, ma pani cudowną suknie.

— Pani zdrowie, Egg! — zawołał sir Charles.

— Zdrowie! — powiedział Freddie Dacres.

Każdy coś wymamrotał, silił się na wesołość. Wszyscy postanowili wyglądać radośnie i beztrzesko. Jeden Poirot był naturalny i rozluźniony.

— Przedkładam sherry nad cocktaile, nie mówiąc już o whisky. *Quelle horreur*, whisky! Whisky rujnuje, po prostu rujnuje podniebienie. Subtelne wina francuskie! Żeby je docenić, nie wolno nigdy, nigdy... och, *qu'est ce qu'il y a?*

Przerwał mu jakiś dziwny odgłos, jakby zduszony krzyk. Oczy obecnych zwróciły się na sir Charlesa, który z grymasem na twarzy chwiał się na nogach. Kielich wypadł mu z ręki i potoczył się po dywanie. Aktor zrobił kilka kroków na oślep i upadł.

Zapadła cisza, wszyscy osłupieli. W chwili potem Angela Sutcliffe krzyknęła, a Egg rzuciła się naprzód.

— Charles! — wołała Egg. — Och, Charles! Skoczyła przed siebie, ale pan Satterthwaite przytrzymał ją delikatnie za ramie.

— Och, mój Boże! — zawołała lady Mary. — Znowu! Tylko nie to!

— Otruty, i on otruty! — krzyczała Angela Sutcliffe. — Okropne! Och, Boże, to straszne!

I nagle rzuciła się na kanapę, łkając i śmiejąc się na przemian, co sprawiało przeraźliwe wrażenie.

Poirot opanował sytuację. Uklęknął przy leżącym. Reszta cofnęła się i stała w oczekiwaniu. Poirot podniósł się z klęczek, machinalnie otrzepując kolana. Rozejrzał się po zgromadzonych. Panowała cisza, którą przerywał tylko zduszony szloch Angeli Sutcliffe.

— Drodzy przyjaciele... — zaczął Poirot. Egg przerwała mu gwałtownie:

— Głupiec! Kokieterjny głupiec! Udaje wielkiego i wspaniałego, że niby to wszystko wie. I dopuszcza do tego, co się stało. Kolejne morderstwo. Pod samym jego nosem... Gdyby zostawił nas w spokoju, nigdy by do tego nie doszło. To on zamordował Charlesa, ten, ten, ten...

Nie mogła wydobyć z siebie słów.

Poirot pokiwał głową, pełen powagi i smutku.

* William Szekspir — Hamlet, przeł. Józef Paszkowski

* Pismo Święte — Ewangelia św. Łukasza, Biblia Tysiąclecia.

— To prawda, *mademoiselle*. Przyznaję. To ja zabiłem sir Charlesa. Tylko, widzi pani, szczególnie ze mnie morderca. Mogę zabić i mogę przywrócić do życia.

Odwrócił się i innym już głosem, swym zwykłym przeprasającym tonem, powiedział:

— Wspaniałe przedstawienie, sir Charles. Moje gratulacje. A teraz, kurtyna.

Aktor ze śmiechem skoczył na równe nogi i skłonił się ironicznie przed publicznością. Egg zaczerpnęła głęboko tchu.

— *Monsieur* Poirot, jest pan... jest pan wcielonym diabłem.

— Charles — krzyknęła Angela Sutcliffe. — Ty potworze!

— Dlaczego...?

— Jak...?

— Co u licha...?

Poirot uniósł rękę prosząc o ciszę.

— *Messieurs, mesdames*. Proszę o wybaczenie. Ta maleńka farsa miała na celu dowiedzenie wszystkim, nie pomijając mojej osoby, faktu, który rozum kazał mi uznać za prawdę.

Proszę posłuchać. Wśród kielichów na tacy jeden zawierał łyżeczkę czystej wody. Woda miała zastąpić nikotynę. Podobnych używali sir Charles i sir Bartholomew. Dzięki grubemu rżniętemu szklu niewielka ilość bezbarwnego płynu jest niedostrzegalna. Proszę sobie wyobrazić kieliszek z porto sir Bartholomewa Strange'a. Kiedy postawił go na stole, ktoś wprowadził doń odpowiednią ilość czystej nikotyny. Mógł to zrobić każdy. Kamerdyner, pokojówka, jeden z gości, ktoś, kto wślizgnął się do jadalni. Nadeszła pora deseru, rozlano porto, napełniono kielichy. Sir Bartholomew pije i umiera.

Dzisiejszego wieczoru oglądaliśmy trzecią tragedię, upozorowaną. Poprosiłem sir Charlesa, by odegrał rolę ofiary. Zrobił to po mistrzowsku. A teraz przypuśćmy, że nie byliśmy świadkami farsy, lecz rzeczywistości. Sir Charles nie żyje. Czym się teraz zajmie policja?

Panna Sujcliffe zawołała pierwsza:

— Oczywiście kieliszkiem. — I wskazała leżący na dywanie tam, gdzie upuścił go sir Charles. — Pan dolał wody, ale gdyby to była nikotyna...

— Więc założmy, że jest to nikotyna. — Poirot musnął kieliszek czubkiem buta. — Uważa pani, że analiza wykaże jej ślady?

— To oczywiste. Poirot zaprzeczył.

— Otóż nie, myli się pani. Analiza nie wykaże nikotyny.

Goście osłupieli.

— Widzicie państwo — uśmiechnął się — to nie jest kieliszek, z którego pił sir Charles. — I wciąż uśmiechając się przeprasząco wyjął inny z wewnętrznej kieszeni marynarki. — Oto jego kieliszek.

— Jest to prosta teoria sztuki magicznej — podjął. — Uwaga nie może się skupiać na dwóch rzeczach jednocześnie. Żeby moja sztuczka się powiodła, zainteresowanie musi ogniskować się gdzie indziej. Przychodzi taki moment, moment psychologiczny. Kiedy sir Charles pada jak martwy, wszyscy kierują oczy na jego nieruchome ciało. Tłoczą się przy nim i nikt, absolutnie nikt, nie patrzy na Herkulesa Poirota. Wykorzystuje tę chwilę, by niepostrzeżenie wymienić kieliszki.

Widzicie państwo, dowiodłem wam swej teorii. Był taki moment w „Kruczym Gnieździe”, był też w „Melfort Abbey”. A zatem niczego nie było w szklance z cocktailem, niczego nie było w kieliszku z porto...

— Kto je podmienił? — zawołała Egg. Patrząc na nią Poirot odparł:

— Tego musimy się jeszcze dowiedzieć.

— Nie wie pan?

Poirot wzruszył ramionami.

Goście, niepewnie, zaczęli się rozchodzić. Byli dość chłodni. Czuli się okpieni.

Poirot zatrzymał ich gestem ręki.

— Jeszcze momencik. Mam coś państwu do powiedzenia. Dziś wieczorem odegraliśmy komedię. Ale komedia może być odegrana na poważnie, może stać się tragedią. W pewnych okolicznościach morderca uderzy po raz trzeci. Mówię do wszystkich. Jeśli ktokolwiek coś wie, coś, co może rzutować na obie zbrodnie, błagam o wyjawienie tego teraz. Zatrzymanie wiadomości dla siebie w tak krytycznej chwili jest dużym ryzykiem. Przemilczenie może zakończyć się śmiercią. Dlatego jeszcze raz proszę, jeśli ktoś coś wie, niech mówi...

Sir Charles odniósł wrażenie, że apel Poirota skierowany był przede wszystkim do panny Wills. Nadaremnie. Nie tylko panna Wills milczała, nikt się nie odezwał.

Poirot westchnął. Opuścił rękę.

— Niech więc będzie i tak. Ostrzegalem, nic więcej zrobić nie mogę. Proszę pamiętać, przemilczenie jest niebezpieczne.

Nikt jednak nie przemówił.

Goście, zakłopotani, rozeszli się.

Zostali tylko Egg, sir Charles i Satterthwaite.

Egg wciąż jeszcze nie wybaczyła Poirotowi. Siedziała sztywno z płonącymi policzkami i złymi błyskami w oczach. Na sir Charlesa nawet nie spojrzała.

— Do licha, nieźle pan to sobie obmyślił — rzekł z uznaniem sir Charles.

— Co za historia — zachichotał Satterthwaite. — Nigdy bym nie uwierzył, że nie zauważę, jak pan podmienia kieliszki.

— Dlatego nie mogłem nikogo dopuścić do spółki. Tylko w ten sposób eksperyment miał szansę powodzenia.

— I to był jedyny pański powód? Sprawdzić, czy to da się zrobić niepostrzeżenie?

— Niezupełnie. Miałem jeszcze jeden cel.

— Można wiedzieć, jaki?

— Chciałem zobaczyć wyraz twarzy pewnej osoby, kiedy sir Charles dostał ataku.

— O kogo chodzi? — spytała ostro Egg.

— To już moja tajemnica.

— I udało się panu to spostrzec? — spytał Satterthwaite.

— Tak.

— I...?

Poirot nie odpowiedział. Tylko pokręcił głową.

— Nie powie nam pan, co pan zauważył?

— Zobaczyłem wyraz bezgranicznego zdumienia — odparł wolno detektyw.

Egg gwałtownie nabrała powietrza.

— Chce pan powiedzieć, że wie pan, kto jest mordercą?

— Może pani tak to ująć, *mademoiselle*.

— Ale w takim razie... w takim razie... wie pan wszystko?

Poirot zaprzeczył:

— Nie, przeciwnie. Nic nie wiem. Nie wiem mianowicie, dlaczego zabito Stephena Babbingtona. Póki wiem, że niczego nie mogę udowodnić, wiem tyle co nic. Wszystko sprowadza się do jednego: motywu zabójstwa pastora.

Zapukano do drzwi i wszedł goniec z telegramem na tacy.

Poirot otworzył telegram. Twarz mu się zmieniła. Pokazał tekst Cartwrightowi. Egg, pochylona nad ramieniem aktora, przeczytała na głos:

„Proszę przyjechać natychmiast mam ważne informacje o śmierci Strange’a Margaret Rushbridger”.

— Pani de Rushbridger! — wykrzyknął sir Charles. — Nie pomyliliśmy się. Ona ma jednak coś wspólnego z naszą sprawą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY DZIEŃ W GILLING

Rozgorzała gorąca dyskusja. Studiowano rozkład jazdy. Na koniec zdecydowano, że lepiej jechać rannym pociągiem niż samochodem.

— No, wreszcie uchylimy rąbka tajemnicy — rzekł sir Charles.

— Jak pan myśli, co się za tym kryje? — spytała Egg.

— Nie mam pojęcia. W każdym razie pojawi się jakieś światło w sprawie Babbingtona. Jeśli Tollie rozmyślnie zebrał całe towarzystwo, czego jestem zresztą pewien, to „niespodzianka”, którą szykował, ma jakiś związek z tą Rushbridger. Chyba możemy przyjąć takie założenie, *monsieur Poirot*?

Poirot był zakłopotany.

— Telegram jest pewną komplikacją — mruknął. — Trzeba się spieszyć. I to bardzo.

Satterthwaite nie widział powodu do takiego pośpiechu, ale nie oponował.

— Oczywiście, jedziemy pierwszym rannym pociągiem. Tylko... czy koniecznie wszyscy?

— Sir Charles i ja planowaliśmy wyprawę do Gilling — wtrąciła Egg.

— Można ją przełożyć — zauważył Cartwright.

— Nie powinniśmy niczego przekładać — zaprotestowała Egg. — Nie musimy jechać całą czwórką do Yorkshire. To bez sensu. *Monsieur Poirot* i pan Satterthwaite wybiorą się do Yorkshire, a my ruszymy do Gilling.

— Wolałbym trzymać rękę na pulsie w sprawie Rushbridger — westchnął sir Charles z odrobiną żalu w głosie; — Rozmawiałem już z siostrą przełożoną, maczałem, by tak rzec, w tym palce.

— Tym bardziej powinien pan się trzymać z daleka — zawyrokowała Egg. — Naopowiadał pan bajek i teraz, kiedy ta Rushbridger przyszła do siebie, wyjdzie pan na skończonego kłamcę. O wiele lepiej, żeby pan jechał do Gilling. Chcemy zobaczyć się z matką panny Milray. Z pracodawcą córki będzie szczerą, ma do pana zaufanie.

Sir Charles spojrzał w zarumienioną, poważną twarz Egg.

— Pojadę do Gilling — odparł. — Zapewne ma pani rację.

— Wiem, że mam rację.

— Doskonale rozwiązanie — żywo podchwycił Poirot. — Słusznie zauważyła *mademoiselle*, sir Charles jest pierwszą osobą do rozmowy z panią Milray. Kto wie, może odkryje pan fakty daleko większej wagi niż my w Yorkshire.

Decyzje zapadły. Nazajutrz rano, za piętnaście dziesiąta, sir Charles zajechał po Egg samochodem. Poirot i Satterthwaite opuścili Londyn wcześniej pociągiem.

Był cudowny poranek, powietrze rześkie, lekko mroźne. Egg z minuty na minutę czuła się lepiej. Samochód wykręcał na skrótach, które sir Charles odkrył na południe od Tamizy.

Wreszcie płynęli gładko szosą wiodącą do Folkestone. Za Maidstone sir Charles wyjął mapę. Zjechali teraz z głównej szosy i zaczęli toczyć się po bocznych wiejskich drogach. Za piętnaście dwunasta dotarli do celu.

Gilling było miasteczkiem zapomnianym przez Boga i ludzi. Stary kościół, plebania, parę sklepów, rząd domków, kilka nowych domów czynszowych i piękny zieleniec.

Matka panny Milray mieszkała w małym domku po przeciwnej stronie kościoła, za zieleńcem.

Kiedy podjechali pod dom, Egg spytała:

— Czy panna Milray wie o naszej wyprawie?

— Tak, uprzedziła matkę listownie, że przyjeżdżamy.

— Zastanawiam się, czy to dobre posunięcie.

— Czemu nie?

— Bo ja wiem... Nie wziął jej pan ze sobą.

— Prawdę mówiąc, celowo. Nie czuję się przy niej swobodnie. Jest o tyle bystrzejsza ode mnie! Nie wątpię, że podpowiadałaby mi, co mam mówić.

Egg wybuchnęła śmiechem.

Matka okazała się zupełnym, wręcz zabawnym, przeciwieństwem córki. Gdzie tamta była surowa, ta była łagodna, gdzie córka kanciasta, tam matka krągła. Pulchna jak pączek w maśle, starsza pani siedziała w fotelu, ustawionym tak, by z okna mogła wygodnie dojrzeć wszystko, co się dzieje na ulicy.

Była przyjemnie podniecona przybyciem gości.

— Jakże mi miło, sir Charles! Tyle o panu słyszałam od mojej Violet. — (Violet! Imię pasujące do panny Milray jak pieść do nosa). — Nawet pan nie wie, jak ona pana podziwia. Ile skorzystała przez te wszystkie lata pracując u pana! Proszę, niech pani siada, panno Lytton Gore. Wybacz państwu, że nie wstaję. Straciłam władzę w nogach wiele lat temu. Widać Bóg tak chciał, nie skarzę się, człowiek potrafi do wszystkiego się przyzwyczaić. Może napiliby się państwo czegoś po podróży?

Zarówno sir Charles, jak i Egg zaprotestowali, pani Milray nie zwróciła jednak na to uwagi. Klasnęła w ręce na wschodnią modłę i zaraz pojawiła się herbata i kruche ciasteczka. Chrupiąc ciasteczka i popijając herbatę sir Charles wyluszczał cel wizyty:

— Dotarli do pani zapewne wieści o tragicznej śmierci pana Babbingtona, który kiedyś był tutaj wikarym?

Pulchna pani Milray żywo skinęła głową.

— Tak, oczywiście. Czytałam w gazetach o ekshumacji. Kto mógł go otruć? Zupełnie sobie nie wyobrażam. To taki miły człowiek, tutaj wszyscy go lubili, i jego żonę, i dzieci.

— Właśnie, to wielce zagadkowe — przyznał sir Charles. — Wręcz beznadziejne. Sądziłiśmy, że może pani rzuci nam jakieś światełko.

— Ja? Ależ ja nie widziałam Babbingtonów... zaraz... chyba z piętnaście lat albo i więcej.

— Wiem. A nuż jednak jakiś fakt z przeszłości był przyczyną śmierci pastora?

— Zupełnie nie wiem, co by to być mogło. Żyli sobie cicho i spokojnie. Trudno im było, po prawdzie, związać koniec z końcem, co się dziwić, tyle dzieciarni.

Pani Milray miała najlepszą wolę, by wygrzebać coś z przeszłości, ale jej wspomnienia wiele nie wniosły.

Sir Charles pokazał jej powiększoną fotografię przedstawiającą Dacresów oraz wczesne zdjęcie Angeli Sutcliffe. A także niewyraźną podobiznę panny Wills wyciętą z jakiegoś pisma. Pani Milray obejrzała dokładnie wszystkie twarze, żadna jednak nie wydała jej się znajoma.

— Nikogo takiego sobie nie przypominam, po prawdzie, to już tyle lat... Jesteśmy małym miasteczkiem, ruch tu u nas niewielki. Córki doktora Agnew powychodziły za mąż, powyjeżdżały, a nasz obecny doktor jest kawalerem, ma młodego pomocnika. Panny Cayley — zawsze siedziały w kościele w wielkiej ławie — powymierały, już będzie dobry kawałek czasu. Dalej, Richardsonowie, on umarł, a ona wyjechała do Walii. No i są jeszcze inni mieszkańcy. Tutaj niewiele się zmienia. Moja Violet powiedziała by panu tyle co ja. Była wtedy młodą dziewczyną i często zachodziła na plebanię.

Sir Charles próbował wyobrazić sobie pannę Milray jako młodą dziewczynę, ale zupełnie mu to nie wyszło.

Spytał, czy pani Milray знаła kogoś nazwiskiem Rushbridger. Nie, żadnych skojarzeń nie miała.

W końcu Cartwright i Egg zabrali się do wyjścia.

Poszli na szybki lunch do baru. Sir Charles wzdychał co prawda do sutego posiłku w innym miejscu, Egg jednak upierała się, że tutaj może uda im się posłuchać miejscowych ploteczek.

— Może pan raz zjeść gotowane jajka z pieczywem — rzekła surowo. — Mężczyźni robią tyle ceregieli wokół jedzenia.

— Jajka działają na mnie deprymująco — tłumaczył się sir Charles potulnie.

Podająca im do stołu kobieta była dość gadatliwa. Ona również czytała o ekshumacji, co za historia, ich dawny wikary, wstrząsające! „Byłam wtedy dzieckiem — mówiła — ale świetnie go pamiętam”. Niewiele jednak mogła im o nim powiedzieć.

Po lunchu wybrali się do kościoła, by przejrzeć rejestry narodzin, ślubów i zgonów. I znowu nic, co mogłoby naprowadzić na jakiś trop.

Wyszli na dziedziniec przed kościołem. Ociągali się z odejściem. Egg czytała napisy na grobach.

— Jakie dziwaczne nazwiska. Niech pan spojrzy, tu cała rodzina Stavepenny, a tam Mary Ann Sticklepath.

— Na pewno nie tak dziwne jak moje — mruknął sir Charles.

— Cartwright wcale nie brzmi dziwnie.

— Nie chodzi mi o Cartwrighta. To mój pseudonim sceniczny, który ostatecznie przyjąłem jako nazwisko.

— A prawdziwe?

— Nie mogę zdradzić. To mój wstydlivy sekret.

— Czy jest aż tak okropne?

— Nie tyle okropne co humorystyczne.

— Och, niech pan mi powie.

— Na pewno nie — rzekł stanowczo sir Charles.

— Proszę!

— Nie!

— A dlaczego?

— Będzie się pani śmiała.

— Nie będę.

— Nie powstrzyma się pani.

— Och, proszę mi powiedzieć. Bardzo proszę.

— Jakie z pani uparte stworzenie, Egg. Dlaczego tak pani na tym zależy?

— Bo nie chce mi pan powiedzieć.

— Moje ty urocze dziecko! — rzekł mięknięc sir Charles.

— Nie jestem dzieckiem.

— Doprawdy?

— Niech pan mi powie — szepnęła prosząco Egg. Na twarzy sir Charlesa pojawił się pocieszny, zawstydzony uśmiezek.

— Niech już będzie. Nazwisko mojego ojca brzmiało Mugg*.

— Serio?

— Całkiem serio.

— Tak... To brzmi dość katastrofalnie. Iść przez życie jako Mugg...

— Nie pomogłoby mi w karierze, to pewne. Pamiętam — mówił w zamyśleniu — kiedy byłem młodym aktorem, chciałem przybrać nazwisko Ludovic Castiglione. W końcu zdecydowałem się na Charlesa Cartwrighta.

— A Charles, to prawdziwe imię?

* ang. Niezdara.

— Takie otrzymałem na chrzcie. — Zawahał się i dodał: — Nie jestem dla ciebie sir, mów mi po prostu Charles.

— Czemu nie.

— Tak jak wczoraj. Kiedy myślałaś, że nie żyję.

— Och, wtedy! — Egg starała się przybrać nonszalancki ton.

Sir Charles rzekł raptownie:

— Egg, tak czy owak, to morderstwo wydaje się zupełnie nierealne. Zwłaszcza dzisiaj. Coś zupełnie nierzeczywistego. Chciałem wyjaśnić pewną sprawę przed... przed wszystkim innym. Byłem przesądny. Łączyłem powodzenie w rozwikłaniu zagadki z... z innego rodzaju powodzeniem. Och, czemuż u licha, tak się płacze? Zbyt często odgrywałem miłość na scenie, w życiu jestem nieśmiały jak sztubak... Powiedz, Egg, ja czy Manders? Muszę wiedzieć. Wczoraj myślałem, że jednak ja...

— I słusznie...

— Najdroższa! — zawołał.

— Charles, Charles, nie wolno się całować przed kościołem.

— Będę całował cię tam, gdzie mi się spodoba.

— I nic nie odkryliśmy — stwierdziła Egg, kiedy mknęli szosą w kierunku Londynu.

— Jak to? Odkryliśmy jedynie ważną rzecz. Co mnie obchodzą zmarli duchowni czy lekarze? Tylko ty się liczysz. Kochanie, jestem trzydzieści lat starszy od ciebie. Jesteś pewna, że to ci nie przeszkadza?

Egg uszczypnęła go delikatnie.

— Nie bądź niemądry... Ciekawa jestem, czy nasi panowie coś odkryli.

— A niech sobie odkrywają, szczęść im Boże — rzekł wspaniałomyślnie sir Charles.

— Nie poznaję cię, Charles, byłeś tak zapalony. Ale sir Charles nie grał już roli wielkiego detektywa.

— Moje przedstawienie skończone. Przekazałem pałeczkę Wąsalowi. Teraz to jego sprawa.

— Myślisz, że on naprawdę wie, kto zabił? Twierdził, że tak.

— Podejrzewam, że nie ma zielonego pojęcia, tylko musi podtrzymać swą reputację.

Egg milczała.

— O czym myślisz, kochanie? — zagadnął sir Charles.

— Myślałam o pannie Milray. Tak dziwnie się zachowywała, kiedy spotkałam ją wtedy wieczorem. Pamiętasz, opowiadałam ci. Kupiła gazetę z wiadomością o ekshumacji i powiedziała tylko, że nie wie, co zrobić.

— Bzdura — rzekł pogodnie Cartwright. — Ta kobieta zawsze wie, co zrobić.

— Nie żartuj, Charles. Była bardzo zmartwiona.

— Egg, kochanie, co mi tam zmartwienia panny Milray! Nic mnie nie obchodzi, poza tobą i mną.

— Lepiej uważaj na przejazd. Nie chciałabym owdowieć, zanim wyjdę za mąż.

Zajechali do sir Charlesa na podwieczorek. Panna Milray wyszła im na powitanie.

— Jest do pana telegram.

— Dziękuję. — Zaśmiał się nerwowo jak uczeń. — Panno Milray, mam dla pani nowinę. Panna Lytton Gore i ja zamierzamy się pobrać.

Panna Milray nie od razu odpowiedziała.

— Och! — rzekła po chwili. — Jestem pewna... na pewno będziecie państwo bardzo ze sobą szczęśliwi.

W jej głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Egg zauważyła to, lecz zanim zdążyła otworzyć usta, Cartwright obrócił się ku niej z okrzykiem.

— O Boże! Spójrz, Egg. To od Satterthwaite'a. — I podsunął jej tekst.

Przeczytawszy telegram szeroko otworzyła oczy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY PANI DE RUSHBRIDGER

Przed udaniem się na stację Poirot i Satterthwaite odbyli krótką rozmowę z panną Lyndon. Sekretarka Strange'a miała najlepsze chęci, nic istotnego jednak nie powiedziała. Przypadek pani de Rushbridger opisany był w księdze chorych sir Bartholomewa z czysto lekarskiego punktu widzenia. Doktor zawsze mówił o niej tak, jak lekarz mówi o pacjentce, nic ponadto. W lecznicy zjawili się około dwunastej. Drzwi otworzyła im zarumieniona i wyraźnie podniecona pokojówka. Satterthwaite zapytał najpierw o siostrę przełożoną.

— Nie wiem, czy będzie mogła teraz panów przyjąć — zauważyła dziewczyna z powątpiewaniem.

Satterthwaite wyjął wizytówkę i napisał na niej kilka słów.

— Proszę jej to doręczyć.

Zaprowadzono ich do niewielkiej poczekalni. Po kilku minutach w drzwiach stanęła siostra przełożona. Nie była to już ta sama co poprzednio żywa, energiczna kobieta.

Satterthwaite wstał i przemówił:

— Nie wiem, czy pani mnie sobie przypomina. Byłem tu wraz z sir Charlesem Cartwrightem zaraz po śmierci sir Bartholomewa Strange'a.

— Oczywiście, pamiętam pana. Sir Charles pytał wtedy o panią de Rushbridger, cóż za zbieg okoliczności.

— Pozwoli pani, *monsieur* Herkules Poirot.

Poirot uklonił się, siostra odpowiedziała na jego ukłon z roztargnieniem.

— Zupełnie nie rozumiem — ciągnęła — jakim sposobem otrzymali panowie ten telegram. Tajemnicza sprawa. Chyba nie jest powiązana ze śmiercią naszego pana doktora? Jakiś szaleniec, nie widzę innego wytłumaczenia. To wszystko takie okropne, policja, i w ogóle.

— Policja? — zdumiał się Satterthwaite.

— Tak, kręcą się tu przecież od dziesiątej rano.

— Policja? — zapytał z kolei Poirot.

— Czy możemy zobaczyć się teraz z panią de Rushbridger? Skoro nas o to prosiła... — rzekł Satterthwaite.

Siostra przerwała mu gwałtownie.

— Och, pan nic nie wie, panie Satterthwaite!

— Co się stało? — ostro spytał Poirot.

— Biedna pani de Rushbridger. Nie żyje.

— Nie żyje? — krzyknął Poirot. — *Mille tonnerres!* Teraz rozumiem. Tak, teraz rozumiem. Powinienem był przewidzieć... — Urwał na moment. — W jaki sposób umarła?

— To bardzo dziwna sprawa. Otrzymała pudełko czekoladek, przesyłką pocztową. Zjadła jedną, musiała być ohydna, ale ją połknęła, pewnie z rozpędu. Człowiek nie lubi wypluwać, jak już coś ma w ustach.

— *Oui, oui*, a jeśli płyn dostanie się do gardła, wypluć się nie da.

— Więc połknęła czekoladkę i krzyknęła, przybiegła pielęgniarzka, ale nic się nie dało zrobić. Zmarła w dwie minuty. Lekarz wezwał policję, zbadano czekoladki. Górna warstwa była spreparowana, te na dole w porządku.

— Jaka trucizna?

— Zdaje się nikotyna.

— Znowu nikotyna — rzekł Poirot. — Co za cios. Co za zuchwały cios!

— Przybyliśmy za późno — westchnął Satterthwaite. — Nigdy się nie dowiemy, jaki sekret chciała nam powierzyć. Chyba że... chyba że zdradziła go komuś innemu? — I spojrział pytająco na siostrę przełożoną.

Poirot pokręcił głową.

— Nie było tu żadnych zwierzeń, sam pan się przekona.

— Możemy popytać. A nuż pielęgniarki coś wiedzą?

— Niech pan pyta — odparł Poirot, ale głos jego nie brzmiał zachęcająco.

Satterthwaite zwrócił się do siostry, która natychmiast wezwała dwie pielęgniarki, dzienną i nocną, opiekujące się panią de Rushbridger. Żadna z nich nic nie wiedziała. Pani de Rushbridger nigdy nie wspomniała o śmierci sir Bartholomewa, a one nie miały pojęcia, że wysyłano telegram.

Na prośbę Poirota zaprowadzono ich do pokoju zmarłej. Działał tam nadinspektor Crossfield i Satterthwaite dokonał prezentacji.

Podeszli do łóżka, na którym spoczywało ciało. Zmarła miała koło czterdziestu lat, była ciemnowłosa i blada. Na jej twarzy nie malował się spokój, wciąż widoczne były ślady agonii.

— Biedactwo — powiedział wolno Satterthwaite. Spojrzał na Poirota. Twarz Belga miała niesamowity wyraz. Było w niej coś takiego, że Satterthwaite'a przeszedł dreszcz. Rzekł:

— Ktoś wiedział, że zacznie mówić, i ją zabił. Zabił ją, żeby temu zapobiec.

Poirot przytaknął.

— Tak, dokładnie.

— Zamordowano ją, by nie mogła nam powiedzieć tego, co wiedziała.

— Lub tego, czego nie wiedziała... Nie traćmy czasu... Jest wiele do zrobienia. Żadnych więcej śmierci. Naszym obowiązkiem jest tego dopilnować.

— A co z pana koncepcją osoby mordercy? Czy to wszystko do niej pasuje? — spytał zaciekawiony Satterthwaite.

— Tak, pasuje. Wiem teraz jedno, morderca jest groźniejszy, niż sądziłem. Musimy być ostrożni.

Nadinspektor Crossfield wyszedł z pokoju razem z Satterthwaite'em i Poirotem, którzy opowiedzieli mu o telegramie. Depesza została wysłana z poczty w Melfort, a nadał ją jakiś mały chłopiec. Panienska na poczcie zapamiętała ten fakt, zaintrygowana treścią przekazu, gdyż była w nim mowa o śmierci sir Bartholomewa Strange'a.

Satterthwaite i Poirot zjedli lunch w towarzystwie nadinspektora, wysłali telegram do sir Charlesa i podjęli na nowo śledztwo.

O szóstej wieczór odnaleziono chłopca, który wysłał depeszę. Opowiedział pokrótce przebieg wypadków. Telegram dostał od jakiegoś obdartusa, który mówił mu, że to od „jednej pomyłonej” z „domu w parku”. Spuściła telegram zawinięty w dwie półkoronówki przez okno. Facet nie chciał być zamieszany w żadną nieprzyjemną aferę, poza tym było mu nie po drodze, dał więc chłopcu dwa funty, mówiąc, żeby zatrzymał resztę.

Przystąpiono do poszukiwań mężczyzny. Na razie nie było nic więcej do zrobienia i obaj panowie postanowili jechać.

Była prawie północ, kiedy znaleźli się w Londynie. Egg wróciła już do matki, ale sir Charles spotkał się z nimi, by omówić sytuację.

— *Mon ami* — rzekł Poirot. — Proszę mnie posłuchać. Tylko jedna rzecz potrafi rozwiązać tę zagadkę — małe szare komórki. Jeżdżenie w tę i z powrotem po Anglii, uganianie się za ludźmi w nadziei, że powiedzą nam coś, na co czekamy — wszystko to metody amatorskie i bez sensu. Prawdę można tylko zobaczyć od wewnątrz.

Sir Charles spojrział na niego sceptycznie.

— Co zamierza pan robić?

— Myśleć. Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny na myślenie.

— Czy myślenie da panu odpowiedź na pytanie, co ta kobieta chciała nam powiedzieć?
— Mam nadzieję.

— Trudno w to uwierzyć. Ale w końcu musi pan postępować po swojemu. Może pan potrafi rozwikłać te zagadkę, ja nie. Jestem pobity, przyznaje. Zresztą, mam teraz co innego w głowie.

Jeśli spodziewał się dopytywać, rozczarował się. Pan Satterthwaite co prawda rzucił mu czujne spojrzenie, lecz Poirot nie zwrócił uwagi, zatopiony w zadumie.

— Pora na mnie — rzekł aktor. — Aha, jeszcze jedno. Martwię się o pannę Wills.

— Co się z nią dzieje?

— Wyjechała.

— Wyjechała? Dokąd? — zdumiał się Poirot.

— Nikt tego nie wie. Kiedy otrzymałem od pana telegram, postanowiłem wszystko przemyśleć. Mówiłem już panu, jestem przekonany, że ta kobieta coś przed nami zataiła. Chciałem spróbować raz jeszcze ją podejść i coś z niej wydobyć. Pojechałem do niej koło wpół do dziesiątej. Kiedy o nią spytałem, powiedziano mi, że udała się dziś rano na jeden dzień do Londynu, tak w każdym razie mówiła. Wieczorem przysłała telegram, żeby się nie niepokoić, bo zostanie jeszcze dzień lub dwa.

— A niepokojono się?

— Chyba tak. Widzi pan, nie wzięła żadnego bagażu.

— Dziwne — mruknął Poirot.

— Właśnie. Wygląda na to, że... Nie wiem. Boję się o nią.

— Ostrzegałem ją. Ostrzegałem wszystkich. Pamięta pan, co mówiłem? „Proszę mówić teraz”.

— Tak, tak. Sądzi pan, że ona także...?

— Mam swoje zdanie — odparł Poirot — lecz na razie wolałbym go nie ujawniać.

— Najpierw kamerdyner Ellis, teraz panna Wills? Gdzie jest Ellis? Nie do wiary, że policji nie udało się trafić na jego ślad.

— Nie szukali ciała tam, gdzie trzeba.

— A więc zgadza się pan z Egg. Uważa pan, że Ellis nie żyje.

— Żywego Ellisa nigdy już nie zobaczymy.

— Boże! — wybuchnął sir Charles. — To jakaś zmora — wszystko razem jest kompletnie niezrozumiałe.

— Przeciwnie. Jest jasne i logiczne. Sir Charles wytrzeszczył oczy.

— Tak pan uważa?

— Niewątpliwie. Widzi pan, ja mam uporządkowany umysł.

— Nie rozumiem pana.

Satterthwaite też patrzył na małego Belga z pytaniem w oczach.

— A jaki ja mam umysł? — spytał sir Charles lekko urażony.

— Pan ma umysł aktora, sir Charles, twórczy, oryginalny, dopatrujący się zawsze dramatycznych wartości. Nasz przyjaciel, pan Satterthwaite, ma umysł widza, obserwuje ludzi, wyczuwa nastroje. Ja natomiast mam umysł prozaiczny. Widzę gołe fakty, bez dramatycznych ozdób, bez dekoracji.

— Mamy więc pana zostawić?

— Taką mam prośbę. Na dwadzieścia cztery godziny.

— A zatem powodzenia. Dobranoc.

Kiedy pożegnali się z Poirotem, sir Charles rzekł do Satterthwaite'a:

— Ma o sobie wielkie mniemanie. Głos miał dość chłodny.

Satterthwaite uśmiechnął się pod nosem. Gwiazda! O to chodzi. Zapytał:

— Co pan miał na myśli mówiąc, że ma pan teraz co innego w głowie?

Na twarzy sir Charlesa pojawił się ów barani wyraz, który Satterthwaite znał tak dobrze ze ślubów na Hanover Square.

— No wiec, prawdę powiedziawszy... Ja... Egg i ja...

— Wspaniała nowina — rzekł Satterthwaite. — Moje gratulacje.

— Oczywiście jestem dla niej o wiele za stary.

— Ona tak nie uważa, a jest w tym najlepszym sędzią.

— Bardzo pan miły. Wie pan, wbiłem sobie do głowy, że ona kocha się w Mandersie.

— Ciekaw jestem, co pana skłoniło do takiej opinii — zauważył niewinnie Satterthwaite.

— W każdym razie — stwierdził stanowczo sir Charles — tak nie jest.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

PANNA MILRAY

Dwadzieścia cztery godziny spokoju, których domagał się Poirot, zostały zakłócone.

Nazajutrz rano, kwadrans po jedenastej wkroczyła bez uprzedzenia Egg. Ku jej zdumieniu wielki detektyw zajęty był budowaniem domków z kart. Spojrzała na niego z taką pogardą, że zmuszony był powiedzieć coś na swoją obronę.

— Nie, nie zdzieciniałem na stare lata, *mademoiselle*. Widzi pani, budowanie domków z kart to rzecz bardzo pobudzająca dla szarych komórek. Mam ten zwyczaj od lat. Pierwsze, co zrobiłem dziś rano: wyszedłem zakupić talię kart. Co prawda przez pomyłkę sprzedano mi nieprawdziwe karty. Ale to nie szkodzi i te się nadają.

Egg przyjrzała się uważnie konstrukcji na stole. Wybuchnęła śmiechem.

— O rety, sprzedano panu „Szczęśliwą Rodzinkę”.

— Cóż to za „Szczęśliwa Rodzinka”?

— Taka gra. Dla dzieci w przedszkolu.

— Aha. To nic. Domki stawia się dokładnie tak samo. Egg wzięła do ręki kilka kart i spoglądała na nie z rozczuleniem.

— Pan Bułeczka, syn piekarza, zawsze go uwielbiałam. A tu mamy panią Mug, żonę mleczarza. Och Boże, to właśnie ja.

— Czemu ten zabawny obrazek miałby przedstawiać panią, *mademoiselle*?

— Z powodu nazwiska.

I pękając ze śmiechu na widok zmieszanej twarzy Poirota, wszystko mu opowiedziała.

— Ach, więc o to mu chodziło wczoraj wieczorem — rzekł Poirot, kiedy skończyła. — Mug, tak, tak, w slangu tak się określa oferme, czyż nie? Oczywiście zmieniałaby pani nazwisko. Chyba nie chciałyby pani zostać lady Mugg?

Egg znów się zaśmiała i rzekła:

— Nie życzy mi pan szczęścia?

— Życzę, życzę, a jakże. Nie krótkotrwałego szczęścia młodości, ale trwałego szczęścia, szczęścia, które się wznosi na skale.

— Powiem Charlesowi, że nazywa go pan skalą. A teraz do rzeczy. Wie pan, co mnie tu sprowadza? Zamartwiałam się tym wycinkiem z gazety, co wypadł Oliverowi z portfela, a który panna Wills podniosła i mu oddała. Pomyślałam sobie, że albo Oliver jest bezczelnym kłamcą twierdząc, że nie pamięta wycinka, albo że nigdy go nie widział na oczy. Wypadł mu jakiś papierek, a ta kobieta udawała, że to informacja o nikotynie.

— Dlaczego miałyby tak postąpić, *mademoiselle*?

— Chciała się pozbyć wycinka. Podrzucić go Oliverowi.

— Pani zdaniem to ona zabiła?

— Tak.

— Jaki miała motyw?

— Proszę mnie o to nie pytać. Mogę tylko podejrzewać, że jest maniaczką. Zdolni ludzie są zawsze trochę zwariowani. Nie widzę innej możliwości, zresztą u nikogo nie widać motywu.

— Na pewno jesteśmy w impasie. Nie proszę pani o podanie motywu, rzecz jasna. To pytanie sobie zadaje bezustannie. Jaki motyw miał morderca zabijając pana Babbingtona? Kiedy rozwiąże te kwestie, zagadka będzie rozwikłana.

— A nie myśli pan, że za tym kryje się po prostu obłąd...? — zasugerowała Egg.

— Nie, *mademoiselle*, nie obłąd w pani rozumieniu. Jest powód. Musze go odkryć.

— To do widzenia. Przepraszam, że panu przeszkodziłam. Tak mi to przyszło do głowy. Musze lecieć. Wybieramy się z Charlesem na próbę generalną sztuki panny Wills *A piesek się śmieje*. Wie pan, tej, co napisała dla Angeli Sutcliffe. Jutro premiera.

— *Mon Dieu!* — wykrzyknął Poirot.

— Co takiego? Coś się stało?

— Tak, rzeczywiście coś się stało. Myśl. Genialna myśl. Byłem ślepy, ślepy...

Egg gapła się na niego w zdumieniu. Poirot opanował się zdając sobie sprawę, że wygląda na dziwaka. Poglaskał ją po ramieniu.

— Uważa pani, że mam bzika. Wcale nie. Słyszałem, co pani mówiła. Wybiera się pani do teatru na sztukę *A piesek się śmieje*, w której gra Angela Sutcliffe. Niech pani idzie i zapomni o moich słowach.

Egg wyszła zdezorientowana. Zostawszy sam, Poirot zaczął przemierzać pokój wzdłuż i wszerz, mrużąc pod nosem. Oczy świeciły mu zielonym blaskiem, jak u kota.

— *Mais oui*, to wszystko tłumaczy. Dziwny motyw, bardzo osobliwy, nigdy dotąd z takim się nie zetknąłem, a jednak jest logiczny, a zważywszy na okoliczności — naturalny. Wszystko razem, bardzo osobliwe.

Podszedł do stołu, gdzie stał domek z kart. Jednym ruchem ręki zmiotł karty.

— „Szczęśliwa Rodzinka” nie jest mi już potrzebna. Zagadka rozwiązana. Teraz pora na działanie.

Schwycił kapelusz i włożył płaszcz. Zszedł na dół. Portier zawołał taksówkę. Poirot podał kierowcy adres sir Charlesa.

Przybył na miejsce. Zapłacił za taksówkę, wysiadł i wszedł do hallu. Portiera nie było, pojechał windą do góry. Poirot ruszył po schodach. Kiedy znalazł się na drugim piętrze, otwarły się drzwi do mieszkania sir Charlesa i wyszła panna Milray.

Na widok Poirota podskoczyła.

— Pan?

Poirot rzekł z uśmiechem:

— We własnej osobie, czy tak się mówi? *Enfin, moi*.

Panna Milray powiedziała:

— Niestety nie zastał pan sir Charlesa. Poszedł do teatru z panną Lytton Gore, do Babylon Theatre.

— Nie przyszedłem do sir Charlesa. Chyba zostawiłem tu laskę.

— Ach, być może. Proszę zadzwonić. Temple się tym zajmie. Przepraszam, ale się spieszę. Mam zaraz pociąg. Jadę do Kentu, do matki.

— Rozumiem. Nie chciałbym pani zatrzymywać, *mademoiselle*.

Usunął się na bok, a panna Milray zaczęła szybko schodzić po schodach. W rękę trzymała małą walizeczkę.

Kiedy zniknęła, Poirot jakby zapomniał, po co przyszedł. Zamiast iść do drzwi, zawrócił na dół. Gdy znalazł się przy wyjściu, zobaczył, jak panna Milray wsiada do taksówki. Inna taksówka jechała wolno wzdłuż krawężnika. Poirot uniósł rękę, taksówka zatrzymała się. Wsiadł i kazał kierowcy jechać za pierwszym samochodem.

Nie zdziwił się, że panna Milray kieruje się na północ i wysiada przy Paddington Station, choć stąd nie odjeżdżają pociągi w kierunku Kentu. Poirot udał się do okienka z biletami pierwszej klasy i kupił bilet powrotny Londyn–Loomouth. Pociąg ruszał za pięć minut. Poirot postawił wysoko kołnierzyk płaszcza, dzień był bowiem chłodny, i usadowił się w kącie przedziału pierwszej klasy.

Do Loomouth przyjechali około godziny piątej. Zaczynało się ściemniać. Poirot, stojąc w bezpiecznej odległości, słyszał, jak bagażowy na małej stacyjce wita się serdecznie z panną Milray.

— Nie spodziewaliśmy się pani. Czy sir Charles też się pojawi?

Odparła:

— Ta podróż wypadła mi nagle. Wracam jutro rano. Muszę zabrać parę rzeczy. Nie, nie wezmę taksówki. Pójdę skalną ścieżką.

Robiło się coraz ciemniej. Panna Milray podchodziła szybko stromą zygzakowaną dróżką, a za nią, daleko z tyłu, skradał się cicho jak kot Herkules Poirot. Doszedłszy do „Kruczego Gniazda” panna Milray wyjęła klucze z torebki i weszła do domu bocznymi drzwiami, zostawiając je uchylone. Po chwili pojawiła się. W ręku trzymała zardzewiały klucz i latarkę. Poirot skrył się za krzakiem.

Obeszła dom. Zaczęła wspinać się pod górę zarośniętą ścieżką. Mały Belg podążał za nią. Panna Milray pięła się i pięła, aż dotarła nagle do starej kamiennej wieży, jakie często spotyka się w tej części wybrzeża. Wieża była niewielka i zniszczona, w brudnym oknie wisiała zasłona. Panna Milray włożyła klucz w zamek wielkich drewnianych drzwi.

Klucz zazgrzytał opornie. Drzwi jęknęły w zawiasach. Panna Milray weszła do środka z latarką w ręku.

Poirot przyspieszył kroku, by ją dogonić. Bezszelestnie przekroczył próg. Światło latarki pełzało po szklanych retortach, palniku Bunsena, rozmaitej aparaturze.

Panna Milray wzięła do ręki łom. Kiedy uniosła go nad szklanym urządzeniem, ktoś schwycił ją za ramie. Wstrzymała oddech i odwróciła się.

Ujrzała zielone, kocie oczy Poirota.

— Nie może pani tego zrobić, *mademoiselle* — rzekł. — To, co pani chce zniszczyć, stanowi dowód.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

KURTYNA

Herkules Poirot siedział w wielkim fotelu. Boczne światła zostały wyłączone i tylko lampa z różowym abażurem rzucała blask na jego drobną postać. Obraz był niejako symboliczny: oświetlona samotna figurka i pozostali — sir Charles, pan Satterthwaite oraz Egg Lytton Gore, czyli publiczność — siedzący poza kręgiem światła, w półmroku.

Głos Belga brzmiał sennie. Wydawało się, że mówi raczej w przestrzeń niż do słuchaczy.

— Jaki jest cel detektywa? Zrekonstruować zbrodnię. Jak to zrobić? Ułożyć fakty, jeden na drugim, dokładnie tak, jak buduje się domki z kart. A jeśli fakty nie pasują do siebie, innymi słowy, gdy jakaś karta się zachwieje, trzeba zaczynać wszystko od początku, inaczej domek runie.

Jak mówiłem, istnieją różne typy umysłu. A więc umysł dramatyczny, czyli przetwarzający rzeczywistość za pomocą najróżniejszych środków; jest też umysł podatny na dramatyczne wydarzenia i romantyczny umysł młodości. I wreszcie, drodzy przyjaciele, jest umysł prozaiczny, czyli taki, który nie ogląda się na błękit morza i krzewy mimozy, lecz widzi ukrytą stronę dekoracji scenicznej.

A teraz, *mes amis*, przejdźmy do śmierci wielebnego Stephena Babbingtona. Tamtego sierpniowego wieczora sir Charles Cartwright wysunął przypuszczenie, że pastor został zamordowany. Nie zgodziłem się z nim. Wątpiłem, po pierwsze, że taki człowiek w ogóle może paść ofiarą zbrodni, po drugie, że w tamtych okolicznościach udałoby się podać truciznę konkretnej osobie.

Teraz przyznaję, że racje miał sir Charles, ja byłem w błędzie. Myliłem się, patrzyłem bowiem na zbrodnię z zupełnie fałszywego punktu widzenia. Dopiero dwadzieścia cztery godziny temu, nagle, spojrzałem na wszystko pod zupełnie innym kątem, tym razem właściwym, i zabójstwo pastora ujrzałem jako logiczne i możliwe.

Zostawmy jednak na razie tę kwestię i prześledźmy, krok po kroku, drogę, jaką przeszedłem. Śmierć Stephena Babbingtona nazwałbym pierwszym aktem dramatu. Zapadła nań kurtyna, kiedy wyjechaliśmy z „Kruczego Gniazda”.

Drugi akt rozpoczął się w Monte Carlo, gdy pan Satterthwaite pokazał mi gazetę z wiadomością o śmierci sir Bartholomeusza. Stało się oczywiste, że sir Charles miał racje, nie ja. Zarówno Stephen Babbington, jak i sir Bartholomew Strange zostali zamordowani i oba morderstwa stanowią jedną i tę samą zbrodnię. Później doszła trzecia śmierć — pani de Rushbridger. Potrzebujemy zatem logicznej teorii, opartej na zdrowym rozsądku, która pokazałaby nam nić łączącą ze sobą te trzy morderstwa. Innymi słowy, wszystkie trzy popełnił jeden i ten sam człowiek w jakimś określonym celu.

Wyznam, iż trapił mnie fakt, że śmierć sir Bartholomeusza Strange'a nastąpiła po śmierci Stephena Babbingtona. Rachunek prawdopodobieństwa wynikający z owych trzech morderstw, popełnionych w różnym miejscu i czasie, wskazywał bezsprzecznie na to, że zabójstwo sir Bartholomeusza było zbrodnią centralną, podstawową, a tamte dwa miały charakter drugorzędny, były wynikiem powiązań obu ofiar z doktorem. Ale cóż, nie można mieć takiej zbrodni, jakiej by sobie człowiek życzył, już to mówiłem. Pan Babbington zginął pierwszy, a sir Bartholomew drugi. Wydawało się więc, że druga zbrodnia powinna wpływać z pierwszej i że w pierwszej należy poszukiwać klucza zagadki.

Przyznam, bardzo silnie skłaniałem się ku teorii prawdopodobieństwa, do tego stopnia, iż poważnie brałem pod uwagę możliwość popełnionej omyłki. Czyżby sir Bartholomew miał być pierwszą ofiarą, a Babbington został otruty zamiast doktora? Musiałem jednak zarzucić ten trop. Każdy, kto znał bliżej Strange'a, wiedział, że nie znosił on cocktailów.

Albo inne przypuszczenie: czy Stephena Babbingtona otruto przez pomyłkę w miejsce jakiegoś innego gościa obecnego na przyjęciu w „Kruczym Gnieździe”? Nic nie potwierdzało takiej hipotezy. Nie było rady, wróciłem do teorii celowego morderstwa na osobie pastora i natychmiast utknąłem, jako że, pozornie, taka rzecz wydawała się całkowicie niemożliwa.

Zawsze należy rozpoczynać śledztwo od najprostszych i najbardziej oczywistych założeń. Przyjmując za podstawę fakt, że Stephen Babbington wypił zabójczy cocktail, zastanawiałem się, kto miał sposobność ten cocktail zatruć. Wydawało mi się z początku, że mogły tego dokonać tylko dwie osoby (te, które podawały trunki): gospodarz oraz pokojówka Temple. Tak, oboje mogli wlać truciznę do szklanki, ale żadne z nich nie miało okazji podania tego, a nie innego cocktailu pastorowi. Temple ostatecznie mogła to zrobić zręcznie manipulując tacą, tak by podsunąć mu ostatnią szklankę (trudne, ale wykonalne). Sir Charles z kolei mógł rozmyślnie chwycić właściwą szklankę i wręczyć ją starszemu. Tak, ale nic takiego nie miało miejsca. Wyglądało na to, że przypadek i tylko przypadek skazał pana Babbingtona na zatruty cocktail.

Sir Charles i Temple zajmowali się podawaniem drinków w „Kruczym Gnieździe”. Czy któreś z nich było na party w „Melfort Abbey”? Nie. Kto miał najwięcej możliwości manipulowania kieliszkiem porto sir Bartholomewa? Zbiegły kamerdyner Ellis oraz pomagająca mu pokojówka. Tutaj nie można jednak wykluczyć jednego z gości. Każdy mógł wślizgnąć się do jadalni i wlać nikotynę do wina. Ryzykowne, ale możliwe.

Kiedy przybyłem do „Kruczego Gniazda”, lista gości obecnych na obu przyjęciach była już gotowa. Mogę teraz zdradzić, że z miejsca odrzuciłem cztery pierwsze osoby z listy — państwa Dacresów, pannę Sutcliffe i pannę Wills.

Niemożliwe, by ktoś z tej czwórki wiedział wcześniej, że spotka Stephena Babbingtona w „Kruczym Gnieździe”. Użycie nikotyny wskazywało na starannie przygotowany plan, to nie jest rzecz, którą wymyśla się na poczekaniu.

Na liście znalazły się jeszcze trzy osoby — lady Mary Lytton Gore, panna Lytton Gore i pan Oliver Manders. Ta trójka, choć mało prawdopodobna, wchodziła w grę. To ludzie miejscowi, każdy z nich mógł mieć jakiś motyw usunięcia pastora, a wieczór w „Kruczym Gnieździe” wybrać na dzień akcji. Ale cóż, nie udało mi się znaleźć żadnego na to dowodu.

Pan Satterthwaite, który chyba rozumował podobnie jak ja, skupił swe podejrzenia na Oliverze Mandersie. Przyznaje, że młody Manders był najmocniejszym kandydatem. Oznaki ostrego nerwowego napięcia na party u sir Charlesa, nieco skrzywione spojrzenie na życie wynikające z jego własnych problemów, silny kompleks niższości (częsta przyczyna wielu zbrodni), niezrównoważenie związane z wiekiem, kłótnia z pastorem, w każdym razie ujawnienie wrogich wobec niego uczuć. Następnie — tajemnicze okoliczności jego przyjazdu do „Melfort Abbey”. Jego niewiarygodna opowieść o liście sir Bartholomewa. Na koniec świadectwo panny Wills o wycinku z gazety na temat nikotyny.

A zatem Oliver Manders był niewątpliwie osobą, która powinna stać na czele siódemki podejrzanych.

I wtedy, drodzy przyjaciele, doznałem dziwnego uczucia. Wydawało się oczywiste i logiczne, że mordercą jest osoba obecna przy obu wydarzeniach, innymi słowy, osoba z siódemki na liście. Miałem jednak uczucie, że ta bezsporność jest zaaranżowana. Po prostu, każdy zdrowo i logicznie myślący człowiek musi nabrać takiego przekonania. Ja miałem uczucie, że patrzę nie na rzeczywistość, ale na chytrze spreparowaną scenę. Prawdziwie zręczny przestępca wiedziałby przecież, że każdy, kto będzie na liście, znajdzie się automatycznie w kręgu podejrzanych; a zatem, jego, lub jej, na tej liście być nie powinno.

Mówiąc inaczej, morderca Stephena Babbingtona i sir Bartholomewa Strange’a był faktycznie na obu przyjęciach, choć pozornie na nich nie był.

Kto uczestniczył w pierwszym spotkaniu, a na drugim był nieobecny? Sir Charles Cartwright, pan Satterthwaite, panna Milray i pani Babbington.

Kto z tej czwórki mógł, pod inną postacią, znaleźć się na drugim party? Sir Charles i pan Satterthwaite byli na południu Francji, panna Milray znajdowała się w Londynie, a pani Babbington w Loomouth. Należałoby więc wskazać na pannę Milray lub panią Babbington. Czy jednak nikt w „Melfort Abbey” nie rozpoznałby panny Milray? Ma ona bardzo charakterystyczne rysy, niełatwo je zamaskować, trudno zapomnieć. Wykluczone, aby nikt jej nie rozszyfrował. Jak również pani Babbington.

A pan Satterthwaite i sir Charles? Czy ich także by nie rozpoznano? Mało prawdopodobne, jeśli idzie o pana Satterthwaite’a. Sir Charles Cartwright to co innego. Sir Charles jest aktorem, grę ma we krwi. Jaką rolę mógłby tutaj odegrać?

I wtedy zacząłem rozważać osobę kamerdynera Ellisa.

Tajemnicza postać ten Ellis. Człowiek, który pojawił się znikąd na dwa tygodnie przed zbrodnią i zniknął jak kamfora. Zniknięcie doskonałe, dlaczego? Ponieważ Ellisa nigdy nie było. Ellis był dziełem rekwizytów i sztuki aktorskiej — Ellis nie istniał.

Jak to jednak możliwe? Przecież służba w „Melfort Abbey” znała sir Charlesa, sir Bartholomew Strange był jego bliskim przyjacielem. Służbę rozgryzłem łatwo. Wcielenie się w kamerdynera nie przedstawiało dla Cartwrighta żadnego ryzyka. Gdyby służba go rozpoznała, nic nie stało na przeszkodzie, by uznać całą sprawę za kawał. Skoro jednak minęły dwa tygodnie bez cienia podejrzeń, poczuł się całkiem bezpieczny. Przytoczono mi uwagi służby o kamerdynerze. „Miał w sobie coś z dżentelmena”, pracował w „najlepszych domach”, wiedział „to i owo o ludziach z towarzystwa”. To było proste. Bardzo znaczące zdanie powiedziała pokojówka Alice: „Takiego kamerdynera nigdy nie spotkałam, jak długo pracuję”. Kiedy powtórzono mi te słowa, otrzymałem potwierdzenie mojej teorii.

Trudniejsza sprawa z doktorem. Jak to możliwe, żeby nie rozpoznał bliskiego przyjaciela? Doktor musiał więc wiedzieć o wcieleniu sir Charlesa. Czy mamy na to jakieś świadectwo? Tak. Nasz przenikliwy przyjaciel Satterthwaite nie przepuścił pewnego faktu we wczesnym toku śledztwa: żartobliwej uwagi sir Bartholomewa (zupełnie dla niego nietypowej jeśli idzie o służbę) — „Świetny z pana facet, Ellis, doskonały kamerdyner”. Wypowiedź całkowicie zrozumiała, jeśli kamerdynerem był sir Charles, a sir Bartholomew wtajemniczony w grę.

Doktor niewątpliwie tak właśnie widział całą sprawę. Udawanie kamerdynera traktował jak kawał, może chodziło o zakład. Punktem kulminacyjnym przyjęcia miało być wystrychniecie gości na dudka, dlatego sir Bartholomew wspomniał, że szykuje niespodziankę, dlatego był tak rozbawiony. Proszę też zauważyć, że sir Charles w razie czego zdążyłby się wycofać. Gdyby ktoś go zidentyfikował w czasie kolacji, mógł się jeszcze zatrzymać. Uszłoby to za kawał i na tym koniec. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na przygarbionego kamerdynera, z przyciemnionymi belladonną oczami, bokobrodami i spreparowanym na przegubie znamieniem. Zmyślny znak szczególny, który zawiódł na całej linii, ponieważ ludzie nie potrafią obserwować. Znamię miało stanowić kluczowy punkt rysopisu, a tu — masz ci los — nikt go nie zauważył. Nikt poza bystrą panną Wills, do której zaraz przejdziemy.

Co było dalej? Sir Bartholomew zmarł. Tym razem nie było mowy o śmierci z przyczyn naturalnych. Przybyła policja. Przesłuchano Ellisa, przesłuchano innych. Później, nocą, Ellis uciekł tajnym przejściem, wrócił do swego prawdziwego ja i w dwa dni potem przechadzał się już po Monte Carlo, gotów przyjąć ze zdumieniem wieść o śmierci przyjaciela.

Proszę zauważyć, była to tylko teoria. Nie miałem dowodów. Wszystko jednak, co się działo wokół, świadczyło na moją korzyść. Mój domek z kart był solidnie zbudowany. Szantażujące listy znalezione w pokoju Ellisa? Ależ odkrył je sir Charles we własnej osobie!

A co z rzekomym listem sir Bartholomew Strange’a do Olivera Mandersa, w którym doktor prosił o zainscenizowanie wypadku? Nic łatwiejszego: sir Charles pisze list w imieniu sir Bartholomewa. Nawet jeśli Manders sam nie zniszczył listu, Ellis, mający dostęp jako

kamerdyner do rzeczy młodego człowieka, zrobił to bez trudu. Podobnie nie miał kłopotów z wsunięciem wycinka z gazety do portfela Olivera.

Przejdźmy teraz do trzeciej ofiary — pani de Rushbridger. Kiedy po raz pierwszy słyszymy o tej damie? Zaraz po owym nietypowym dla doktora przekomarzeniu się z Ellisem, po jego zaskakującej wypowiedzi o doskonałym kamerdynerze. Za wszelką cenę należało odciągnąć uwagę od tego dziwnego incydentu. Sir Charles zatem szybko zadaje pytanie. Chce się dowiedzieć, jaką wiadomość przekazał kamerdyner. Wiadomość dotyczyła pani de Rushbridger. Cartwright dwoi się i troi, by skierować uwagę na nieznaną pacjentkę, a odwrócić zainteresowanie od Ellisa. Udaje się do lecznicy, rozmawia z siostrą przełożoną. Pani de Rushbridger jest jakby papierkiem lakmusowym.

A panna Wills? Jaka jest jej rola w dramacie? To dziwna osoba. Należy do ludzi, którzy nie zapadają w pamięć. Ani przystojna, ani dowcipna, ani błyskotliwa, ani nawet sympatyczna. Niczym się nie wyróżnia. Ma jednak bystre oko i wielką inteligencję. Piórem bierze odwet na otoczeniu. Z niezwykłym talentem przedstawia na papierze portrety ludzkie. Nie wiem, czy coś w kamerdynerze uderzyło pannę Wills, w każdym razie była jedyną osobą przy stole, która w ogóle go zauważyła. Nazajutrz rano, wiedziona nienasyconą ciekawością, zaczęła wścibiać nos, jak to ujęła służąca. Poszła do pokoju Dacresów, przez obite suknem drzwi udała się do pomieszczeń dla służby, myszkowała po kątach z instynktem głodnego zwierzęcia.

Panna Wills to jedyna osoba, która posiała niepokój w duszy sir Charlesa. Toteż zależało mu, by samemu się nią zająć. W czasie rozmowy z nią odetchnął — zauważyła znamię. A potem się stało. Do tej pory panna Wills nie łączyła osoby kamerdynera Ellisa z osobą sir Charlesa Cartwrighta. Myślę, że po prostu Ellis kogoś jej przypominał. Jest jednak baczna obserwatorką. Kiedy roznoszono półmiski, zwróciła uwagę nie na twarz, lecz na ręce podającego do stołu. Wtedy jeszcze nie przyszło jej do głowy, że Ellis to sir Charles. Dopiero gdy rozmawiała z aktorem, doznała nagle olśnienia: sir Charles był wówczas Ellisem! I poprosiła go, żeby odegrał scenę podawania półmiska z jarzynami. Nie interesowało jej znamię, czy jest na lewym, czy na prawym przegubie. Potrzebowała pretekstu, chciała obejrzeć dłonie, dłonie z półmiskiem, tak samo ułożone, jak u kamerdynera.

Odgadła prawdę. Ale to niezwykła kobieta. Wystarczył jej sam fakt odkrycia. Zresztą nie była wcale pewna, że sir Charles zamordował swego przyjaciela. Odegrał kamerdynera, zgoda, ale to jeszcze nie znaczy, że był mordercą. Niejeden najuczciwszy człowiek na świecie coś zatajał, by nie znaleźć się w kłopotliwej sytuacji. Panna Wills zatem zatrzymała swe odkrycie dla siebie i była usatysfakcjonowana. Sir Charles się jednak niepokoił. Nie podobał mu się jej złośliwy uśmieszek, który dostrzegł wychodząc z pokoju. Ta kobieta coś wiedziała. Co? Czy to dotyczyło jego? Nie był pewien. Czuł jednak przez skórę, że chodzi o kamerdynera. Najpierw pan Satterthwaite, teraz panna Wills. Trzeba za wszelką cenę odwrócić uwagę od Ellisa. Skoncentrować ją na kimś innym. I w głowie powstał mu plan, prosty, zuchwały i, jego zdaniem, doskonale zwodzący na manowce.

W dniu mego sherry party sir Charles wstał wczesnym rankiem, udał się do Yorkshire, gdzie, przebrany za obdartusa, kazał chłopcu nadać telegram. Zdążył wrócić do Londynu na przyjęcie i odegrać rolę, którą mu powierzyłem w moim małym przedstawieniu. Wysłał czekoladki kobiecie, której nigdy nie widział na oczy, o której nic nie wiedział.

Co się zdarzyło tego wieczoru — wiadomo. Niepokój sir Charlesa świadczył o tym, że panna Wills coś podejrzewa. Kiedy aktor odgrywał „scenę śmierci”, obserwowałem twarz tej kobiety. Malowało się na niej zdumienie. Stwierdziłem wtedy, że panna Wills na pewno podejrzewa sir Charlesa. Widząc, że umiera w ten sam sposób co tamci, zmuszona była uznać na moment swą pomyłkę.

Panna Wills podejrzewała sir Charlesa, znajdowała się zatem w wielkim niebezpieczeństwie. Człowiek, który zabił dwa razy, nie zawaha się zabić po raz trzeci.

Ostrzegłem was, z całą mocą. Później, wieczorem zadzwoniłem do panny Wills i za moją radą wyjechała nagle nazajutrz rano. Zamieszkała tutaj, w tym hotelu. Miałem rację, sir Charles wybrał się następnego dnia wieczorem do Tooting po powrocie z Gilling. Spóźnił się. Ptaszek odfrunął.

Poza tym uważał, że plan się powiódł. Pani de Rushbridger miała coś ważnego do powiedzenia. Pani de Rushbridger została zabita, nim zdążyła przemówić. Jakie to dramatyczne! Zupełnie jak w książkach, na scenie czy w filmach! I znowu rekwizyty, scenografia, inscenizacja.

Herkulesa Poirot nie tak łatwo zwieść, o nie! Pan Satterthwaite powiedział, że panią de Rushbridger zabito, żeby nie mogła mówić. Przyznałem mu rację. Twierdził, że zabito ją, by nie zdążyła powiedzieć nam tego, co wiedziała. Dodałem: „Albo tego, czego nie wiedziała”. Był chyba zaskoczony. W tym momencie mógł odgadnąć prawdę. Pani de Rushbridger została zabita, ponieważ naprawdę nie miała nic do powiedzenia. Ponieważ jej osoba było poza całą sprawą. Mogła zdać egzamin tylko w jednym wypadku: jako martwa. W takim oto celu została zamordowana niewinna obca kobieta.

Triumf sir Charlesa był pozorny, popełnił kolosalny błąd, dziecinną omyłkę. Zaadresował telegram do mnie: Herkules Poirot, hotel Ritz. A przecież pani de Rushbridger nie miała pojęcia, że mam jakikolwiek związek ze sprawą. Nikt o tym nie wiedział. Niewiarygodnie dziecinne potknięcie.

Eh bien, osiągnąłem pewien etap. Wiedziałem już, kto jest mordercą. Wciąż jednak nie znałem motywu. Uruchomiłem szare komórki.

I cóż zobaczyłem? Zobaczyłem z całą jasnością, że śmierć sir Bartholomewa Strange'a była tą, o którą chodziło. Jaki powód mógł mieć sir Charles, by zabić swego przyjaciela? Czy w ogóle można sobie wyobrazić motyw? Myślę, że tak.

Ktoś westchnął głęboko. Sir Charles podniósł się powoli z miejsca i podszedł do kominka. Stał tam z ręką na biodrze i patrzył z góry na Poirota. Przybrał postawę (tak by to określił pan Satterthwaite) lorda Eaglemounta, który spoziera z pogardą na hultaja-prokuratora, oskarżającego go o oszustwo. Promieniowała zeń godność i pogarda: arystokrata spoglądający wyniośle na zwykłą hołotę.

— Ma pan niezwykle bogatą wyobraźnię, *monsieur Poirot* — rzekł. — Chyba nie muszę mówić, że nie ma słowa prawdy w pana historyjce. Że też miał pan czelność uraczyć nas tym absurdalnym stekiem kłamstw! Ale proszę mówić, proszę, całkiem to interesujące. Jaki miałbym motyw, by zamordować człowieka, którego znałem od dzieciństwa?

Petit bourgeois Herkules Poirot spojrział w oczy arystokracji. Powiedział szybko i stanowczo:

— Zna pan, sir Charles, francuskie przysłowie *cherchez la femme*? Tu leży pana motyw. Widziałem pana z *mademoiselle* Lytton Gore. Było jasne: pan ją kocha, to straszliwa, pochłaniająca namiętność, tak typowa dla mężczyzn w sile wieku, którzy zakochują się w młodej niewinnej dziewczynie.

A więc pan ją kocha, ona wielbi pana jak bohatera. Wystarczy słówko, a rzuci się panu w ramiona. Pan jednak milczy. Dlaczego?

Odgrywał pan przed swym przyjacielem Satterthwaitem głupka, który nie wie, czy wybranka jego serca darzy go uczuciem. Udawał pan zdenerwowanie podejrzeniem, że panna Lytton Gore jest zakochana w Oliverze Mandersie. Ale pan jest światowcem, sir Charles. Ma pan wielkie doświadczenie z kobietami. Kto jak kto, ale pan nie mógł nie wiedzieć. Przeciwnie, zdawał pan sobie świetnie sprawę, że pannie Lytton Gore na panu zależy. Dlaczego się pan z nią nie ożenił? Przecież pragnął pan tego.

Musiała istnieć jakaś przeszkoda. Jaka? Tylko jedna: pan jest żonaty, sir Charles. Nigdy nie słyszałem, że ma pan żonę. Uchodził pan za kawalera. A zatem musiał się pan ożenić bardzo młodo, nim stał się pan wschodzącą gwiazdą.

A co z pana żoną? Jeśli żyła, dlaczego nikt nic o niej nie wiedział? Jeśli nie mieszkał pan z nią, mógł się pan rozwieść. Żona mogła być katoliczką, nie akceptować rozwodów, ale fakt, że nie mieszkacie razem, pozostałby faktem.

Są jednak dwie tragedie, w których prawo nie folguje. Kiedy kobieta jest skazana na dożywotnie więzienie albo jest w zakładzie dla obłąkanych. W takim wypadku nie otrzymałby pan rozwodu, a jeśli coś takiego stało się za pana młodych lat, mogło to nie wyjść na jaw.

Skoro nikt nic nie wiedział, cóż prostszego jak poślubić pannę Lytton Gore, nie ujawniając prawdy? Przypuśćmy jednak że ktoś wiedział, na przykład przyjaciel z młodości. Sir Bartholomew Strange był uczciwym, rzetelnym lekarzem. Mógł panu współczuć, odnosić się życzliwie do pana przygód, bujnego życia, ale nie patrzyłby w milczeniu na bigamię, małżeństwo z ufną dziewczyną.

Żeby ożenić się z panną Lytton Gore, trzeba było usunąć sir Bartholomewa Strange'a.

Sir Charles roześmiał się.

— A Babbington? Czy on też wszystko o mnie wiedział?

— Tak na początku sądziłem. Nic jednak nie potwierdzało tej hipotezy. A na jej drodze wciąż leżała ta sama przeszkoda: nawet jeśli dołał pan nikotyny do szklanki, nie mógł mieć pan pewności, że weźmie ją właściwa osoba.

To był dla mnie wielki problem. I naraz przypadkowe słówko panny Lytton Gore ukazało mi światelko w tunelu.

Trucizna nie była przeznaczona dla pana Babbingtona. Mógł ją wypić ktokolwiek. Ktokolwiek z wyjątkiem trzech osób. Panny Lytton Gore, której podał pan sam bezpieczną szklankę, pana oraz sir Bartholomewa, który nie pijał cocktailów.

Pan Satterthwaite zakrzyknął wielkim głosem:

— Ależ to absurd! Jaka w tym logika? To nie ma sensu.

Poirot zwrócił się do niego z pewnym triumfem:

— To ma sens, zapewniam pana. Dziwna logika, bardzo dziwna. Nigdy przedtem nie spotkałem się z takim motywem zbrodni. Morderstwo Stephena Babbingtona było ni mniej, ni więcej tylko próbą generalną.

— Co takiego?

— Tak, sir Charles jest aktorem. Kierowała nim dusza aktora. Musiał zrobić próbę zbrodni, nim ją popełnił. Nie było obaw, że padną na niego podejrzenia. Śmierć, wszystko jedno czyja, nie przynosiła mu żadnych korzyści, poza tym, jak wiemy, nie można mu dowiedzieć, że trucizna przeznaczona była dla kogoś konkretnego. Próba generalna udała się. Pan Babbington umiera. Nikt nie podejrzewa zabójstwa, dopiero sir Charles występuje z takim przypuszczeniem. My, ku jego radości, nie traktujemy tej możliwości poważnie. Zamiana szklanki również poszła gładko. Ma pewność, że kiedy dojdzie do właściwego przedstawienia, wszystko pójdzie jak z płatka.

Wydarzenia przybrały nieco inny obrót. Przy drugim wypadku obecny był lekarz, który z miejsca zaczął podejrzewać otrucie. W interesie sir Charlesa leżało teraz ściągnięcie uwagi na śmierć Babbingtona: druga śmierć musi być uznana za skutek pierwszej, śledztwo skoncentrowane na motywie zabójstwa pastora, nie sir Bartholomewa.

Sir Charles zapomniał tylko o jednej osobie: baczej, sprawnej pannie Milray. Wiedziała ona, że jej chlebodawca bawi się w doświadczenia chemiczne w wieży znajdującej się w ogrodzie. Płaciła rachunki za preparat do opryskiwania róż i któregoś dnia zauważyła, że spora ilość preparatu w tajemniczy sposób zniknęła. Potem przeczytała, że pan Babbington zmarł na skutek otrucia nikotyną. W jej bystrej główce natychmiast powstała myśl, że sir Charles zrobił wyciąg czystego alkaloidu z roztworu preparatu.

Była w rozterce. Z jednej strony знаła pana Babbingtona od dziecka, a z drugiej była bez pamięci zakochana, z typowym dla brzydkiej kobiety zaślepieniem, w swym fascynującym pracodawcy.

W końcu zdecydowała się zniszczyć urządzenie. Cartwright, pewien sukcesu, zlekceważył niebezpieczeństwo. Panna Milray pojechała do Kornwalii, a ja udałem się za nią.

Sir Charles, dżentelmen w każdym calu, który ze wzgardą spogląda na szpicla, znów zaśmiał się z wyższością.

— I cały pana dowód to stary aparat chemiczny? — spytał lekceważąco.

— Nie — odparł Poirot. — Oto pański paszport z datami przekroczenia granicy Królestwa. Jest jeszcze jeden fakt: W Harverton County Asylum żyje kobieta mieniąca się Gladys Mary Mugg, żona Charlesa Mugga.

Egg siedziała dotychczas w milczeniu i nieruchomo, jak zastygła figurka. Teraz poruszyła się. Wydała cichy krzyk, niemal jęk.

Sir Charles odwrócił się ku niej wspaniałym teatralnym ruchem.

— Egg, chyba nie wierzysz w te absurdalną bajeczkę? Zaśmiał się i wyciągnął do niej rękę.

Egg szła ku niemu powoli, jak w hipnotycznym śnie. Jej udęczone, błagalne oczy wpatrywały się w twarz ukochanego. Kiedy była tuż, tuż, zawahała się nagle, spuściła wzrok, zrobiła krok w jedną stronę, potem w drugą, jakby szukała oparcia.

Ze szlochaniem padła na kolana obok Herkulesa Poirota.

— Czy to prawda? Czy to prawda? — łkała. Poirot położył obie ręce, łagodnie i mocno, na ramionach dziewczyny.

— To prawda, *mademoiselle*. Słyszeć było tylko łkanie Egg.

Twarcz sir Charlesa nagle się postarzała. Wyglądał jak zużyty lubieżny satyr.

— Bądź przeklęty! — wykrzyknął.

I nigdy, w całej swej karierze aktorskiej, nie wyrzucił z siebie słów z tak autentyczną furią.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Satterthwaite uniósł się na krzesło, ale Poirot potrząsnął głową, nie opuszczając dłoni z ramion szlochającej Egg.

— Ucieknie — rzekł Satterthwaite.

— Nie, wybierze tylko zejście ze sceny: albo wolne, na oczach publiczności, albo szybkie, zakulisowe.

Uchyliły się drzwi i ktoś wszedł do pokoju. Był to Oliver Manders. Jego zwykły ironiczny wyraz twarzy zniknął. Był blady i smutny.

Poirot pochylił się nad Egg.

— Proszę spojrzeć, *mademoiselle* — rzekł łagodnie. — Jest tu przyjaciel. Przyjechał zabrać panią do domu.

Egg zerwała się z klęczek. Spojrzała z wahaniem na Olivera, po czym ruszyła ku niemu niepewnym krokiem.

— Oliver... Zabierz mnie do mamy. Och, do mamy! Otoczył ją ramieniem i pociągnął w stronę drzwi.

— Dobrze, kochanie, zabiorę cię. Chodź.

Kolana Egg drżały, z trudem mogła iść. Oliver i pan Satterthwaite poprowadzili ją ostrożnie do drzwi. W progu odzyskała równowagę, odrzuciła do tyłu głowę.

— Czuję się dobrze — powiedziała. Poirot skinął na Olivera i Manders zawrócił.

— Niech pan będzie dla niej dobry.

— Będę. Tylko na niej mi zależy, wie pan dobrze. Przez miłość do niej stałem się gorzki i cyniczny. Teraz się zmienię. Będę przy niej. A któregoś dnia może...

— Myślę, że tak. Chyba zaczynało się w niej rodzić dla pana uczucie, ale tamten się pojawił na scenie i ją zaślepił. Kult bohatera to prawdziwie wielkie niebezpieczeństwo dla

młodej dziewczyny. Przyjdzie dzień, że Egg pokocha przyjaciela i zbuduje swe szczęście na skale.

Patrzył z sympatią za oddalającym się młodzieńcem. Wrócił Satterthwaite.

— *Monsieur Poirot* — rzekł — był pan wspaniały, doprawdy słów nie mam.

Poirot przybrał skromną minę.

— Och, nic takiego, nic takiego. Tragedia w trzech aktach. Właśnie zapadła kurtyna.

— Przepraszam pana... — zaczął Satterthwaite.

— Tak? Chciałby pan coś jeszcze wyjaśnić?

— Chciałbym o coś zapytać.

— Proszę pytać.

— Dlaczego raz mówi pan doskonale po angielsku, a innym razem idzie panu gorzej?

Poirot zaśmiał się.

— Wy tłumaczę panu. To prawda, potrafię mówić dokładną, idiomatyczną angielszczyzną. Ale czy wie pan, przyjacielu, że kiepska angielszczyzna jest wielkim atutem? Ludzie takim pogardzają. Mówią: cudzoziemiec, nawet po angielsku porządnie mówić nie umie. Moją polityką nie jest straszenie ludzi, chętnie natomiast witam ich lekkie kpiny. Chępię się, a jakże. Anglik powiada: „Człowiek, który ma tak wysokie mniemanie o sobie, jest na pewno niewiele wart”. Angielski punkt widzenia. Zresztą, mylny. I wie pan, co się dzieje? Ludzie przy mnie przestają mieć się na baczności. Poza tym — dodał — weszło mi to w zwyczaj.

— Oj! Cóż za lisia przebiegłość! — zaśmiał się Satterthwaite, po czym zamilkł na chwilę, myśląc w duchu o wszystkim.

— Nie ma co mówić — rzekł ze smutkiem. — Nie popisałem się.

— Wręcz przeciwnie. Nie zlekceważył pan niezwykle ważnej kwestii — uwagi doktora rzuconej do kamerdynera. Docenił pan rolę naszej bystrej panny Wills. Och, jestem pewien, że rozwiązałby pan całą zagadkę, gdyby nie pańskie nawyki bywalca teatralnego, upodobanie do dramatycznych efektów.

Satterthwaite rozpogodził się.

Nagle coś mu przyszło do głowy. Szczęka mu opadła.

— Wielki Boże! — zawołał. — Dopiero teraz sobie uświadomiłem. Ten drań i jego zatruty cocktail! Każdy mógł go wypić. Na przykład ja.

— Jest jeszcze gorsza ewentualność, której nie wziął pan pod uwagę — rzekł na to Poirot.

— Hm?

— To mogłem być JA — powiedział Herkules Poirot.